B 782697
II
ZN

JOSEPH CONRAD

NOSTROMO

LATARNIA MORSKA

WARSZAWA 1928
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKC.

NOSTROMO

PISMA ZBIOROWE JOSEPHA CONRADA
(JÓZEFA KONRADA KORZENIOWSKIEGO)
Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

TOM IX a

NOSTROMO

POWIEŚĆ Z POBRZEŻA MORSKIEGO

TOM II

WARSZAWA 1928
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

JOSEPH CONRAD

NOSTROMO

POWIEŚĆ Z POBRZEŻA MORSKIEGO

Z PRZEDMOWĄ AUTORA

CZĘŚĆ III

LATARNIA MORSKA

PRZEŁOŻYŁ
STANISŁAW WYRZYKOWSKI

WARSZAWA 1928
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

Biblioteka Jagiellońska

BIBLIOTHECA
UNIV. JAGIELL.
CRACOVIENSIS

COPYRIGHT BY ANIELA ZAGÓRSKA, WARSAW 1928

B 782697

ZN

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM KAZIMIERZA FIGWERA

CZĘŚĆ TRZECIA

LATARNIA MORSKA

ROZDZIAŁ I.

Skoro tylko przewozowiec odbił od brzegu i zatracił się w ciemnościach przystani, rozeszli się Europejczycy sulaccy, by przygotować się na przyjęcie *régime'u* monterystowskiego, co nadciągał ku miastu od gór i od morza.

Odrobina trudu, jaką zadali sobie przy ładowaniu srebra, była ich ostatnią czynnością umówioną. Stanowiła ona zakończenie trzechdniowego okresu, pełnego niebezpieczeństw, o którym głosiły dzienniki europejskie, iż ich energja ocaliła miasto od klęsk, wywołanych zaburzeniami ulicznemi. U skraju pomostu, kapitan Mitschell pożegnał ich życzeniem dobrej nocy i powrócił na ląd. Miał zamiar przechadzać się po belkowaniu pobrzeża aż do chwili, kiedy nadpłynie statek z Esmeraldy. Inżynierowie ze sztabu kolejowego zabrali swych robotników włoskich i baskijskich i odprowadzili ich do zabudowań kolejowych, pozostawiając otwarty na cztery wiatry gmach Urzędu Cłowego, którego broniono tak dzielnie pierwszego dnia rozruchów. Podwładni ich sprawowali się mężnie i wiernie podczas słynnych „trzech dni“ w Sulaco. Ta ich wierność i to ich męstwo przejawiło się w znacznej mierze raczej w obronie własnej, niż w służbie interesów

materjalnych, którym poświęcił się Charles Gould. Śród okrzyków, co rozlegały się z ust motłochu, bodaj najgłośniej huczała groźba, zwiastująca śmierć cudzoziemcom. Było to, zaiste, nader pomyślną okolicznością dla Sulaca, iż stosunki między tymi, przywiezionymi z za morza robotnikami, a ludnością miejscową od samego początku były jednako złe.

Doktór Monygham, zmierzając ku drzwiom kuchni Violów, przyglądał się temu odwrotowi, co oznaczał koniec współudziału cudzoziemskiego, był wycofaniem armji postępu materjalnego z pobojowiska rewolucji costaguańskiej.

Od pochodni z drzewa świętojańskiego, niesionych na skrajach tego pochodu, dolatywał do jego nozdrzy przenikliwy zapach. Poświetl, pląsająca po frontowej ścianie domu, wprawiała w drganie czarne głoski napisu *Albergo d'Italia Una*, rozwleczone na całej długości ściany. Oczy jego mrużyły się od ostrego blasku. Kilku młodych ludzi, przeważnie smukłych i dorodnych, przewodniczyło temu tłumowi ciemnobronzowych twarzy, nad któremi migotały pochylone lufy karabinów. Mijając, pozdrawiali go poufałem skinieniem głowy. Doktór był powszechnie znany. Niektórzy z nich zapytywali ze zdziwieniem, co tu robi. Poczem kroczyli dalej na skrzydłach swego robotniczego zastępu, podążając za linją kolejową.

— Zabiera pan swych ludzi z przystani? — zagadnął doktór, zwracając się do inżyniera naczelnego, który towarzyszył Charles'owi Gouldowi w drodze powrotnej do miasta i szedł obok konia, trzymając rękę na łęku siodła. Zatrzymali się tuż przed otwartemi drzwiami, by nie zastępować drogi robotnikom.

— Niezwłocznie. Nie jesteśmy stronnictwem poli-

tycznem — odparł inżynier znacząco. — I nie chcielibyśmy stwarzać pozorów, któreby upoważniały nowych naszych władców do zaczepienia kolei. Pan nic nie ma przeciwko temu, Mr. Gould?

— Najzupełniej — odezwał się obojętny głos Charles'a Goulda zwysoka i z poza obrębu mgławego równoległoboku światła, co przez otwarte drzwi padało na drogę.

Jedyną troską inżyniera naczelnego było uniknąć starcia zarówno z Sotillem, którego oczekiwano z jednej strony, jak z Pedrem Monterem, który nadciągał z drugiej. Sulaco było dla niego stacją kolejową, węzłem, warsztatem, wielkiem nagromadzeniem zapasów. Kolej broniła swej własności przeciwko motłochowi, ale politycznie była neutralną. Był dzielnym człowiekiem, lecz ten duch neutralności kazał mu nawiązać rokowania o rozejm z samozwańczymi przewódcami stronnictwa ludowego, posłami Fuentesem i Gamachem. Jeszcze latały kule w powietrzu, kiedy szedł przez *Plazę* z tem poselstwem, powiewając nad głową białą serwetą, należącą do stołowizny Klubu Amarilli.

Był wielce dumny z tego swojego dzieła; a ponieważ przyszło mu na myśl, iż doktór, zajęty całemi dniami przy rannych na *patio Casy Gould*, nie miał czasu rozpytywać się o nowiny, więc zaczął zwięzłe opowiadanie. Udzielił trybunom ludu wiadomości, jakie otrzymał z obozowiska robotniczego o Pedrze Monterze. Zapewnił ich, że brat zwycięskiego generała może przybyć do Sulaca lada chwila. *Senior* Gamacho nie zawiódł jego oczekiwań i obwieścił natychmiast tę nowinę z okna motłochowi, który polnemi drogami ruszył wnet ławą ku Rincon. Obaj posłowie pożegnali go przyjacielskim uściskiem dłoni i wsiadłszy na ko-

nie, popędzili cwałem na spotkanie wielkiego człowieka. — Zamydliłem im nieco oczy — przyznawał się inżynier naczelny — bo chociażby gnał bez wytchnienia, to nie będzie tu wcześniej niż jutro rano. Ale cel mój osiągnąłem. Zapewniłem kilka godzin spokoju pokonanemu stronnictwu. Nie wspomniałem im jednak ani słówkiem o Sotillu z obawy, żeby nie zachciało się im opanować znowu przystani, co mogliby uczynić bądźto żeby go powitać, bądź też żeby mu się opierać — bo nie można wiedzieć, co nastąpi. Było tam srebro Goulda, a od tego srebra zależą resztki naszych nadziei. Przytem wyszłaby zapewne najaw ucieczka Decouda. Zdaje mi się, iż kolej przysłużyła się nieźle swym przyjaciołom, nie kompromitując się beznadziejnie. Teraz oba stronnictwa trzeba pozostawić im samym.

— Costaguana dla Costaguańczyków — wtrącił doktór ironicznie. — To luby kraj i zaiste, luby plon nienawiści, mściwości, zbrodni i grabieży, wypielęgnowali jego synaczkowie.

— Jestem jednym z nich — zabrzmiał spokojny głos Charles'a Goulda — i muszę odjechać, żeby się zastanowić nad plonem własnych kłopotów. Czy moja żona pojechała wprost do domu, doktorze?

— Tak jest. Było najzupełniej spokojnie w tych stronach. Mrs. Gould zabrała stąd ze sobą dwoje dziewczątek.

Charles Gould odjechał, a inżynier naczelny wszedł za doktorem do wnętrza.

— To ucieleśniony spokój ten człowiek — rzekł z uznaniem, siadając na ławie i wyciągając ku drzwiom swe kształtne nogi, okręcone spiralnemi obwijaczami. — Musi być ogromnie pewny siebie.

— Jeżeli pewny jest tylko siebie, to nie jest pewny

niczego — rzekł doktór, zasiadłszy znów u skraju stołu. Na jednej dłoni wspierał policzek, a drugą podtrzymywał swój łokieć. — Tylko w ostateczności można być pewnym siebie. — Jarzący się mgławo knot wypalonej do połowy świecy oblewał blaskiem od dołu jego pochylone oblicze, którego wyraz, spotęgowany brózdami blizn na policzkach, miał coś jakby nienaturalnego, zastanawiał nasileniem pełnej wyrzutów goryczy. Siedząc w tej postawie, zdawał się rozmyślać nad jakiemiś posępnemi rzeczami. Inżynier naczelny popatrzył na niego długo, zanim zaprzeczył:

— Nie sądzę, żeby tak było. Zapatruję się inaczej. Chociaż...

Był człowiekiem rozumnym, ale nie zdołał w zupełności ukryć swej pogardy dla tego rodzaju paradoksu; bo też Europejczycy ze Sulaca nie lubili dra Monyghama. Zewnętrzny jego wygląd wyrzutka, którego nie pozbywał się nawet w salonie Mrs. Gould, dawał powód do nieprzychylnych spostrzeżeń. Niepodobna było powątpiewać o jego inteligencji, a ponieważ od dwudziestu z górą lat przebywał w tym kraju, nie było można zbywać lekceważeniem pesymizmu jego poglądów. Atoli słuchacze jego, broniąc instynktownie swej działalności i swych nadziei, składali ten pesymizm na karb jakiejś utajonej ułomności w charakterze tego człowieka. Wiedziano, iż przed wielu laty, gdy był jeszcze zupełnie młody, Guzman Bento mianował go lekarzem naczelnym swej armji. Żaden z Europejczyków, którzy pozostawali wówczas w służbie costaguańskiej, nie był tak bardzo lubiony i ceniony przez srogiego, sędziwego dyktatora.

Jego późniejsze dzieje nie przedstawiały się tak jasno. Gubiły się śród nieprzeliczonych opowieści o sprzy-

siężeniach i spiskach przeciwko tyranowi na podobieństwo strumienia, co wsiąknąwszy w jałową smugę piaszczystej okolicy, wynika następnie pomniejszony, a może nawet zmącony, w jakiejś innej stronie. Doktór nie ukrywał, iż przez długie lata przebywał w najdzikszych pustkowiach Rzeczypospolitej, wałęsając się z nieznanemi niemal plemionami indyjskiemi po niezbrodzonych borach odległych połaci, gdzie wielkie rzeki mają swe źródła. Była to jednak bezcelowa wędrówka; nie pisał o niczem, nie zbierał niczego, nie przyniósł nic wiedzy z zamrocza borów, co przylgnęło do jego skołatanej osobowości, plątającej się po Sulaco, dokąd dostał się przypadkiem, jak rozbitek, wyrzucony na brzeg morski.

Wiedziano również, iż żył w niedostatku aż do przyjazdu Gouldów z Europy. Don Carlos i Donia Emilja zaopiekowali się zwarjowanym, angielskim doktorem, kiedy się okazało, iż można go poskromić dobrocią mimo jego dzikiej niezależności. A może poskromił go tylko głód. Przed laty znał on już zapewne ojca Charles'a Goulda w S-ta Marta, zaś obecnie pomimo ciemnych skaz na kartach swych dziejów, jako lekarz kopalni San Tomé był uznaną osobistością. Uznawano go, ale nie przyjmowano bez zastrzeżeń. Ogrom wyzywającej ekscentryczności i nieskrywanej pogardy dla ludzi zdawał się świadczyć, iż z bezwzględnością sądu kojarzyła się u niego buta winy. Ponadto, odkąd znów wypłynął nieco na powierzchnię, jęły krążyć mętne pogłoski, iż przed laty miał zdradzić swego najlepszego przyjaciela. Stało się to podobno za czasów tak zwanego wielkiego spisku, kiedy popadł w niełaskę u Guzmana Benty i został wtrącony do więzienia. Nikt nie dawał wiary tym pogłoskom. Historja wiel-

kiego spisku była beznadziejnie zagmatwana i niejasna. Utrzymywano w Costaguanie, iż to sprzysiężenie było tylko wytworem rozstrojonej wyobraźni tyrana, że więc nie było można niczego ni nikogo zdradzić, aczkolwiek bardzo wielu znakomitych Costaguańczyków uwięziono i stracono na podstawie tego oskarżenia. Dochodzenia wlokły się przez długie lata, dziesiątkując wyższe warstwy ludności niby zaraza. Nawet oznaki żalu po straconych krewnych podlegały karze śmierci. Don José Avellanos był może jedynym śród żyjących, który znał w całości dzieje tych niewysłowionych okrucieństw. Sam ich doświadczył na sobie, lecz wzruszeniem ramion i urwanem, nerwowem skinieniem ręki miał zwyczaj zbywać wszelką o nich wzmiankę. Bądź co bądź dr. Monygham mimo wybitnego stanowiska, jakie zajmował w zarządzie koncesji Gouldów, mimo kornej czci, okazywanej mu przez górników, i mimo pobłażania, jakiego dla niezwykłości jego charakteru nie szczędziła mu Mrs. Gould, stał nieco na uboczu.

Nie z przychylności dla doktora wstąpił inżynier naczelny do gospody, wznoszącej się śród równiny. Starego Violę lubił znacznie więcej. *Albergo d'Italia Una* skojarzyła się w jego odczuwaniach z koleją. Mieszkało tam wielu jego podwładnych. Niejako wyróżniała ją życzliwość, jaką Mrs. Gould otaczała rodzinę jej właściciela. Inżynier naczelny, który rozkazywał całej armji robotników, umiał ocenić moralny wpływ, jaki stary *garibaldino* wywierał na swych ziomków. Jego nieugięty, staroświecki republikanizm posiadał surowe, żołnierskie znamiona wierności i obowiązkowości, jakgdyby świat był pobojowiskiem, na którem ludzie walczyć powinni za powszechną miłość

i braterstwo, a nie o większy lub mniejszy udział w zdobyczy.

— Biedny, stary dziwak! — rzekł, wysłuchawszy opowiadania doktora o Teresie. — Sam nie da sobie rady z tą gospodą. Martwi mnie to.

— Będzie odtąd całkiem samotny — wykrztusił doktór i szarpnął swą wielką głową w kierunku wąskiej klatki schodowej. — Niema przy nim ani żywej duszy, gdyż Mrs. Gould zabrała przed chwilą dziewczęta. Doniedawna nie były tutaj zbyt bezpieczne. Jako lekarz nie mogę jużcić uczynić nic więcej. Ale prosiła mnie, żebym nie opuszczał starego Violi; zgodziłem się bez trudności, bo nie mam konia, aby powrócić do kopalni, gdzie być powinienem. A w mieście obejdą się beze mnie.

— Mam wielką ochotę pozostać z panem, doktorze, bo chciałbym zobaczyć, co będzie się działo w przystani dzisiejszej nocy — oświadczył inżynier naczelny. — Trzeba mu będzie oszczędzić nagabywania przez żołdactwo Sotilla, który może dotrzeć tu odrazu. Sotillo bywał dla mnie bardzo uprzejmy u Gouldów i w klubie. Nie wyobrażam sobie, jak ten człowiek będzie miał odwagę spojrzeć swym tutejszym przyjaciołom w oczy.

— By otrząsnąć się z początkowego zakłopotania, każe prawdopodobnie rozstrzelać kilku z nich — rzekł doktor. — Wojskowemu, który przeszedł do przeciwnego obozu, nic w tym kraju nie wychodzi tak na dobre, jak kilka doraźnych egzekucyj. — Mówił z posępną stanowczością, nie dopuszczającą sprzeciwu. Inżynier naczelny wcale go też nie próbował. Potrząsnął kilkakrotnie z ubolewaniem głową, poczem przemówił:

— Sądzę, że będziemy mogli jutro dać panu konie, doktorze. Nasi *peonowie* odebrali trochę pokradzionych nam koni. Jadąc co koń wyskoczy wielkiem zakolem na Los Hatos i poprzez skraj borów, a trzymając się przytem zdała od Rincon, może pan dotrzeć do mostu San Tomé i nie być zaczepionym przez nikogo. Kopalnia, mojem zdaniem, jest obecnie najbezpieczniejszem miejscem pobytu dla ludzi, doszczętnie skompromitowanych. Pragnąłbym, żeby kolej była równie trudna do wzięcia.

— A czy ja jestem skompromitowany? — wycedził zwolna dr. Monygham po krótkiem milczeniu.

— Cała koncesja Gouldów jest skompromitowana. Nie mogła na zawsze pozostawać poza politycznem życiem tego kraju — jeśli te drgawki można nazwać życiem. Sęk jest w tem — czy może być wzięta? Musiała nadejść chwila, kiedy neutralność nie będzie już rzeczą możliwą, i Charles Gould rozumiał to dobrze. Sądzę, że jest przygotowany na wszelką ostateczność. Człowiek tego pokroju na pewno nie zamierzał pozostawać bez końca na łasce zepsucia i ciemnoty. Znaczyło to być jeńcem w jaskini opryszków i okupem, który ma się w kieszeni, z dnia na dzień opłacać swe życie. Chodziło już nie o wolność, lecz o najzwyklejsze bezpieczeństwo, doktorze. Wiem, co mówię. Porównanie to, na które pan rusza ramionami, jest najzupełniej trafne, zwłaszcza jeżeli wyobrazi pan sobie jeńca, który ma władzę ciągłego napełniania swych kieszeni zapomocą sposobów, tak obcych zdolnościom jego prześladowców, jakgdyby były czemś magicznem. Zrozumiał pan to zapewne równie dobrze jak ja, doktorze. Był w położeniu gęsi, która niesie złote jaja. Wyłuszczyłem mu to wszystko, gdy Sir John był tu-

taj. Jeniec głupich i chciwych opryszków jest zawsze na łasce pierwszego lepszego, idjotycznego szubrawca, który może strzelić mu w łeb w przystępie fantazji lub w nadziei niezwłocznego, tłustego połcia. Bajka o zabiciu gęsi, która niesie złote jaja, nie jest czczym tworem mądrości ludzkiej. Nie postrada ona nigdy swego znaczenia. Oto dlaczego Charles Gould we właściwy sobie, skryty i głęboki sposób popierał mandat ribierystowski, ten pierwszy akt publiczny, który obiecywał mu bezpieczeństwo z nieprzekupnych pobudek. Ribieryzm zawiódł, podobnie jak wszystko rozumne zawodzi w tym kraju. Ale Gould jest logiczny, dążąc do ocalenia swych wielkich zasobów srebra. Zamiar Decouda, by wywołać kontrrewolucję, może być wykonalny lub nie, może mieć widoki powodzenia lub może ich nie mieć. Znając z doświadczenia ten rewolucyjny kontynent, dalibóg, nie mogę już liczyć się poważnie z ich metodami. Decoud odczytał nam swój szkic proklamacji i ze dwie godziny mówił bardzo dobrze o swym planie działania. Przytaczał argumenty, które mogły być wcale niezłe, gdyby nas, członków starych, ustalonych, politycznych i narodowych organizacyj, nie wprawiał w osłupienie sam pomysł nowego państwa, co wynikł z mózgu młodego wartogłowa, z proklamacją w kieszeni ratującego się ucieczką do prostackiego, bajdurzącego, nieokrzesanego samochwała, który w tej części świata nosi tytuł generała. Brzmi to jak komiczna bajka, a jednak może się udać, ponieważ pozostaje w zgodzie z duchem tego kraju.

— Więc srebro wywieziono? — zapytał doktór chmurnie.

Inżynier naczelny wyjął zegarek z kieszeni. — Wedle

kapitana Mitschella — a zna się on na tem — powinno już być w odległości trzech lub czterech mil od przystani. Tenże sam Mitschell utrzymuje, że Nostromo jest marynarzem, który umie sprostać podobnym okolicznościom. — Tu doktór chrząknął tak mocno, iż inżynier zmienił ton. — Ma pan nieszczególne wyobrażenie o tym pomyśle, doktorze? Ale czemu? Charles Gould postanowił zagrać w otwarte karty, chociaż nie jest człowiekiem, który zwykł zdawać sprawę ze swego postępowania nawet przed sobą samym; może też woli pozostawiać to innym. Zdaje się, iż grę tę częściowo poddał mu Holroyd. Pozostaje ona jednak w zgodzie z jego charakterem i to jest przyczyną, dla której sprzyjało mu powodzenie. Nie przyszłoż do tego, iż w Santa Marta nazywano go „królem Sulaca?" Przezwisko może być najlepszym dowodem powodzenia. Jest to, mojem zdaniem, osadzeniem głowy żartu na tułowiu prawdy. Mój drogi panie, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Santa Marta, zdziwiłem się, jak wszyscy ci dziennikarze, demagodzy, posłowie na sejm, generałowie i sędziowie mizdrzyli się do opasłego adwokata bez klienteli, jedynie dlatego, iż był pełnomocnikiem koncesji Gouldów. Sir John doznał również tego wrażenia po swym przyjeździe.

— Nowe państwo z takim niezdarnym *dandym*, jak Decoud, w roli pierwszego prezydenta — dumał dr. Monygham, piastując w dłoni policzek i kiwając bez przestanku nogą.

— Dalibóg, i czemużby nie? — odparł inżynier naczelny nieoczekiwanie poważnym i poufnym głosem. Zdawało się, jakgdyby jakiś subtelny składnik atmosfery costaguańskiej zaszczepił mu lokalną wiarę

w *pronunciamientos*. Odrazu jął rozprawiać, jak jakiś doświadczony rewolucjonista, o tem podatnem narzędziu, jakiem jest nietknięta armja w Caycie. W kilka dni będzie można sprowadzić ją zpowrotem do Sulaca, byleby tylko Decoudowi udało się odrazu dotrzeć wdół wybrzeża. Na czele wojsk stanąłby Barrios który od Montera, swego dawniejszego współzawodnika' i zaciekłego wroga, może spodziewać się tylko kuli. Współudział Barriosa jest pewny. O ile zaś chodzi o jego armję, to nie może ona również spodziewać się niczego od Montera — nawet miesięcznego żołdu. Z tego punktu widzenia istnienie skarbu miało ogromne znaczenie. Wieść, iż ocalono go przed monterystami, będzie dla wojska z Cayty dostateczną pobudką, by stanęło po stronie nowego państwa.

Doktór się odwrócił i przyglądał się czas jakiś swemu towarzyszowi.

— Ten Decoud, jak widzę, umie przekonywująco żebrać, chociaż jest jeszcze młody — odezwał się wkońcu. — A żebranina jego polegała zapewne na tem, by Charles Gould pozwolił wywieźć cały zapas srebra na morze pod opieką tego jakiegoś Nostroma?

— Charles Gould — rzekł inżynier naczelny — nie uważał jak zwykle za stosowne napomknąć coś więcej o swych pobudkach. Pan wie, że nie lubi mówić. Ale my wszyscy znamy jego pobudkę, a ma ją tylko jedną; chodzi mu o bezpieczeństwo kopalni San Tomé i o zachowanie koncesji Gouldów w myśl jego układu z Holroydem. Holroyd jest drugim, niepowszednim człowiekiem. Rozumieją wzajemnie swe właściwości wyobraźniowe. Jeden ma lat trzydzieści, drugi blisko sześćdziesiąt, a są jak stworzeni dla siebie. Być miljonerem i to takim jak Holroyd, jest to być wie-

kuiście młodym. Śmiałość młodości polega na tem, iż zdaje się jej, że ma nieograniczony czas do rozporządzenia; atoli miljoner ma nieograniczone środki w swym ręku — a to jest lepsze. Długość życia jednostki ludzkiej jest czemś niepewnem, natomiast potęga miljonów nie ulega wątpliwości. Zaszczepienie czystych form chrześcijaństwa na tym kontynencie jest mrzonką młodocianego entuzjasty, a usiłowałem już panu wytłumaczyć, dlaczego Holroyd w pięćdziesiątym ósmym roku życia jest niby człowiek, co stoi u jego progu. Nie jest misjonarzem, ale kopalnia San Tomé w tem go wyręcza. Czy pan da wiarę, iż nie zdołał pominąć tej sprawy w czysto rzeczowej konferencji o finansach Costaguany, którą odbył przed laty z *Sirem* Johnem? Sir John wspomniał mi o tem z osłupieniem w liście, pisanym w drodze powrotnej z San Francisco. Daję panu słowo, doktorze, iż rzeczy same w sobie nic nie są warte. Poczynam wierzyć, iż jedyną, rzetelną ich wartością jest treść duchowa, którą każdy z nas odkrywa we właściwej sobie formie działalności...

— Ba! — przerwał doktór, nie przestając kiwać leniwie nogą. — To pochlebstwo w stosunku do siebie samego. Karm dla próżności, dzięki której świat nie ustaje w biegu. Ale jak panu się zdaje, co stanie się z skarbem, pływającym po zatoce z wielkim *Capatazem* i wielkim politykiem?

— Dlaczego pan tak o to się troszczy, doktorze?

— Ja się troszczę? A cóż mnie to do djabła obchodzi? Nie zwykłem wkładać treści duchowej w swe żądze, pragnienia i czyny. Nie są dość przestronne, żeby było w nich miejsce na pochlebstwo w stosunku do samego siebie. Niech pan tylko pomyśli! Bardzo chciałem przynieść ulgę w ostatnich chwilach tej

biednej kobiecie. I nie mogłem. Było to niepodobieństwem. Czy zajrzał pan kiedy niepodobieństwu w oczy — a może, niby jakiś Napoleon kolejowy, nie ma pan tego słowa w swym słowniku?

— Czy jest już z nią tak bardzo źle? — spytał inżynier naczelny z szczerem współczuciem.

Powolnem, ciężkiem stąpaniem zatętniła na piętrze podłoga, wsparta na potężnych, z twardego drzewa wyciosanych bierwionach, co podtrzymywały powałę kuchni. Następnie skroś cieśni klatki schodowej, pomieszczonej w grubym murze i tak wąskiej, iż jeden człowiek mógł tam się bronić przeciwko dwudziestu, doleciał szmer dwu głosów, jednego słabego i złamanego i drugiego, co mu odpowiadał głęboki i łagodny, przytłaczając swem pełniejszem brzmieniem głos słabszy.

Obaj mężczyźni pozostawali w głuchem milczeniu aż do chwili, kiedy szmery ucichły, poczem doktór ruszył ramionami i zamamrotał:

— Coraz gorzej. I nic nie mógłbym pomóc, chociażbym teraz poszedł na górę.

Na górze i na dole nastąpiło przewlekłe milczenie.

— Coś mi się zdaje — zaczął inżynier przyciszonym głosem — że pan nie dowierza *Capatazowi* kapitana Mitschella.

— Nie dowierzam mu? — cedził doktór przez zęby. — Mojem zdaniem jest on zdolny do wszystkiego — nawet do najniedorzeczniejszej wierności. Pan wie, iż byłem ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiał przed opuszczeniem wybrzeża. Biedna kobieta, co kona tam na górze, chciała z nim się widzieć, więc wezwałem go do niej. Nie godzi się sprzeciwiać konającym. Była już taka spokojna i pełna rezygnacji i oto ten drab w niespełna dziesięć minut coś takiego

zrobił czy powiedział, iż pogrążył ją w rozpaczy. Pan wie — mówił dalej doktór opieszale — iż kobiety we wszystkich warunkach i okresach życia są nieobliczalne; zdawało mi się więc nieraz, jakgdyby była w pewien sposób zakochana w tym *Capatazie*. Ten hultaj ma niewątpliwie właściwy sobie wdzięk, gdyż inaczej nie byłby dokonał podboju całej ludności miejskiej. Nie, nie! Nie mówię głupstw. Może określiłem niewłaściwie to silne uczucie, jakiego doznawała w stosunku do niego; może to był nierozumny i pierwotny odruch, do jakiego kobiety pod wpływem wrażenia są zdolne, gdy chodzi o mężczyznę. Pomiatała nim nieraz przede mną, co zresztą nie pozostaje w sprzeczności z mym domysłem. Bynajmniej. Zdawało mi się, iż ciągle myśli o nim. Miał wielkie znaczenie w jej życiu. Przyglądałem się ja tym ludziom. Ilekroć przyjeżdżałem z kopalni, Mrs. Gould prosiła mnie, bym nie spuszczał ich z oka. Ona lubi Włochów; przebywała długo we Włoszech i jak mi się zdaje, powzięła szczególniejszą sympatję dla tego starego *garibaldina*. Niezwykły z niego dziwak! Natura twarda i marzycielska, pogrążona w republikanizmie swej młodości niby w jakimś obłoku. Dodawał bodźca mętnym mrzonkom *Capataza* — ten stary, patetyczny, egzaltowany żebrak.

— Jakim mrzonkom? — dziwił się inżynier naczelny. Mojem zdaniem, *Capataz* był zawsze bardzo rozgarniętym i wrażliwym człowiekiem, nie znającym trwogi i nadzwyczaj użytecznym. Okazywał się ogromnie przydatnym. Sir John, jadąc przez góry ze Santa Marta, zachwycał się jego pomysłowością i zapobiegliwością. Później, jak pan zapewne wie, oddał nam niemałą przysługę, gdyż zawiadomił ówczesnego naczelnika policji o obecności kilku zawodowych złodziei,

którzy przybyli zdaleka do miasta, żeby ograbić nasz pociąg, wiozący pieniądze na miesięczne wypłaty. Z wielką umiejętnością zorganizował dla Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej służbę przewozową w porcie. Umie nakazać sobie posłuch, chociaż jest cudzoziemcem. Coprawda *Cargadorzy* są tu również cudzoziemcami — przybyszami, *Islenios* [1]).

— Jego urok jest jego szczęściem — mruknął doktór niechętnie.

— Człowiek ten dowiódł swej rzetelności w niezliczonych okolicznościach i w najrozmaitszy sposób — dowodził inżynier. — Gdy chodziło o to srebro, kapitan Mitschell oświadczył bardzo gorąco, iż jego *Capataz* jest jedynym człowiekiem, któremu można zaufać. Oczywiście jako marynarzowi. Bo jeżeli chodziło o człowieka, to trzeba panu wiedzieć, iż Gould, Decoud i ja sam byliśmy zdania, że wszystko jedno, kto popłynie. Równie dobrze mógł to uczynić pierwszy lepszy *boatman*. Bo, proszę pana, cóż może złodziej począć z takiem mnóstwem srebra? Gdyby z niem drapnął, musiałby wkońcu gdzieś wylądować i czyż zdołałby je ukryć przed oczyma ludności pobrzeżnej? Wprost niepodobna było brać pod rozwagę takiej możliwości, zwłaszcza, że popłynął z nim Decoud. Bywały okoliczności, w których nierównie więcej polegało się na dobrej woli *Capataza*.

— Zapatrywał się on na to nieco odmiennie — przemówił doktór. — Słyszałem, jak w tej tu izbie oświadczał, iż będzie to najrozpaczliwsza wyprawa jego życia. Wygłosił w mej obecności coś w rodzaju ostatniej woli i wyznaczył starego Violę na jej wykonawcę.

---

[1]) Wyspiarz.

Dalibóg, pan wie, iż nie wzbogaciła go ta jego wierność w stosunku do was — do ludzi z portu i z kolei! Zdaje mi się, iż wynagrodzeniem za jego prace bywają — jakby to powiedzieć? — jakieś wartości duchowe, gdyż inaczej nie umiałbym sobie wytłumaczyć, co za licho go skłania do tej wierności względem pana, Goulda, Mitschella lub kogokolwiek innego. Zna on dobrze ten kraj. Wie, naprzykład, iż taki Gamacho, poseł z Javiry, był najpospolitszym *tramposem* [1]), małym kramarzem z *Campa*, który wyłudził na kredyt trochę towarów od Anzaniego, otworzył sklepik hen, w dzikich stronach i został wybrany przez pijanych *mozów*, co wieszają się przy *Estanciach*, oraz przez zadłużonych u niego, najuboższych *rancherów*. A Gamacho, który jutro będzie prawdopodobnie wysokim naszym dostojnikiem, jest również przybłędą — *Islenio*. Byłby został *Cargadorem* T. O. Ż. P., gdyby swej karjery życiowej nie był zaczął od tego, iż zamordował jakiegoś wędrownego kramarza w borach i ukradł mu tłumok (co *posadero* z Rincon gotów jest stwierdzić przysięgą). A czy panu się zdaje, że taki Gamacho mógłby tu zostać bohaterem ludowym, jak nasz *Capataz*? Na pewno nie. Nie dorósł mu nawet do kostek. Nie; stanowczo ten Nostromo musi mieć bzika.

Gadanina doktora mierziła twórcę kolei. — Niema co o tem rozprawiać — rzekł filozoficznie. — Każdy człowiek ma swe uzdolnienia. Szkoda, że pan nie słyszał, jak Gamacho przemawiał do swych zwolenników z ulicy. Mówił, jakgdyby wył, i krzyczał jak opętany, wywijając zaciśniętą pięścią nad głową i wychylając

---

[1]) Oszust.

się do połowy ciała z okna. Tłuszcza, stojąca na dole, ryczała co chwili! — Precz z oligarchami! *Viva la Libertad!* Fuentes, który znajdował się wewnątrz pokoju, wyglądał przytem nadzwyczaj marnie. Pan wie, iż jest on bratem Jorgego Fuentesa, który przed kilku laty był przez pół roku ministrem spraw wewnętrznych. To człowiek bez sumienia, ale pochodzi z dobrej rodziny i jest nieźle wychowany. W swoim czasie był dyrektorem ceł w Caycie. Ten idjotyczny bydlak, Gamacho, uczepił go się wraz ze swą ciżbą najpodlejszego motłochu. Doprawdy, trudno wyobrazić sobie coś zabawniejszego, niż jego chorobliwą trwogę przed tym opryszkiem.

Podniósł się z ławy i podszedł ku drzwiom, by zerknąć ku przystani. — Jest spokojnie — powiedział. — Ciekaw też jestem, czy Sotillo istotnie zamierza tu przybyć.

ROZDZIAŁ II.

Kapitan Mitschell, przechadzając się po wybrzeżu, zadawał sobie to samo pytanie. Wciąż jeszcze zachodziła wątpliwość, czy właściwie zrozumiano telegrafistę z Esmeraldy, którego ostrzeżenie wypadło nader fragmentarycznie i urywkowo. Mimo to ten zacny człowieczyna postanowił nie udać się na spoczynek przed świtem, o ile zajdzie potrzeba. Wyobrażał sobie, iż oddał ogromną przysługę Charles'owi Gouldowi. Myśląc o ocalonem srebrze, zacierał ręce z zadowoleniem. Z właściwą sobie prostodusznością był dumny, iż wziął udział w tej, nadzwyczaj mądrze pomyślanej wyprawie. Dzięki jemu przybrała ona formę praktyczną, gdyż on to poddał myśl, że będzie można na morzu przychwycić parowiec, płynący ku północy. A było to z korzyścią także dla przedsiębiorstwa, któremu służył, postradałoby ono bowiem nader zyskowny ładunek, gdyby ten skarb pozostał na lądzie i uległ konfiskacie. Niemała też była jego radość z rozczarowania, jakie oczekiwało monterystów. Kapitan Mitschell nie był demokratą, gdyż właściwy mu temperament oraz długi nawyk komendy rozwinęły w nim poczucie władcze. Posuwał się tak daleko, iż nie skrywał swej pogardy nawet dla parlamentaryzmu. —

Jego ekscelencja, Don Vincente Ribiera — mawiał — którego ja i Nostromo mieliśmy szczęście i zaszczyt ocalić od okrutnej śmierci, nazbyt był uległy w stosunku do sejmu. To był błąd — stanowczy błąd, panie.

Stary, zacny marynarz, zwierzchnik T. O. Ż. P., wyobrażał sobie, iż ostatnie trzy dni wyczerpały już do dna zasób osłupiających niespodzianek w politycznem życiu Costaguany. Wyznawał potem, iż wypadki późniejsze przewyższyły jego wyobraźnię. Zaczęło się od tego, iż Sulaco (skutkiem przejęcia kabli i nieładu w krążeniu parowców) przez całe dwa tygodnie było odcięte od reszty świata niby oblężona twierdza.

— Poprostu nie do wiary, a jednak tak było, panie. Przez całe dwa tygodnie.

Opowiadania o niesłychanych zdarzeniach z owych czasów oraz o potędze wrażeń, jakich doświadczył, nabierały komicznego wyrazu z powodu pretensjonalności, co zabarwiała jego gawędę. Rozpoczynał stale od zapewnienia, iż „od początku do końca tkwił w sednie rzeczy“. Następnie opowiadał, jak wyprawiono to srebro i jak nie mógł pozbyć się obawy, by „jego chłopiec“, który miał pokierować przewozowcem, nie popełnił jakiego głupstwa. Chodziło nietylko o utratę drogocennego kruszcu, ale także o życie miłego, zamożnego i światłego *gentelmana*, *Seniora* Martina Decouda, który mógł wpaść w ręce swych politycznych nieprzyjaciół. Kapitan Mitschell przyznawał się również, iż czuwając samotnie na wybrzeżu, ulegał także niejakiej trosce o przyszłość tego kraju.

— Uczucie — tłumaczył — najzupełniej zrozumiałe u człowieka, który umiał być wdzięczny za niejedną uprzejmość, jakiej doznał od najznakomitszych rodzin

kupieckich oraz od innych, niezależnych, miejscowych *gentelmenów*. Zaledwie ocaleni przez nas z rąk motłochu, mieli, jak mi się zdawało, postradać swe majętności i stać się pastwą żołdactwa, które, jak wiadomo, zwykło postępować z mieszkańcami po barbarzyńsku podczas wojen domowych. Zresztą chodziło o oboje Gouldów, o męża i o żonę, do których czułem gorącą sympatję, wywołaną ich zacnością i gościnnością. Nie byłem również bez obaw o los *gentelmenów* z Klubu Amarilli, którzy mianowali mnie członkiem honorowym i okazywali mi stale wiele względów i życzliwości, mając na uwadze zarówno mą godność agenta konsularnego jak zaszczytne stanowisko kierownika w służbie wielkiego przedsiębiorstwa Żeglugi Parowej. Nie taję, iż troskałem się wielce o pannę Antonję Avellanos, najpiękniejszą i najmilszą, młodą osobę, z jaką kiedykolwiek miałem szczęście rozmawiać. Wreszcie musiałem dobrze się zastanowić, w jaki sposób zmiany na stanowiskach urzędniczych odbiją się na interesach naszego przedsiębiorstwa. Słowem byłem wielce zakłopotany i ogromnie znużony temi podniecającemi i wiekopomnemi wypadkami, w których potrosze wziąłem udział. Budynek Towarzystwa, w którym mieszkałem, znajdował się w odległości zaledwie pięciu minut drogi. Nęciła mnie kolacja, no i mój hamak (mam zwyczaj sypiać w hamaku, gdyż jest to najodpowiedniejsze posłanie w tym klimacie). Nie było w moich siłach przyjść z pomocą nikomu, a jednak nie mogłem odejść z pobrzeża, gdzie potykałem się wprost nieraz ze znużenia. Noc była nadzwyczaj ciemna — najciemniejsza, jakiej zaznałem w mojem życiu. To też pomyślałem sobie, iż z powodu utrudnionej żeglugi w zatoce, transportowiec nie będzie

mógł przybyć z Esmeraldy przed świtem. Moskity cięły jak wściekłe. Byliśmy tu udręczeni przez moskity, zanim nie poczyniono odpowiednich zarządzeń. Jest to plugastwo, właściwe tutejszej przystani i słynne ze swej jadowitości. Unosiły się niby obłok nad moją głową i tylko dzięki ich dokuczliwości nie zdrzemnąłem się podczas tej przechadzki i nie upadłem jak kłoda na ziemię. Paliłem cygaro po cygarze nie tyle z upodobania do tego zielska ile z obawy, by nie zagryzły mnie na śmierć. Otóż kiedy po raz dwudziesty przybliżałem mój zegarek do jarzącego się końca, by zobaczyć, która godzina, i ujrzałem ze zdziwieniem, że jest za dziesięć minut dwunasta — usłyszałem szmer, jaki wywołuje parowiec w ruchu. Jest to niezawodne ostrzeżenie dla ucha marynarza podczas takiej spokojnej nocy. Szmer ten był słaby, ponieważ płynęli nadzwyczaj wolno i ostrożnie zarówno z powodu ciemności jak z obawy, byśmy ich zawczasu nie zauważyli. Ostrożność ta była najzupełniej zbyteczna, gdyż jestem przekonany, iż na wybrzeżu tej ogromnej zatoki nie było prócz mnie żywej duszy. Nawet stróże nocni, przepłoszeni rozruchami, nie przychodzili już od pewnego czasu na swe stanowiska. Rzuciłem cygaro i przydeptawszy je, stałem nieruchomo jak posąg, co zapewne bardzo podobało się moskitom, o ile mogłem sądzić o tem następnego ranka z wyglądu mej twarzy. Ale była to drobnostka w porównaniu z brutalnem postępowaniem, którego w stosunku do mnie dopuścił się Sotillo. Coś wprost niesłychanego, proszę pana! Raczej wybryki jakiegoś manjaka niż czyn człowieka zdrowego, chociażby nawet wyzutego ze wszelkiego poczucia przyzwoitości

i honoru. Ale Sotillo był wściekły, że złodziejski plan mu się nie udał.

Kapitan Mitschell miał słuszność. Sotillo był istotnie rozwścieczony. Wszelako kapitan Mitschell nie został uwięziony odrazu. Ciekawość skłoniła go, iż pozostał na pobrzeżu (które ma około czterystu stóp długości), aby zobaczyć, a raczej aby usłyszeć, jak będzie odbywało się lądowanie. Ukryty za drezyną kolejową, którą przywieziono srebro, a następnie odsunięto ku przybrzeżnemu krańcowi pomostu, kapitan Mitschell dostrzegł mały oddział, co ruszył naprzód i rozsypał się w różnych kierunkach po równinie. Tymczasem wojska wylądowały i utworzyły kolumnę, której czoło, posuwając się stopniowo naprzód, zajęło niemal całą szerokość pomostu i znalazło się zaledwie o kilka *jardów* od niego. Następnie głuche pomruki, szczękania i szemrania ustały i cała ta ciżba czekała z jaką godzinę w nieruchomości i w milczeniu na powrót wywiadowców. Od strony lądu dolatywały tylko posępne warczenia brytanów, co strzegły remiz kolejowych, a przyciszonem ujadaniem odpowiadały im psy bezpańskie, wałęsające się po krańcach miasta. Gromadka ciemnych postaci stała naprzedzie, oddzielona od czoła kolumny.

Wreszcie placówka, ustawiona u końca pomostu, jęła półgłosem odzywać się do postaci, co samotnie nadbiegały od strony równiny. Ci wysłańcy oddziałów wywiadowczych mijali rączo swych towarzyszy, zbywając ich krótkiemi słowami, i gubili się w wielkiej, nieruchomej ciżbie, by zdać raport swym przełożonym. Kapitan Mistchell jął właśnie zdawać sobie sprawę, że to jego stanowisko może stać się nieprzyjemnem a nawet niebezpiecznem, gdy wtem u czoła kolumny

rozległ się okrzyk komendy, zagrała trąbka, szczęknęła broń i szmer przeleciał wzdłuż szeregów. Wpobliżu czyjś donośny głos rzucił śpieszny rozkaz: — Odsunąć ten wagon z drogi! — Zatupotały bose stopy, by wykonać to zlecenie, a kapitan Mitschell odskoczył wtył na dwa kroki. Wagon, pchnięty znagła wieloma ramionami, odbiegł od niego po szynach i zanim zrozumiał, co się stało, już go otoczono, uchwycono za ramiona, i kołnierz odzieży. — Pojmaliśmy jakiegoś człowieka który tu się ukrywał, *mi teniente!* — krzyknął któryś z jego prześladowców.

— Trzymajcie go, dopóki nie przejdzie straż tylna — odpowiedział głos. Biegiem minęła kapitana Mitschella cała kolumna i gromki rozhuk jej tupotu zamarł nagle na wybrzeżu. Prześladowcy trzymali go mocno, nie zważając na jego donośne oświadczenia, że jest Anglikiem i że żąda, aby go postawiono natychmiast przed oficerem naczelnym. Wkońcu pogrążył się w wyniosłem milczeniu. Na deskach pomostu rozległ się czczy łomot kół; toczyły się dwa działa polowe, popychane ludzkiemi rękami. Za niemi śród szczęku pochew stalowych przeszedł niewielki oddział, eskortujący cztery czy pięć postaci ludzkich, które kroczyły przodem. Wkońcu wzięto go pod ramiona i poprowadzono z pomostu do Urzędu Cłowego. Zachodzi obawa, iż podczas tego pochodu kapitan Mitschell doznał niejakich zelżywości z rąk żołnierzy; potrącano go, bito w kark, szturchano lufami karabinów między łopatki. Ich pojęcia o pośpiechu nie pozostawały w zgodzie z jego pojmowaniem godności własnej. Zakipiał z gniewu, poczerwieniał i stał się zupełnie bezradnym. Zdawało się mu, iż zbliża się koniec świata.

Długi budynek był otoczony wojskiem, które już ustawiło karabiny w kozły i układało się do spo-

czynku na swych *ponchos*, mając tornistry za wezgłowie. Kaprale chodzili z rozkołysanemi latarniami, ustawiając warty u wszystkich drzwi i otworów w murach. Sotillo poczynił takie zarządzenia, jakgdyby wewnątrz istotnie znajdowały się skarby. Chęć zdobycia fortuny od jednego, genjalnego zamachu wzięła w nim górę nad rozsądkiem. Nie chciał dać wiary w możliwość niepowodzenia; najlżejsza wzmianka o czemś podobnem zalewała mu mózg wściekłością. Wszelka niepomyślna okoliczność wydawała się mu nieprawdopodobną. Opowiadania Hirscha, które zadawało fatalny cios jego nadziejom, nie wziął zupełnie pod rozwagę. Coprawda, Hirsch opowiadał tak bezładnie i z takiemi widocznemi oznakami nieprzytomności, iż słowa jego istotnie raziły nieprawdopodobieństwem. Było niezmiernie trudno dorozumieć się z nich początku i końca. Na pokładzie parowca, bęzpośrednio po jego ocaleniu, Sotillo i inni oficerowie, pałając podnieceniem i niecierpliwością, nie pozostawili temu biedakowi ani chwili na zebranie odrobiny przytomności, która mu jeszcze pozostała. Należało go wpierw uspokoić, pokrzepić, ułagodzić, tymczasem przemawiano doń groźnie, obchodzono się z nim srogo, bito go i popychano. Jego drgawki, jego łaszenia się i przyklękania, po których następowały opętańcze skoki, jakgdyby koniecznie chciał się rzucić w morze — jego wrzaski i zapamiętania i pełzające dziko spojrzenia napełniły ich zrazu osłupieniem, lecz wnet nasunęły im podejrzenia co do jego dobrej woli, gdyż ludzie zawsze zwykli podejrzewać szczerość wszelkiej wielkiej namiętności. Język hiszpański tak mu się poplątał z niemieczczyzną, iż więcej niż połowa jego opowieści była najzupełniej niezrozumiała. Chciał ich przebłagać, nazywając ich *hoch*-

wohlgeborene Herren, co brzmiało nader podejrzanie. Gdy go upominano surowo, by nie kręcił, powtarzał znów swe błagania i zapewnienia swej rzetelności i niewinności uporczywie po niemiecku, nie zdając sobie sprawy, jakim mówi językiem. Wiedziano jużcić doskonale, że jest mieszkańcem Esmeraldy, ale to bynajmniej nie rozwiązywało sprawy. Zapomniawszy nazwiska Decouda, pomieszał go z innemi osobami, które spotkał w *Casie Gould*, i wywołał wrażenie, jakgdyby one znajdowały się również na przewozowcu. Sotillo przez chwilę mógł mniemać, iż zatopił wszystkich wybitnych ribierzystów ze Sulaca. Niepodobieństwo tego faktu całą opowieść podało w wątpliwość. Hirsch albo był obłąkany, albo udawał trwogę i roztargnienie, grając na zwłokę, by ukryć prawdę. Łapczywość Sotilla, podniecona do najwyższego stopnia nadzieją olbrzymiego łupu, nie chciała wierzyć w przeciwności. Być może, iż żyd był istotnie przerażony tym wypadkiem, ale wiedział, gdzie schowano srebro, i z żydowską chytrością zmyślał tę opowieść, by zupełnie zmylić mu tropy.

Sotillo zakwaterował się na piętrze w wielkiej komnacie z potężnemi, czarnemi bierwionami. Ale nie było tam pułapu i oko gubiło się w mrokach pod wysokiemi wiązaniami dachu. Ciężkie okiennice stały otworem. Na długim stole widniał wielki kałamarz, kilka uszkodzonych i umazanych atramentem piór, oraz dwie kwadratowe, drewniane skrzynki, z których każda zawierała pół centnara piasku. Arkusze szarego, szorstkiego, kancelaryjnego papieru leżały rozrzucone na podłodze. Było to widocznie miejsce urzędowania jakiegoś wyższego urzędnika celnego, gdyż za stołem stał wielki, obity skórą fotel oraz kilka krzeseł o wy-

sokich oparciach. Wygodny hamak zwieszał się z bierwion — zapewne urzędnik odbywał w nim swą popołudniową *siestę*. Kilka świec w wysokich, żelaznych lichtarzach jaśniało mdłem, czerwonawem światłem. Śród nich leżał kapelusz, pałasz i rewolwer pułkownika. Kilku zaufanych oficerów rozwaliło się posępnie dokoła stołu. Sam pułkownik siedział na fotelu, a ogromny murzyn z odznakami sierżanta na podartym rękawie klęczał przed nim i zdejmował mu buty. Hebanowo czarny wąs Sotilla pozostawał w jaskrawej sprzeczności z wybladłością jego twarzy. Chmurne jego oczy jakby zapadły się w głąb głowy. Zdawał się być wyczerpanym swemi rozterkami, znużonym od rozczarowań; ale kiedy wartownik, co stał na schodach, wetknął przez drzwi głowę i oznajmił o przybyciu jeńca, odżył natychmiast.

— Wprowadzić go tu! — wrzasnął srogo.

Drzwi otwarły się naścieżaj i kapitan Mitschell bez kapelusza na głowie, z porozpinaną kamizelką, z węzłem krawata gdzieś pod uchem, wpadł do pokoju.

Sotillo poznał go odrazu. Drogocenność tego połowu przeszła jego oczekiwania. Oto miał człowieka, który może mu powiedzieć, jeżeli zechce, wszystko, o co mu chodziło, i odrazu przyszło mu na myśl pytanie, w jaki sposób będzie go można najłacniej skłonić do szczerych zeznań. Gniew obcego narodu nie zastraszał Sotilla. Potęga całej zbrojnej Europy nie byłaby uchroniła kapitana Mitschella przed obelgami i zniewagami, gdyby nie nagła refleksja Sotilla, że jest on Anglikiem, który może wziąć na kieł pod wpływem nieuprzejmego postępowania i zaciąć się uparcie. Pułkownik uznał za stosowne rozpogodzić gniewne swe oblicze.

— Co to? Szanowny *senior* Mitschell! — zawołał z udaną zgrozą. Podbiegł tak śpiesznie z pozornym gniewem i krzyknął tak rozkazująco: — Puścić mi natychmiast tego *caballera*! — iż zdumieni żołnierze odskoczyli istotnie od swego jeńca. Pozbawiony w ten sposób przymusowego oparcia, kapitan Mitschell zatoczył się i omal nie upadł. Sotillo wziął go poufale pod ramię, posadził na krześle, poczem skinął ręką w głąb pokoju. — Wyjdźcie stąd wszyscy! — rozkazał.

Gdy odeszli, stał, spoglądając w niepewności i w milczeniu, i czekał, aż kapitan Mitschell odzyska mowę.

Oto miał w swych szponach jednego z ludzi, którzy zajmowali się wywiezieniem srebra. Temperament Sotilla był tego rodzaju, iż miał ochotę bić go, podobnie jak ongi, podczas żmudnych targów o pożyczkę z przezornym Anzanim, swędziły go palce, by ująć tego kramarza pod gardło. Zaś kapitan Mitschell nie mógł poprostu zebrać myśli z powodu nagłości, niespodziewaności oraz istnej niepojętości tego zdarzenia. Przytem dosłownie zabrakło mu tchu.

— Po drodze trzy razy przewrócono mnie na ziemię — wystękał wkońcu. — Ktoś za to odpowie! — Jakoż istotnie potykał się nieraz i wleczono go, zanim znów nie stanął na nogach. Przyszedłszy do siebie, zapamiętał się poprostu z oburzenia. Zerwał się na równe nogi, purpurowy, ze zjeżonym, siwym włosem i mściwemi płomykami w źrenicach, potrząsając łachmanami swej poszarpanej kamizelki przed zmieszanym Sotillem. — Niech pan spojrzy! Ci pańscy, umundurowani złodzieje ukradli mi na dole zegarek.

Wygląd starego marynarza był bardzo groźny. Sotillo zdał sobie sprawę, że nie ma dostępu do stołu, na którym leżał jego pałasz i rewolwer. — Żądam

zwrotu i przeproszenia! — piorunował Mitschell zapamiętale. — Od pana! Tak jest, od pana!

Przez jedno mgnienie stał pułkownik jak skamieniały; kiedy jednak kapitan Mitschell zamachnął się ręką ku stołowi, jakby chciał porwać rewolwer, Sotillo z okrzykiem przerażenia poskoczył ku drzwiom i znikł jak błyskawica, zatrzaskując je za sobą. Pod wpływem zdumienia przycichła wściekłość kapitana Mitschella. Sotillo wrzasnął za zamkniętemi drzwiami i donośny łomot nóg rozległ się na drewnianych schodach.

— Rozbroić go! Związać go! — huczał głos pułkownika.

Kapitan Mitschell zaledwie zdążył zerknąć ku oknom, o których wiedział, iż były zakratowane prostopadłemi sztabami żelaznemi i znajdowały się na dwadzieścia stóp ponad ziemią, gdy drzwi się otwarły i rzucono się na niego. W nieprawdopodobnie krótkim czasie przywiązano go rzemiennym popręgiem w ten sposób do krzesła, iż tylko głowa pozostała wolna. Dopiero wówczas odważył się wejść do pokoju Sotillo, który przedtem stał we drzwiach, drżąc widocznie. Żołnierze odeszli, pozbierawszy z podłogi karabiny, które porzucali, by pójść w zapasy z jeńcem. Pozostali oficerowie, wsparci na swych szablach.

— Zegarek! zegarek! — szalał pułkownik, rzucając się jak tygrys w klatce. — Oddać mi zegarek tego człowieka!

Kapitanowi Mitschellowi, zanim go postawiono przed Sotillem, zabrano istotnie zegarek z łańcuszkiem, niby to szukając broni. Ale znalazł się on natychmiast na wezwanie pułkownika i jakiś kapral przyniósł go, piastując starannie w złożonych dłoniach. Sotillo porwał

zegarek i trzymając go w zaciśniętej pięści, jął nim wymachiwać koło twarzy kapitana Mitschella.

— Cóż teraz, ty, bezczelny Angliku, coś śmiał naszych żołnierzy nazywać złodziejami? Masz tu swój zegarek!

Zamachnął się pięścią, jakby chciał uderzyć jeńca w nos. Kapitan Mitschell, bezsilny jak w powiciu dziecię, spoglądał niespokojnie na złoty chronometr, wartości sześćdziesięciu gwinei, który przed laty otrzymał w darze od Komitetu Asekuracyjnego za ocalenie pewnego okrętu od pożaru. Sotillo również zauważył cenny jego wygląd. Umilkł nagle, podszedł do stołu i jął oglądać starannie przy blasku świec. Oficerowie skupili się dokoła niego i zaglądali z za jego pleców, wyciągając szyje.

Zajęcie jego było tak wielkie, iż zapomniał na chwilę o swym jeńcu. Bywa zawsze coś dziecinnego w drapieżności namiętnych, trzeźwych ras południowych, pozbawionych mglistego idealizmu ludzi z Północy, którzy przy najlżejszej zachęcie marzą co najmniej o podboju świata. Sotillo przepadał za klejnotami, złotemi cackami, osobistemi ozdobami. Po chwili odwrócił się i rozkazującym ruchem odsunął precz swych oficerów. Położył zegarek na stole, poczem niedbałym ruchem przykrył go swym kapeluszem.

— Ha! — zaczął na nowo, podszedłszy bardzo blisko do krzesła. — Pan śmiesz nazywać naszych dzielnych żołnierzy z pułku Esmeraldy złodziejami? Pan się odważasz? Co za bezczelność! Wy, cudzoziemcy, przyjeżdżacie tutaj, by ograbiać nasz kraj z jego bogactw. Nigdy nie macie dosyć. Wasze zuchwalstwo nie zna granic.

Rzucił okiem ku owym oficerom, śród których

wszczął się potakujący szmer. Stary major uznał za właściwe oświadczyć: — *Si, mi colonel.* Oni wszyscy są zdrajcami.

— Nie wspomnę już — mówił dalej Sotillo, spoglądając na nieruchomego i bezsilnego Mitschella złem, lecz niepewnem spojrzeniem. — Nie wspomnę już o pańskiem, podstępnem usiłowaniu, by dorwać się do mojego rewolweru i zastrzelić mnie w chwili, kiedy obchodziłem się panem z taką uprzejmością, na jaką pan nie zasłużył. Naraził pan swe życie. Jedyną nadzieją pańską jest moja łaskawość.

Śledził, jakie wrażenie wywrą jego słowa, ale nie mógł dopatrzyć się oznak trwogi na twarzy kapitana Mitschella. Siwe jego włosy były pełne kurzu, co pokrywał również bezwładną jego postać. Nie dbając o zasłyszane słowa, ściągnął brew, by pozbyć się źdźbła słomy, co zawisło między włosami.

Sotillo wysunął nogę naprzód i wziął się pod boki. — To pan jest złodziejem — odezwał się z naciskiem — a nie moi żołnierze. — Wyciągnął ku swemu jeńcowi palec o długim paznokciu kształtu półksiężyca. — Gdzie jest srebro z kopalni San Tomé? Pytam pana, kapitanie Mitschellu, gdzie jest srebro, które znajdowało się tu, w tym Urzędzie Cłowym? Proszę mi odpowiedzić na moje pytanie! Pan je ukradłeś. Pan wziąłeś udział w jego kradzieży. Skradliście je rządowi. Aha! Panu się zdaje, że nie wiem, co mówię. Znam ja się na waszych cudzoziemskich wybiegach! To srebro wywieziono. Czy nie? Wywieziono je na jednej z pańskich *lanchas* [1]), ty łajdaku! Jak śmiałeś?

Tym razem wywołał wrażenie. — Skąd, u licha

---

[1]) Przewozowiec.

może o tem Sotillo wiedzieć? — myślał Mitschell. Nagłe drgnięcie głowy, tej jedynej części ciała, którą mógł poruszyć, zdradziło jego zdumienie.

— Ha! Pan drżysz — ryknął nagle Sotillo. — To spisek! To zbrodnia przeciw państwu. Czyś pan nie wiedział, że to srebro należy do Rzeczypospolitej, dopóki roszczenia rządu nie będą zaspokojone? Gdzie jest ono? Gdzieś je ukrył, ty, podły złodzieju?

Pytanie to skrzepiło mdlejącą otuchę kapitana Mitschella. Sotillo w jakiś niepojęty sposób dowiedział się wprawdzie o przewozowcu, ale go nie pojmał. To było jasne. Kapitan Mitschell postanowił w swem zelżonem sercu, iż nie rzeknie ani słowa, jak długo będzie tak haniebnie skrępowany, ale chętka, by dopomóc do ocalenia srebra, kazała mu odstąpić od tego postanowienia. Roztropność jego wzmogła się niepomiernie. Odkrył w Sotillu cień wątpliwości, jakowąś niepewność.

— Ten człowiek — rzekł do siebie — nie jest pewien tego, co utrzymuje. — Mimo swej pompatyczności w stosunkach towarzyskich, kapitan Mitschell umiał stawiać czoło rzeczywistościom życia ze stanowczością i odwagą. Ochłonąwszy z pierwszego wstrząsu, wywołanego tą ohydną zniewagą, był chłodny i skupiony. Skrzepiła go bezgraniczna pogarda, jaką czuł dla Sotilla, i odezwał się zagadkowo: — To pewna, że w tej chwili dobrze jest ono schowane.

Sotillo zdążył również ochłonąć. — *Muy bien*, Mitschell — rzekł zimno i groźnie. — Ale czy może pan wykazać się pokwitowaniem rządowem z pobranych opłat oraz pozwoleniem Urzędu Cłowego na wywóz, co? Może pan? Nie. Zatem srebro wywieziono bezprawnie, a winowajca będzie pociągnięty do odpowiedzialności, o ile w przeciągu pięciu dni go nie zwróci.—

Wydał rozkaz, by jeńca odwiązano i zamknięto w jednym z mniejszych pokoi na dole, poczem jął się przechadzać, chmurny i milczący. Tymczasem kapitan Mitschell, którego trzymało za ramiona po dwu ludzi, powstał, otrząsnął się i tupnął nogą. — Czy miło było być tak skrępowanym, panie Mitschell? — spytał drwiąco.

— Jest to ohydne, niesłychane nadużycie władzy! — oświadczył kapitan Mitschell donośnym głosem. — I zaręczam panu, że nic pan na tem nie zyska bez względu na to, co pan zamierza.

Wysoki, blady pułkownik o kruczych kędziorach i wąsach przykucnął, jeśli tak rzec można, by zajrzeć w oczy niskiemu, przysadkowatemu jeńcowi o czerwonej twarzy i rozczochranych, siwych włosach.

— Zobaczymy. Pozna pan lepiej moją władzę, gdy, przywiązany do słupka, postoi pan na słońcu przez cały dzień. — Wyprostował się wyniośle i dał znak, żeby wyprowadzono kapitana Mitschella.

— A co będzie z moim zegarkiem? — krzyczał kapitan Mitschell, opierając się żołnierzom, którzy go ciągnęli ku drzwiom.

Sotillo zwrócił się ku swym oficerom. — Posłuchajcie no, *caballeros*, tego *picara* [1])? — odezwał się z udaną pogardą, a na jego słowa odpowiedział chór drwiących śmiechów. — Upomina się o swój zegarek. — Podbiegł znów do kapitana Mitschella, gdyż zapragnął dać ujście swym odczuwaniom, bijąc i katując tego Anglika. — Twój zegarek! Jesteś jeńcem wojennym, Mitschellu! Nie masz ani prawa ani swej własności! *Caramba!* Nawet twa dusza należy do mnie. Pamiętaj to sobie!

---

[1]) Łotr.

— Gadaj sobie zdrów! — rzekł kapitan Mitschell, skrywając niemiłe uczucie.

Na dole, w wielkiej sali, gdzie zamiast podłogi była ubita ziemia a w rogu wznosił się wysoki kopiec, usypany przez białe mrówki, żołnierze z połamanych stołów i krzeseł rozpalili niewielkie ognisko wpobliżu sklepionej bramy, przez którą dolatywał nikły poszmer fal morskich, łamiących się na pobrzeżnym piasku. Kapitana Mitschella, gdy go sprowadzono po schodach nadół, minął jakiś oficer, pośpieszający do Sotilla z raportem, iż pojmano jeszcze więcej jeńców. W mrocznem przestworzu wielkiej sali pławiły się smugi dymu, ogień trzaskał i jakgdyby przez mgłę kapitan Mitschell, otoczony niskiemi postaciami żołnierzy z najeżonemi bagnetami, dostrzegł głowy trzech wysokich jeńców — doktora, inżyniera naczelnego oraz białą, lwią grzywę starego Violi, który stał, nieco odwrócony od innych, z głową, opuszczoną na piersi i skrzyżowanemi ramionami. Zdumienie Mitschella nie miało granic. Krzyknął na cały głos i tamci odpowiedzieli mu okrzykiem. Ale popędzono go dalej przez wielką salę, podobną do piwnicy. Mętnie wichrzyły się mu w głowie strzępy myśli, przypuszczeń, ostrzeżeń.

— Czy on naprawdę pana więzi? — krzyknął inżynier naczelny, który szkłem swych okularów migotał w poświacie ognia.

Jakiś oficer zawołał z góry nagląco: — Dawać ich tutaj wszystkich trzech!

W rozgwarze głosów i szczęku broni głos kapitana Mitschella zabrzmiał niewyraźnie: — Na Boga! Ten hultaj skradł mi zegarek.

Inżynier naczelny, wleczony już na schody, zdążył mimo naporu krzyknąć: — Co? Co pan powiedział?

— Mój chronometr! — wrzasnął kapitan Mitschell donośnie właśnie w chwili, kiedy przez wąskie drzwiczki wtrącono go na złamanie karku do jakiejś celi, zupełnie ciemnej i tak ciasnej, że potoczył się aż do przeciwległej ściany. Drzwi zatrzaśnięto za nim natychmiast. Wiedział, dokąd go wrzucono. Był to skarbiec Urzędu Cłowego, skąd zaledwie przed kilku godzinami zabrano srebro. Cela ta była wąska jak korytarz i miała naprzeciwko drzwi niewielki, kwadratowy otwór, zakratowany potężną sztabą. Kapitan Mitschell stąpał przez chwilę chwiejnym krokiem, poczem usiadł na ziemi i oparł się plecami o ścianę. Nic nie mąciło jego rozmyślań, nie wnikał nawet najniklejszy promyk światła. Myśli jego były twarde, acz niezbyt rozległe. Zbywało im na posępności. Stary marynarz mimo swych słabostek i niedorzeczności był z usposobienia niezdolny do dłuższych obaw o swe osobiste bezpieczeństwo. Wynikało to u niego nietyle z mocy ducha co z braku pewnego rodzaju wyobraźni, której nadmierny rozwój był przyczyną dotkliwych cierpień *seniora* Hirscha. Jest to ten rodzaj wyobraźni, co ślepy lęk fizycznego bólu i śmierci, pojętej tylko jako unicestwienie ciała, kojarzy z innemi pojęciami, na których polega sens istnienia jednostki. Na nieszczęście kapitan Mitschell nie posiadał zbyt wiele jakiejkolwiek przenikliwości; charakterystyczne, znamienne drobnostki wyrazu, czynu czy ruchu uchodziły zupełnie jego uwagi. Zbyt pompatycznie i naiwnie zdawał sobie sprawę z własnego istnienia, by zajmować się istnieniem innych. Nie mógł, naprzykład, uwierzyć, że Sotillo istotnie zląkł się jego, ponieważ nie przyszłoby mu nigdy do głowy strzelić do kogoś, chyba w ostateczności własnej obrony. Wszyscy powinni widzieć, iż nie jest on z tych,

co mordują ludzi, — rozumował najzupełniej poważnie. — Skądże więc to niewczesne i ubliżające oskarżenie? — zadawał sobie pytanie. Atoli jego myśli wirowały głównie dokoła zdumiewającego pytania, na które nie było odpowiedzi: Od jakiego djabła dowiedział się ten hultaj, iż srebro wywieziono w przewozowcu? A było rzeczą oczywistą, że go nie pojmał! Co do tego ostatniego wniosku sprowadzało kapitana Mitschella na mylne drogi przypuszczenie, wysnute podczas długiego czuwania w porcie ze spostrzeżeń nad stanem pogody. Zdawało mu się mianowicie, iż tej nocy wiał w zatoce wiatr, silniejszy niż zazwyczaj, tymczasem było właśnie wręcz przeciwnie. — Jakim cudem ten zatracony hultaj zdołał wywąchać tę sprawę? — brzmiało jego pierwsze pytanie, gdy trzask i łomot otwierających się drzwi (co zamknęły się znów, zanim zdążył podnieść pochyloną głowę) uświadomił go, iż pozyskał towarzysza niedoli. Głos dra Monyghama przestał mamrotać klątwy po hiszpańsku i angielsku.

— Czy to pan, panie Mitschell? — zapytał zgryźliwie. — Rznąłem łbem o tę przeklętą ścianę z taką siłą, że przewróciłby się nawet byk. Gdzie pan jest?

Kapitan Mitschell, przyzwyczajony do ciemności, dostrzegł doktora, który wyciągał omackiem ręce.

— Siedzę tu, na ziemi. A niechaj pan uważa i nie przewróci się przez moje nogi — oznajmił z wielką godnością głos kapitana Mitschella. Doktór, nie ważąc się chodzić pociemku, obsunął się również na ziemię. Obaj jeńcy Sotilla, dotykając się niemal głowami, jęli zwierzać się wzajemnie. — Trzeba panu wiedzieć, — zaspakajał półgłosem doktór namiętną ciekawość kapitana Mitschella — iż pojmano nas w domostwie starego Violi. Jak się zdaje, jeden z ich oddziałów, dowodzony

przez oficera, dotarł aż do bramy miejskiej. Nie mieli rozkazu wchodzić do miasta, lecz pozwolono im przytrzymywać każdego człowieka, spotkanego na równinie. Rozmawialiśmy w izbie przy otwartych drzwiach i dostrzegli zapewne migotanie naszego światła. Musieli podchodzić chyłkiem jakiś czas. Inżynier usiadł na ławie w kącie przy ognisku, a ja poszedłem na górę, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Nie słychać było stamtąd nic od dłuższego czasu. Stary Viola zobaczył, że nadchodzę, i podniesionem ramieniem dał znak, abym zachowywał się cicho. Wszedłem tam na palcach. Na miłość Boską, żona jego spoczywała na łóżku i zasypiała. Ta kobieta naprawdę zapadała w sen! Viola szepnął do mnie: — Zdaje mi się, że jej duszność minęła i że jest jej lepiej. — Tak jest — odparłem, wielce zdumiony. — Pańska żona jest dziwną kobietą. — Wtem rozległ się strzał w kuchni, a my drgnęliśmy i pochyliliśmy się, jak porażeni piorunem. Jak się zdaje, żołnierze podeszli bardzo blisko, a jeden z nich podpełzł do drzwi. Zajrzał do wnętrza, i sądząc, że tam niema nikogo, wszedł spokojnie z karabinem, gotowym do strzału. Inżynier naczelny opowiadał mi, iż na chwilę przedtem zamknął oczy. Kiedy je otworzył, stał już żołnierz pośrodku izby i zaglądał w ciemne kąty. Inżynier był tak przerażony, iż bez namysłu wyskoczył ze swej kryjówki wprost przed piec kuchenny. Żołnierz, niemniej przerażony podniósł karabin i dał ognia, ogłuszając i osmalając inżyniera, lecz chybiając go z pośpiechu zupełnie. I oto, co się stało! Na huk wystrzału drzemiąca kobieta zerwała się, jak podrzucona sprężyną, i krzyknęła: — Dzieci, Gian' Battisto! Ratuj dzieci! — Brzmią mi jeszcze te słowa w uszach. Był to najszczerszy krzyk rozpaczy, jaki kiedykolwiek słyszałem.

Stałem jak ubezwładniony, ale sędziwy małżonek podbiegł do łóżka, wyciągając ramiona. Przylgnęła do niego. Zobaczyłem, że jej oczy zachodzą szkliwem. Starzec opuścił ją na poduszki i obejrzał się na mnie. Umarła! Nie trwało to nawet pięciu minut, poczem zbiegłem nadół, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. Niepodobna było myśleć o oporze. Obaj nie umieliśmy nic powiedzieć, przesłuchiwani przez oficera; zgodziłem się jednak pójść na górę z kilkoma żołnierzami i przyprowadzić starego Violę. Siedział na łóżku, zapatrzony w twarz swej małżonki, i zdawał się nie słyszeć, co do niego mówiłem; ale kiedy przykryłem prześcieradłem jej głowę, powstał i zeszedł z nami spokojnie po schodach w jakowejś zadumie. Poprowadzili nas drogą, pozostawiając drzwi otwarte i niezgaszoną świecę. Inżynier naczelny szedł w milczeniu, a ja obejrzałem się raz czy dwa razy na nikłe migotanie. Gdyśmy uszli już dość daleko, *garibaldino*, który stąpał obok mnie, odezwał się nagle: — Grzebałem ja wielu ludzi na pobojowiskach tego lądu. Księża mówią o poświęcanej ziemi. Ba! Cała ziemia jest święta, bo jest stworzona przez Boga; ale najświętsze jest morze, gdyż nie zna królów, księży i tyranów. Doktorze! Chciałbym ją pogrześć w morzu bez wszelkich komedyj, świec, kadzideł, bez księży i ich święconej wody. Duch wolności unosi się nad wodami... — Osłupiający starzec. Mówił to wszystko półgłosem jakby do samego siebie.

— Zapewne, zapewne — przerwał kapitan Mitschell niecierpliwie. — Ale czy nie domyśla się pan, w jaki sposób ten opryszek, Sotillo, zebrał swe informacje? Przecież nie dostał w swe łapy żadnego z naszych *Cargadorów*, którzy pomagali przy prze-

suwaniu drezyny, co? Ale nie, to niepodobna! Byli to wybrani ludzie, którzy od pięciu lat pełnili służbę na naszych łodziach, i każdemu z nich osobiście wręczyłem gwineję z poleceniem, by usunął się z oczu ludzkich co najmniej na dwadzieścia cztery godzin. Widziałem na własne oczy, jak razem z Włochami odchodzili do remiz kolejowych. Inżynier naczelny obiecał dostarczać im żywności tak długo, jak długo tam będą przebywali.

— No — rzekł doktór zwolna — niech pan się pożegna raz na zawsze ze swym najlepszym przewozowcem i z *Capatazem Cargadorów*.

Na te słowa kapitan Mitschell zerwał się na równe nogi z nadmiaru podniecenia. Nie pozwalając mu przyjść do słowa, opowiedział doktór pokrótce, co zrobił Hirsch tej nocy.

Kapitan Mitschell zapamiętał się. — Utonął! — mruczał nieprzytomnym i przerażonym głosem. — Utonął! — Następnie pogrążył się w milczeniu i pozornie słuchał, lecz nazbyt był przygnębiony tą fatalną wiadomością, by zwracać baczniejszą uwagę na opowiadanie doktora.

Doktór tak dobrze udawał, iż o niczem nie wie, że Sotillo kazał przyprowadzić Hirscha, by raz jeszcze opowiedział wszystko, co zresztą odbyło się z niesłychaną trudnością, gdyż żyd co chwila zanosił się łkaniem. Wkońcu wyprowadzono Hirscha i zamknięto w pokoju na piętrze, żeby go mieć pod ręką na każde zawołanie. Poczem doktór, udając człowieka, niewtajemniczonego w poufne sprawy zarządu San Tomé, napomknął, iż ta opowieść brzmi nieprawdopodobnie. Jużcić — wyraził się — nie może powiedzieć, co robili Europejczycy, gdyż był ogromnie zajęty, opatrując

rannych i czuwając nad Donem Josém Avellanosem. Przybrał z takiem powodzeniem ton obojętnej bezstronności, iż Sotillo zdawał się być najzupełniej wyprowadzonym w pole. Do tej chwili przesłuchanie odbywało się najzupełniej prawidłowo. Jeden z oficerów siedział przy stole, zapisując pytania i odpowiedzi. Inni wałęsali się po pokoju, słuchali uważnie, palili długie cygara i nie spuszczali oczu z doktora. Ale nastąpiła chwila, kiedy Sotillo wyprawił ich wszystkich za drzwi.

ROZDZIAŁ III.

Skoro tylko pozostali sami, zaszła zmiana w urzędowej surowości pułkownika. Powstał z miejsca i zbliżył się do doktora. Oczy migotały mu drapieżnością i nadzieją. Jął się zwierzać: — Być może, iż srebro załadowano istotnie na przewozowiec, ale niepodobna pomyśleć, żeby je wywieziono na morze. — Doktór, bacząc na każde słowo, kiwał zlekka głową i z udaną lubością palił cygaro, które mu ofiarował Sotillo na znak swych przyjacielskich zamiarów. Chłodne odosobnienie, w jakiem pozostawał doktór w stosunku do innych Europejczyków, wprowadziło w błąd Sotilla, który przechodząc od przypuszczenia do przypuszczenia, oświadczył wkońcu, iż jego zdaniem jest to sztuczka Charles'a Goulda, by ten olbrzymi skarb zagarnąć wyłącznie dla siebie. Doktór, baczny i panujący nad sobą, mruknął: — On zdolny jest do tego.

Tu kapitan Mitschell zawołał zdumiony i oburzony: — Powiedział pan to o Charles'ie Gouldzie? — Niesmak, a nawet niejaka podejrzliwość drgnęła w jego głosie, bowiem dla niego, podobnie jak dla innych Europejczyków kryła się jakowaś dwuznaczność w charakterze doktora.

— Cóż, u licha, skłoniło pana, iż wyraził się pan

w ten sposób do tego łotra, co kradnie zegarki? — zapytał. — Jaki był cel tego piekielnego kłamstwa? Ten zatracony kieszonkowiec mógł naprawdę uwierzyć panu.

Parsknął. Doktór przez chwilę milczał w ciemności.

— Takie jednak było dokładne brzmienie moich słów — odezwał się wkońcu tonem, z którego ktoś trzeci byłby wywnioskował, iż zwłoka w odpowiedzi nie wynikła z ociągania się, lecz z refleksji. Kapitan Mitschell pomyślał sobie, iż nie zdarzyło mu się jeszcze słyszeć czegoś równie bezwstydnego.

— No, dobrze, dobrze! — mruknął do siebie, ale serce nie wtórowało jego myślom. Ustąpiły one miejsca innym, pełnym skupienia i żalu. Przygnębiło go ciężkie poczucie klęski: utrata srebra, śmierć Nostroma, która była dla niego istotnym ciosem, gdyż przywiązał się do swego *Capataza*, jak zwykli przywiązywać się ludzie do swych podwładnych z umiłowania wygody i niemal bezwiednej wdzięczności. Kiedy zaś pomyślał, iż Decoud również utonął, zapamiętywał się niemal z żalu nad tym nieszczęsnym zgonem. Jakiż to bolesny cios dla tej biednej, młodej osoby! Kapitan Mitschell nie należał do gatunku zgryźliwych, starych bakałarzy; wręcz przeciwnie lubił, gdy młodzieńcy zalecali się do panien. Wydawało się mu to czemś naturalnem i właściwem. Przedewszystkiem właściwem. Co do marynarzy, miała się rzecz inaczej; nie powinni się żenić — utrzymywał — z powodów moralnych, mianowicie z powodu zaparcia się, gdyż życie na pokładzie okrętu żadną miarą nie odpowiada kobiecie, jeżeli zaś pozostawi się ją na lądzie, to po pierwsze nie jest to pięknie, a po wtóre albo naraża się ją na cierpienia, albo też ona się zapomina, w obu

zaś wypadkach jest to rzeczą zdrożną. Nie byłby umiał powiedzieć, co dotknęło go bardziej — czy ogromna strata materjalna Charles'a Goulda, czy śmierć Nostroma, która dla niego samego była bolesną stratą, czy wreszcie myśl o tej pięknej i szlachetnej kobiecie, pogrążonej w żałobie.

— Tak jest — zaczął znowu doktór, któremu widocznie jeszcze coś innego przyszło na myśl. — Uwierzył mi do tego stopnia, iż myślałem, że mnie uściska. „*Si, si*“, powiedział, „napiszę do swego wspólnika, bogatego *Americano*, że wszystko przepadło. Bo i czemużby nie? Jest przecież czem się podzielić z wieloma ludźmi“.

— Ależ to głupie! — krzyknął kapitan Mitschell.

Doktór zauważył, że Sotillo jest głupi i że jego głupota jest dość przemyślna, by go zupełnie sprowadzić na manowce. On mu do tego dopomógł, ale niewiele.

— Przebąknęłem — rzekł doktór — nibyto przypadkiem, iż ten skarb raczej spoczywa w ziemi, niż pływa po morzu. Na to Sotillo uderzył się ręką w czoło. „*Por Dios*, tak jest“ — rzekł — „zakopali go gdzieś na wybrzeżu tej zatoki, zanim odpłynęli“.

— Do stu piorunów! — mruczał kapitan Mitschell. — Nie mieści mi się w głowie, żeby ktoś mógł być takim osłem... — Zatrzymał się, poczem dodał posępnie: — Lecz naco to się przyda? Byłoby warto skłamać, gdyby przewozowiec unosił się jeszcze na powierzchni morza. Powstrzymałoby to może tego niepojętego idjotę od wysłania parowca na wody zatoki. Było to niebezpieczeństwo, które nie dawało mi spokoju. — Kapitan Mitschell westchnął głęboko.

— Miałem cel — przemówił doktór zwolna.

— Miał go pan? — zamamrotał kapitan Mitschell. — To dobrze. Gdyż inaczej pomyślałbym, iż wodził go pan za nos, by sobie zakpić z niego. Może to było pańskim celem. Wyznaję, iż osobiście nie zniżyłbym się do czegoś podobnego. Nie jest to w moim smaku. Nie, nie! Nie oczerniłbym charakteru przyjaciela, chociażby chodziło o kpinę z najpodlejszego opryszka na świecie.

Gdyby nie przygnębienie, wywołane fatalnemi nowinami, niesmak, jaki odczuwał w stosunku do dra Monyghama, byłby przybrał wyrazistsze kształty. Ale pomyślał sobie, iż obecnie już nic na tem nie zależy, co powie lub uczyni ten człowiek, którego nigdy nie lubił.

— Dziwię się — sarknął — iż zamknięto nas razem i że Sotillo wogóle kazał pana zamknąć, gdyż, jak mi się zdaje, byłby pan dla niego pożądanym towarzyszem.

— Tak, to dziwne! — rzekł doktór cierpko.

Kapitan Mitschell był tak przygnębiony, iż byłby wolał zupełną samotność od najlepszego towarzystwa. Ale łatwiej byłby zniósł byle kogo niż doktora, na którego zawsze patrzał krzywo, niby na jakiegoś zawalidrogę niepośledniej inteligencji, co podźwignął się w części ze swego upadku. To uczucie skłoniło go do zapytania:

— A co ten opryszek uczynił z dwoma innymi?

— Inżyniera naczelnego wypuści w każdym razie — odpowiedział doktór. — Nie zechce sobie wiązać rąk zatargiem z koleją. Żadną zaś miarą w obecnej chwili. Nie wiem, czy pan dokładnie zdaje sobie sprawę z położenia Sotilla...

— Nie widzę powodu, dla którego miałbym łamać sobie nad tem głowę — zżymał się kapitan Mitschell.

— Oczywiście — przyznał doktór z niemniejszą cierpkością. — I ja także nie widzę. Przecież to nikomu nic z tego nie przyjdzie, gdy pan nad czemś zastanowi się dokładniej.

— Jużcić że nie — rzekł kapitan Mitschell poprostu i z jawnem przygnębieniem. — Człowiek, zamknięty w tej przeklętej, czarnej dziurze, nie jest przydatny nikomu.

— Jeżeli zaś chodzi o starego Violę, — mówił doktór dalej, jakgdyby nie dosłyszał — to Sotillo wypuścił go dla tego samego powodu, dla którego wnet wypuści pana.

— Jakto? Co? — zawołał kapitan Mitschell, wytrzeszczając oczy w ciemności na podobieństwo sowy. — Cóż ja mam wspólnego ze starym Violą? Chyba to, że stary dziwak nie ma zegarka i łańcuszka, który ten kieszonkowiec może ukraść. A ja panu powiadam, doktorze Monyghamie — mówił dalej z wzmagającym się gniewem — iż trudniej przyjdzie mu uwolnić się ode mnie, niż sobie wyobraża. Niech pan wie, że jeszcze poparzy sobie palce na tej drobnostce. Przedewszystkiem nie odejdę bez mego zegarka, a co do reszty, to zobaczymy! Zdaje mi się, że być zamkniętym, to nic wielkiego dla pana. Ale Joe Mitschell jest innego pokroju człowiekiem. Nie zamierzam poddać się ulegle zniewadze i grabieży. Piastuję godność publiczną, mój panie!

W tej chwili kapitan Mitschell zauważył, iż czarne kraty w okienku zarysowały się na kwadratowem tle szarzyzny. Bielejący dzień uciszył go, jakgdyby przyszło mu na myśl, iż odtąd już na zawsze będzie pozbawiony cennych usług swego *Capataza*. Oparł się o ścianę, skrzyżowawszy ramiona, zaś doktór jął przechadzać się po celi, jakoś dziwnie kulejąc, jakgdyby

utykał na nogę. Opodal od kraty zatracał się zupełnie w ciemności. Dolatywał od niego tylko lekki szmer posuwistego kusztykania. W tem nieustannem, przykrem miotaniu się, było jakby jakieś posępne odosobnienie. Nie okazał zdumienia, kiedy drzwi nagle się otwarły i wywołano go po nazwisku. Skręcił na miejscu nagle i wyszedł odrazu, jakby zależało mu na pośpiechu. Natomiast kapitan Mitschell stał jakiś czas oparty plecami o ścianę, wahając się w swem rozgoryczeniu, czy na znak protestu nie należałoby pozostać bez ruchu. Chciał niemal, by go wywleczono przemocą, lecz ostatecznie zgodził się wyjść, gdy oficer ode drzwi zawołał na niego trzy czy cztery razy tonem karcącym i zdziwionym.

Zachowanie się Sotilla uległo zmianie. Obcesowa uprzejmość pułkownika, stała się nieco niepewną, jakgdyby był w niepewności, czy uprzejmość w tym wypadku jest na miejscu. Przyjrzał się kapitanowi Mitschellowi uważnie, zanim z wielkiego fotelu, co stał za stołem, przemówił łaskawym głosem:

— Postanowiłem nie zatrzymywać pana, *senior* Mitschell. Umiem zapominać. Mam wyrozumiałość. Ale niechaj to będzie nauką dla pana.

Osobliwszy brzask Sulaca, co zda się wynikać skądś, od zachodu i wsiąkać w cienie górskie, mieszał się z czerwonawą poświatą świec. Kapitan Mitschell na znak obojętności i pogardy błądził oczyma po pokoju, obrzucając w przelocie twardem spojrzeniem doktora, który wtuliwszy się we wnękę okna, opuścił powieki, niedbały i zamyślony — a może zawstydzony.

Sotillo, obwarowany w wielkim fotelu, dorzucił: — Sądziłem, iż uczucia *caballera* podyktują panu właściwą odpowiedź.

Oczekiwał jej, lecz kapitan Mitschell milczał raczej z krańcowej odrazy niż z umyślnego postanowienia. Sotillo zawahał się, zerknął ku doktorowi, który podniósł oczy i skinął głową, poczem rzekł z niejakim wysiłkiem:

— Oto pański zegarek, *senior* Mitschell. Widzi pan, jak przedwczesny i niesprawiedliwy był pański sąd o mych patrjotycznych żołnierzach.

Rozwalony na fotelu, wyciągnął ramię ku stołowi i odsuwał zegarek zlekka od siebie. Kapitan Mitschell podszedł z nieskrywanym pośpiechem do stołu, przyłożył zegarek do ucha i włożył go chłodno do kieszonki.

W Sotillu wezbrała ogromna niechęć. Zerknął znów zukosa na doktora, który patrzał na niego, nie mrużąc oczu.

Ale kiedy kapitan Mitschell odwrócił się, nie zaszczyciwszy go ukłonem, ani spojrzeniem, rzekł śpiesznie:

— Może pan zejść nadół i poczekać tam na *seniora* doktora, którego zamierzam również uwolnić. Wy, cudzoziemcy, w mem pojęciu jesteście bez znaczenia.

Parsknął wymuszonym, przykrym śmiechem. Kapitan Mitschell po raz pierwszy spojrzał na niego z niejakiem zajęciem.

— Prawo zajmie się później pańskiemi przekroczeniami — gadał śpiesznie Sotillo. — Ale ja pozwalam panu żyć swobodnie, bez straży i nadzoru. Słyszy pan, *senior* Mitschell? Może pan powrócić do swych zajęć. Nie zasługuje pan na moją uwagę. Jestem zajęty czemś, nierównie ważniejszem.

Kapitanowi Mitschellowi odpowiedź wisiała już niemal na języku. Nie podobało mu się, iż uwalniano

go obelżywie; ale bezsenność, przewlekła troska, głębokie rozczarowanie z powodu fatalnego niepowodzenia ze srebrem, zaciężyły na jego duchu. Zdołał zaledwie ukryć przykrość, jaką uczuwał nietyle z powodów własnych, ile z powodu ogólnego stanu rzeczy. Doznał niedwuznacznego wrażenia, iż coś odbywa się pokryjomu. Wychodząc, zlekceważył zupełnie doktora.

— Bydlę! — powiedział Sotillo, gdy drzwi się zamknęły.

Dr. Monygham wypełzł z wnęki okiennej i włożywszy ręce do kieszeń długiego, szarego, zakurzonego płaszcza, który miał na sobie, posztykutał w głąb pokoju.

Sotillo powstał również i zastąpiwszy mu drogę, mierzył go oczyma od stóp do głowy.

— Pańscy ziomkowie niedowierzają zbytnio panu, *senior doctor*. Nie lubią pana, co? Ciekaw jestem, dlaczego?

Doktór, podniósłszy głowę, odpowiedział długiem, martwem spojrzeniem i słowami: — Może dlatego, że za długo przebywałem w Costaguanie.

Sotillo błysnął białemi zębami z pod czarnych wąsów.

— Aha! Ale pan lubi siebie — rzekł, dodając otuchy.

— Wydadzą się oni rychło sami, — rzekł doktór, spoglądając z tym samym martwym wyrazem w urodziwą twarz Sotilla — jeśli pozostawi ich pan w spokoju. Tymczasem możebym skłonił Dona Carlosa do mówienia?

— Ah, *senior doctor*, — odezwał się Sotillo, potrząsając głową — jest pan człowiekiem bystrej inteligencji. Jesteśmy jak stworzeni dla siebie. — Odwrócił się. Nie mógł znieść dłużej tego bezbarwnego i nieruchomego wzroku, z którego wyzierała jakowaś nieprzenikniona czczość, niby czarna głąb otchłani.

Nawet w człowieku, zupełnie pozbawionym zmysłu moralnego, pozostaje zdolność oceny łajdactwa. Jest ona konwencjonalna i zupełnie jasna. Sotillo myślał, iż dr. Monygham, tak odmienny od innych Europejczyków, był gotów sprzedać swych ziomków i swego chlebodawcę, Charles'a Goulda, za udział w srebrze ze San Tomé. Sotillo nie odczuwał dla niego pogardy z tego powodu. Zanik zmysłu moralnego u pułkownika miał głębię niewinności. Graniczył z tępotą, moralną tępotą. Nic nie było dla niego nagannem, o ile służyło jego celowi. Mimo to czuł odrazę do doktora Monyghama. Miał dla niego bezgraniczną i pełną zadowolenia pogardę. Pogardzał nim z całego serca, gdyż bynajmniej nie zamierzał udzielić doktorowi nagrody. Pogardzał nim nie jako człowiekiem bez czci i wiary, lecz jako głupcem. Dr. Monygham poznał się tak dobrze na charakterze Sotilla, iż zmylił go najzupełniej. Dlatego uważał on doktora za głupca.

Poglądy pułkownika od chwili przybycia do Sulaca, uległy niejakiej zmianie.

Nie pragnął już karjery politycznej w rządzie Montera. Powątpiewał zawsze o jego trwałości. Nieufność jego wzmogła się niepomiernie, gdy dowiedział się od inżyniera naczelnego, iż najprawdopodobniej już o świcie zetknie się z Pedrem Monterem *Guerillero*, brat generała — Pedrito, jak go powszechnie nazywano — był niemniej osławiony od niego samego. Sotillo miał niejasne zamiary zagarnięcia nietylko skarbu, ale i miasta oraz nawiązania rokowań wedle swej woli. Ale wobec wieści, zasłyszanych od inżyniera naczelnego (który nie skrywał przed nim grozy położenia), śmiałość jego, wogóle niezbyt stanowcza, ustąpiła miejsca najprzezorniejszemu wahaniu.

— Armja — cała armja przekroczyła już góry pod wodzą Pedrita — powtarzał, nie kryjąc swego zakłopotania. — Nie wierzyłbym temu, gdyby te nowiny nie pochodziły od człowieka na pańskiem stanowisku. Zdumiewające!

— Oddział zbrojny — poprawił go inżynier ze słodyczą.

Cel swój osiągnął. Chodziło o to, by Sulaco jeszcze przez kilka godzin było wolne od zbrojnej okupacji i ludzie, których ogarnęła trwoga, mogli opuścić miasto. Śród ogólnego przerażenia były rodziny, które spodziewały się jeszcze ujść do Los Hatos drogą, opuszczoną chwilowo przez zbrojną tłuszczę. Pod wodzą *seniorów* Fuentesa i Gamacha podążała ona do Rincon, by przygotować entuzjastyczne przyjęcie dla Pedra Montera. Była to pośpieszna i pełna niebezpieczeństwa ucieczka. Opowiadano, iż Hernandez, który ze swymi opryszkami opanował lasy w okolicy Los Hatos, nie odmawiał schronienia zbiegom. Inżynier naczelny wiedział dobrze, iż wiele osób przygotowywało się do tej ucieczki.

Starania, podejmowane przez ojca Corbelàna w sprawie najpobożniejszego z opryszków, nie były zupełnie bezowocne. Gubernator Sulaca uległ w ostatniej chwili usilnym naleganiom księdza i podpisał tymczasową nominację, mianującą Hernandeza generałem i polecającą mu urzędowo z tytułu tej nowej godności, by przestrzegał porządku w mieście. Sprawa przedstawiała się tak, iż gubernator, widząc, że wszystko stracone, nie dbał o to, co podpisał. Był to ostatni dokument urzędowy, który podpisał przed opuszczeniem pałacu *Intendencii* i ucieczką do zabudowań T. O. Ż. P. Stało się to jednak już poniewczasie, gdyby nawet kładł swój podpis pod tym aktem w przeświadczeniu, iż bę-

dzie on miał wartość rzeczywistą. Zaburzenia, których oczekiwano i obawiano się, wybuchły w niespełna godzinę po jego rozstaniu się z ojcem Corbelànem. Ojciec Corbelàn, który miał spotkać się z Nostromem w klasztorze dominikańskim, gdzie zajmował celę, nie zdołał dotrzeć do tego miejsca. Z *Intendencii* poszedł on prosto do domu Avellanosa, by pomówić z swym szwagrem, i został odcięty od swego ascetycznego ustronia. Nostromo czekał tam czas jakiś, śledząc z niepokojem wzmagający się zamęt na ulicach, poczem poszedł do redakcji *Porvenira* i pozostał tam do świtu, jak napomknął o tem Decoud w liście do swej siostry. Stało się tedy, iż *Capataz* zamiast pojechać konno do lasów koło Los Hatos i doręczyć Hernandezowi nominację, pozostał w mieście, by ocalić życie prezydenta-dyktatora, wziąć udział w stłumieniu rozruchów motłochu i odpłynąć wkońcu ze srebrem na wody zatoki.

Atoli ojciec Corbelàn, uchodząc do Hernandeza, miał przy sobie ów dokument, co przeobrażał bandytę w generała i był ostatnim, pamiętnym aktem stronnictwa ribierzystów, którego hasłami była uczciwość, pokój i postęp. Ani ksiądz, ani bandyta, nie zauważyli prawdopodobnie ironji tego faktu. Ojciec Corbelàn zdołał widocznie znaleźć ludzi, którzy się podjęli poselstwa do miasta, gdzie już o świcie drugiego dnia rozruchów gruchnęły wieści, iż Hernandez czatuje na drodze do Los Hatos i gotów jest przyjąć uchodźców, którzy oddadzą się mu pod opiekę. Dziwnie jakoś wyglądający, niemłody już i zuchwały jeździec pojawił się w mieście i człapiąc zwolna na koniu, przyglądał się domom, jakgdyby po raz pierwszy widział takie wysokie budynki. Przed katedrą zsiadł z konia, ukląkł na środku *Plazy*, przełożył sobie wodze przez ramię,

umieścił swój kapelusz przed sobą na ziemi, pochylił nisko głowę, przeżegnał się i uderzył się kilkakrotnie pięścią w piersi. Wsiadłszy znów na konia, powiódł nieulęknionem, acz przychylnem spojrzeniem po gromadce ludzi, co zbiegli się na widok jego publicznej pobożności, poczem zapytał o *Casę Avellanos*. Wyciągnęło się mnóstwo dłoni, wskazując palcami w kierunku *Calle de la Constitucion*.

Jeździec odjechał, zerknąwszy ciekawie ku oknom Klubu Amarilli, co wznosił się na rogu tej ulicy. Stentorowy jego głos rozbrzmiewał co chwila w opustoszeniu pytaniem: — Gdzie jest *Casa Avellanos?* — aż wreszcie otrzymał odpowiedź od przepłoszonego portjera i znikł pod bramą. List, przywieziony przez niego, był przez ojca Corbelàna pisany ołówkiem przy ognisku obozowem Hernandeza i miał być doręczony Donowi Josému, o którego groźnej niemocy ksiądz nic nie wiedział. Antonja przeczytała go i zasięgnąwszy rady Charles'a Goulda, odesłała go celem uwiadomienia panów, którzy tworzyli załogę Klubu Amarilli. Wiedziała, co począć. Zamierzała się udać do swojego wuja, ostatnie dni, a może nawet ostatnie godziny życia swego ojca powierzyć opiece bandyty, którego istnienie było protestem przeciwko nieodpowiedzialnej tyranji wszystkich zarówno stronnictw, przeciwko moralnemu ściemnieniu całego kraju. Wolała od niego mroki borów Los Hatos. Mniej było poniżające twarde życie śród szajki rozbójników. Antonja całą duszą upodobała sobie wyzywającą zaciekłość, z jaką jej wuj stawiał czoło niedoli. Upodobanie to wynikało z wiary w człowieka, którego kochała.

Wikarjusz generalny poręczał w swym liście własną głową za wierność Hernandeza. Mówiąc o jego potę-

dze, zwracał uwagę, iż nie zdołano go poskromić przez wiele lat. W liście tym decoudowska idea nowego państwa zachodniego (którego kwitnący i uporządkowany stan jest obecnie znany powszechnie) po raz pierwszy została podana do wiadomości publicznej i przytoczona jako argument. Hernandez, były bandyta i ostatni generał z mianowania ribierzystów, miał rzekomo dość sił, by utrzymać połać kraju między borami Los Hatos a skrajem pobrzeża, aż do chwili, kiedy ofiarny patrjota, Don Martin Decoud, sprowadzi zpowrotem do Sulaca generała Barriosa i odzyska to miasto.

„Taka jest wola nieba. Opatrzność jest po naszej stronie“ — pisał ojciec Corbelàn. Nie było czasu rozmyślać nad wytworzonym przez niego stanem rzeczy, a tem mniej mu się sprzeciwiać. To też dyskusja, która się wszczęła w Klubie Amarilli po przeczytaniu tego listu, była wprawdzie ożywiona, lecz niedługa. Śród powszechnego popłochu, wywołanego klęską, jedni przyjęli ten pomysł z radosnem zdumieniem, niby osłupiające objawienie nowej nadziei. Inni byli zachwyceni obietnicą natychmiastowego bezpieczeństwa swych żon i dzieci. Większość uchwyciła się tej myśli, jak tonący chwyta się źdźbła. Ojciec Corbelàn nad wszelkie oczekiwanie ofiarował im schronienie przed Pedritem Monterem z jego *llanerosami*, do których miał przyłączyć się uzbrojony motłoch *seniorów* Fuentesa i Gamacha.

Wszczęta pod wieczór dyskusja, odbywała się w wielkich salach Klubu Amarilli z ogromnem ożywieniem. Nawet ci członkowie, których ustawiono przy oknach z strzelbami i karabinami, by strzegli wylotu ulicy przed ponownem, zbrojnem najściem ludności, wykrzy-

kiwali przez ramię swe argumenty i poglądy. Gdy zmierzch zapadł, Don Juste Lopez poprosił zwolenników swoich zapatrywań, by wyszli z nim na korytarz i tam przy małym stoliku, na którym paliły się dwie świece, suszył sobie głowę nad zredagowaniem adresu, czyli uroczystej deklaracji. Pedrito Montero miał ją otrzymać z rąk tych członków sejmiku, którzy z wyboru pozostaną w mieście. Chodziło o to, by go ułagodzić i nakłonić do zachowania przynajmniej form urządzeń parlamentarnych. Siedząc nad białym arkuszem papieru z gęsiem piórem w ręce, Don Lopez, otoczony ze wszystkich stron, zwracał się na prawo i lewo i powtarzał z patetyczną usilnością:

— *Caballeros*, proszę o chwilę spokoju! Chwilę spokoju! Musimy wyłuszczyć, iż godzimy się szczerze z faktem dokonanym.

Wypowiadał te słowa jakby z wyrazem melancholijnego zadowolenia. Rozgwar głosów stawał się dokoła niego wysilonym i chrypliwym. W nagłych przerwach podniecone twarze pogrążały się odrazu w cichości głębokiego przygnębienia.

Tymczasem ucieczka się rozpoczęła. Karety, pełne kobiet i dzieci, przejeżdżały, kołysząc się, przez *Plazę;* obok nich pieszo lub konno podążali mężczyźni. Za nimi jechali inni na koniach i mułach. Najubożsi szli pieszo. Mężczyźni i kobiety nieśli węzełki, piastowali w ramionach niemowlęta, prowadzili starców, wlekli za sobą doroślejsze dzieci. Gdy Charles Gould, pożegnawszy się z doktorem i inżynierem u drzwi *Casy Viola*, wjeżdżał przez bramę do miasta, już wszyscy ci, którzy mieli wywędrować, odjechali, zaś inni zabarykadowali się w swych domach. Śród ciemnej ulicy w jednem tylko miejscu migotały światła i poruszały

się postacie ludzkie. *Senior Administrador* rozpoznał powóz swej żony, czekający przed drzwiami domu Avellanosów. Podjechał niemal niepostrzeżenie i nie mówiąc ani słowa, patrzał, jak kilku jego służących wyszło z bramy, niosąc Dona Josego Avellanosa, który miał zamknięte oczy i zakrzepłe rysy i wyglądał, jak nieżywy. Jego żona i Antonja stąpały po obu stronach skleconych na poczekaniu noszy, które umieszczono w powozie. Kobiety uściskały się. Po drugiej stronie powozu siedział na koniu wysłannik ojca Corbelana o rozwichrzonej, siwiejącej brodzie i wystających kościach policzkowych. Następnie Antonja usiadła obok noszy i uczyniwszy śpiesznie znak krzyża, przysłoniła sobie twarz gęstą woalką. Służba oraz kilku sąsiadów, którzy byli obecni przy tym wyjeździe, stali opodal, odkrywszy głowy. Z kozła spoglądał posępnie przez ramię Ignacio, który już pogodził się z myślą, że będzie musiał powozić przez całą noc (i może zginąć przede dniem od noża).

— Jedź wolno! — zawołała Mrs Gould drżącym głosem.

— *Si, si ninia* — mruknął. Zacięły się jego usta i drgnęły krągłe jego policzki. Powóz wyjechał zwolna z okręgu światła.

— Odprowadzę ich aż do brodu na rzece — rzekł Charles Gould do swej żony. Stała na skraju chodnika z założonemi lekko rękami i żegnała odjeżdżającego skinieniem głowy. W oknach Klubu Amarilli było ciemno. Wygasła ostatnia iskra oporu. Charles Gould odwrócił na rogu głowę i widział, jak oświetloną smugą ulicy szła jego żona ku swemu domowi. Ich sąsiad, powszechnie znany kupiec i obywatel ziemski, szedł obok niej i mówił, gestykulując rękami. Gdy

weszła do bramy, wszystkie światła pogasły na ulicy, którą zaległa ciemność i pustka.

Domy rozległej *Plazy* zatracały się śród nocy. Hen, wgórze, na jednej z wież katedralnych, migotało niby gwiazda nikłe światełko. Na tle czarnych drzew *Alamedy* jarzył się blado konny posąg niby upiór królewskości, zabłąkany w odmęt rewolucji. Nieliczni złodzieje, napotykani po drodze, tulili się do ścian domów. Minąwszy ostatnie kamienice, potoczył się powóz bez szmeru po miękkiem podłożu kurzu i w miarę zwiększania się ciemności jakaś rześkość zdawała się spływać z listowia drzew, obrzeżających polną drogę. Wysłannik z obozu Hernandeza podjechał na swym koniu de Charles'a Goulda.

— *Caballero* — odezwał się z akcentem zaciekawienia w głosie. — Czy pan jest tym, którego ludzie nazywają królem Sulaca, panem kopalni? Chciałbym wiedzieć...

— Tak jest; jestem panem kopalni — odpowiedział Charles Gould.

Jeździec kłusował czas jakiś w milczeniu, poczem rzekł:

— Mam brata, który służy panu, bo jest *sereniem* w dolinie San Tomé. Okazał się pan sprawiedliwym człowiekiem. Nie stała się jeszcze nikomu krzywda, odkąd wezwał pan ludzi do pracy w górach. Mój brat powiada, że żaden urzędnik rządowy, żaden gnębiciel *Campa* nie był jeszcze po drugiej stronie rzeki, co oddziela pańskie posiadłości. Urzędnicy pańscy nie uciskają ludności górniczej. Zapewne lękają się pańskiej surowości. Jest pan sprawiedliwym i możnym człowiekiem — dodał.

Mówił urywanym, niezależnym tonem, ale był roz-

mowny z widocznym rozmysłem. Opowiedział Charles'owi Gouldowi, iż był *rancherem* w jednej z niżnich dolin, hen, na południu, za dawnych czasów sąsiadem Hernandeza, którego najstarszego syna trzymał do chrztu. Wspierał go w sporze przeciwko jeździe, co dokonywała bezprawnej rekrutacji, i to było początkiem wszystkich ich nieszczęść. Kiedy uprowadzono przemocą jego kuma, pochował jego żonę i dzieci, co zginęły z rąk żołnierzy.

— *Si, senior* — mamrotał chrypliwym głosem. — Wraz z dwoma czy trzema sąsiadami, których wypuszczono na wolność, pochowałem ich wszystkich w wspólnym grobie, obok zgliszcz ich lepianki, pod drzewem, co ocieniało jej dach.

U niego to w trzy lata później szukał schronienia Hernandez, zbiegłszy z wojska. Miał jeszcze na sobie mundur z odznakami sierżanta na rękawie, pierś i ręce, zbroczone krwią swego pułkownika. Z pomiędzy żołnierzy, których wysłano w pościg za nim, trzech jeźdźców uciekło i przyłączyło się do niego. I opowiadał Charles'owi Gouldowi, jak on i kilku jego przyjaciół, widząc tych żołnierzy, ukryło się w zasadzce za skałami i już zamierzało dać ognia, gdy on rozpoznał swego kuma i wybiegł z kryjówki, wołając go po imieniu, bo wiedział, że Hernandez nie wróciłby jako wysłannik niesprawiedliwości i ucisku. Owi trzej żołnierze wraz z ludźmi, którzy kryli się w zasadzce, utworzyli zawiązek słynnej szajki; zaś on, który o tem opowiadał, był przez długie lata ulubionym porucznikiem Hernandeza. Wspomniał z dumą, iż urzędnicy wyznaczyli również cenę za jego głowę, ale to nie przeszkodziło, że posiwiała na jego karku. I oto dożył chwili, że jego kum został generałem.

Parsknął przytłumionym śmiechem: — Z rozbójników zostaliśmy żołnierzami. Ale trzeba mieć się na baczności przed tymi, co nas uczynili żołnierzami, a jego generałem. Trzeba się mieć przed nimi na baczności!

Ignacio krzyknął. Światło lamp powozu, snujące się po żywopłotach, co obrzeżały z obu stron groblę, zamigotało na dzikich twarzach ludzi, stojących obok na drodze, wrzynającej się głęboko w pulchną ziemię *Campa* na podobieństwo wiejskiej drożyny angielskiej. Pełzali chyłkiem. Zaiskrzyły się na chwilę ich duże oczy. Poczem światło, snując się dalej po odsłoniętych napoły korzeniach wielkiego drzewa i zagęszczeniach żywopłotu, padło na inną grupę twarzy, oglądających się nieufnie. Trzy kobiety — z których każda niosła dziecko — oraz dwu mężczyzn w odzieży cywilnej — jeden z nich miał szablę, a drugi strzelbę — stało dokoła osła, dźwigającego dwa węzełki, spowite w dery. Nieco dalej Ignacio krzyknął znów, wymijając karetę o podłużnem, drewnianem pudle, osadzonem na dwu wysokich kołach. Pojazd ten miał drzwiczki od tyłu, które stały otworem. Siedzące wewnątrz panie, poznały zapewne białe muły, gdyż zawołały: — Czy to pani, *Donio* Emiljo?

Na zakręcie drogi łuna wielkiego ognia rozwidniła krótką przestrzeń, zasklepioną od góry konarami drzew. Opodal brodu na płytkim strumieniu ogarnął przypadkiem pożar przydrożną chatę, skleconą z plecionej trzciny i przykrytą słomianą strzechą. Wyjące złowieszczo płomienie oświecały wolną przestrzeń, zatłoczoną końmi, mułami i niespokojną, wrzawliwą ciżbą ludzką. Gdy Ignacio przystanął, kilka pań, idących pieszo, otoczyło powóz, błagając Antonję, by je zabrała. Nie od-

powiadała na ich skargi, lecz wskazywała w milczeniu na swego ojca.

— Tu muszę panią opuścić — rzekł Charles Gould śród wrzawy. Płomienie buchały pod niebo, a mrowie uchodźców, pierzchając przed ziejącym skwarem, tłoczyło się ku powozowi. Jakaś pani w średnim wieku, ubrana w czarną, jedwabną suknię, lecz z samodziałową *mantą*[1]) na głowie i sękatym kosturem zamiast laski w ręce, zatoczyła się ku przednim kołom powozu. Dwoje dziewcząt, przerażonych i milczących, czepiało się jej ramion. Charles Gould znał ją dobrze.

— *Misericordia!* Okropnie nas wygnieciono w tym tłumie! — zawołała, uśmiechając się i spoglądając z otuchą na niego. — Wybrałyśmy się pieszo. Wszystka nasza służba uciekła wczoraj, by przyłączyć się do demokratów. Zamierzamy powierzyć się opiece ojca Corbelàna, świątobliwego wuja pani, Antonjo. Przeobraził on cudownie serce najokrutniejszego rozbójnika. Dokonał cudu!

Podnosiła głos stopniowo w miarę jak ustępowała pod naciskiem tłumu, co usuwał się z drogi przed kilku powózkami, nadjeżdżającemi od brodu cwałem śród głośnych okrzyków i trzaskania biczów. Kłęby iskier, przetykających czarne dymy, słaniały się nad drogą. Trzcina bambusowa trzaskała w ogniu z łoskotem, podobnym do grzechotu strzelaniny. Poczem jasna łuna przygasła nagle, pozostawiając tylko czerwoną poświetl, pełną błędnych cieni, rozpierzchających się w różnych kierunkach. Zgiełk głosów zdawał się obumierać wraz z pożarem. Zamęt głów, ramion, przekleństw i sprzeczek przewalił się, uchodząc w ciemność.

---

[1]) Dera.

— Muszę teraz panią pożegnać — przemówił znów Charles Gould do Antonji. Odwróciła zwolna głowę i odsłoniła twarz. Wysłannik i kum Hernandeza podjechał blisko na swym koniu.

— Czy pan kopalni nie każe nic powiedzieć Hernandezowi, panu *Campa?*

Prawda tego porównania zastanowiła wielce Charles'a Goulda. Mimo swej stanowczości równie niepewnie dzierżył swą kopalnię, jak nieuskromiony rozbójnik *Campo*. Byli równi wobec bezprawia tego kraju. Niepodobna było ustrzec swej działalności od jego poniżających wpływów. Gęsta sieć zbrodni i zepsucia spowijała cały kraj. Bezgraniczne i chorobliwe zniechęcenie zamknęło mu na chwilę usta.

— Jest pan sprawiedliwym człowiekiem — nalegał wysłannik Hernandeza. — Niech pan popatrzy na tych ludzi, co mego kuma mianowali generałem, a nas wszystkich przedzierzgnęli w żołnierzy. Niech pan spojrzy na tych oligarchów, co uchodzą z życiem w jednej tylko odzieży. Mój kum nie myśli o tem, ale nasi zwolennicy będą mocno zdziwieni i chciałbym przemówić słowo za nimi. Proszę mnie posłuchać, *senior!* Przez długie miesiące mieliśmy *Campo* w swych rękach. Nie potrzebowaliśmy prosić o nic nikogo. Ale żołnierze muszą być opłacani, jeżeli mają żyć uczciwie, gdy wojna przeminie. Ludzie wierzą, iż dusza pańska jest tak prawa, że jej modlitwa może leczyć z niemocy bydlęta, jak modlitwa sprawiedliwego sędziego. Radbym usłyszeć z ust pańskich kilka słów, co niby zaklęcie podziałają na wątpliwości naszej *partidy* [1]), w której wszyscy są mężami.

---

[1]) Szajka.

— Czy pani słyszy, co on mówi? — odezwał się Charles Gould po angielsku do Antonji.

— Niech pan nam wybaczy naszą nędzę! — zawołała gorączkowo. — Pański charakter jest tym niewyczerpanym skarbem, co jeszcze może nas wszystkich ocalić. Pański charakter, nie pańskie bogactwa! Błagam, by zechciał pan dać temu człowiekowi słowo, iż godzi się pan na wszystkie układy, które mój wuj zawrze z ich hersztem. Dość jednego słowa! Ono mu wystarczy.

Wedle drogi pozostał z chaty tylko ogromny stos perzyny, jarzącej się przyćmionym, czerwonym żarem, co oblewał ciemnym rumieńcem twarz Antonji, drżącą od wzruszenia. Charles Gould po krótkim namyśle wyrzekł żądane zapewnienie. Był niby człowiek, co zapędziwszy się na przepaścistą ścieżkę, skąd niema powrotu, jedyną nadzieję ocalenia widzi w dalszym pochodzie. Pojął to, patrząc w tej chwili na Dona Joséego, który nawpół żywy leżał obok wyprostowanej Antonji. Złamały go w walce życia ciemne moce znikczemnienia, co ze swych zastygłych głębin wydawały potworne zbrodnie i potworne mrzonki. Wysłannik Hernandeza dał zwięzły wyraz swemu zupełnemu zadowoleniu. Spokojnie opuściła znów Antonja woalkę na swą twarz, oparłszy się chętce zapytania, czy się powiodła ucieczka Decouda. Natomiast Ignacio zerknął zgryźliwie przez ramię.

— Niech pan się pożegna ze swemi mułami, *miamu* [1]) — warknął — bo już pan ich nigdy nie zobaczy!

---

[1]) Dziedzic.

ROZDZIAŁ IV.

Charles Gould nawrócił ku miastu. Przed nim z bielejących brzasków wyłaniały się czarno szczerbate wirchy *Sierry*. Tu i owdzie otulony w opończę *Ce pero* znikał za narożnikiem porośniętej trawą ulicy, słysząc tętent kopyt jego konia. Psy warczały za murami ogrodów. Wraz z bezbarwnem światłem chłód śniegów zdawał się spływać z gór na zrujnowane bruki i pozamykane domy, których okruszone gzemsy i obłupany tynk leżały między spłaszczonemi kolumnami ścian frontowych. Świt zmagał się z mrokiem pod arkadami *Plazy*, gdzie pod ogromnemi parasolami, uplecionemi z łyka, nie widać było wiejskiego ludu, co przywoził codziennie na targ swe ziemiopłody i na niskich ławach piętrzył stosy owoców oraz układał wiązki jarzyn, ozdobione kwiatami. Nie ożywiał wczesnego ranka zgiełk chłopów, bab, dzieci i objuczonych osiołków. Śród rozległego placu stały tylko gdzie niegdzie gromadki rewolucjonistów, spoglądając w jedną stronę z pod swych, wciśniętych na czoło kapeluszy, czy nie wiezie kto wiadomości z Rincon. Największa z tych gromad odwróciła się jak jeden mąż, widząc przejeżdżającego Charles'a Goulda, i wrzasnęła za nim groźnie: *Viva la libertad!*

Charles Gould minął ją i skręcił w bramę swego domu. Na *patio*, zasłanem słomą, któryś z miejscowych asystentów dra Monyghama siedział na ziemi i oparłszy się plecami o skraj fontanny, brząkał dyskretnie na gitarze. Przed nim stały dwie dziewczyny z ludu, które podrygiwały zlekka, wymachiwały ramionami i nuciły popularną melodję taneczną. Przeważną część rannych z dwu dni rozruchów zabrali już ich krewni i przyjaciele, ale kilku siedziało tam jeszcze, kiwając obandażowanemi głowami w takt muzyki. Charles Gould zsiadł z konia. Zaspany *mozo* wybiegł z drzwi piekarni i ujął konia za uzdę. Asystent próbował ukryć pośpiesznie gitarę. Dziewczęta, niezmieszane, usunęły się z uśmiechem w głąb. Charles Gould, podążając ku schodom, zerknął w ciemny kąt *patia*, gdzie obok śmiertelnie rannego *Cargadora* klęczała jego żona. Mamrotała pośpiesznie modlitwy, usiłując równocześnie włożyć kawałek pomarańczy w drętwiejące usta konającego męża.

Okrutna marność rzeczy objawiała się bez obsłonek w lekkomyślności i cierpieniu tego niepoprawnego ludu; okrutna marność istnień i zgonów, rzucanych na pastwę czczych wysiłków celem trwałego rozwiązania tej zagadki. Charles Gould nie był podobny do Decouda i nie umiał pogodnie brać udziału w tragicznej farsie. Zaiste, była ona dla niego tragiczna, ale nie miała w sobie nic z farsy. Zbyt boleśnie dolegało mu przeświadczenie o nieuleczalnem szaleństwie. Nazbyt był surowym praktykiem i idealistą, żeby patrzeć z humorem na straszliwość tej krotochwili, jak to czynił Martin Decoud, ten marzycielski materjalista, który widział wszystko w oschłem świetle swego sceptycyzmu. Dla niego, podobnie jak dla nas wszyst-

kich, kompromis ze swem sumieniem był jeszcze szpetniejszym w obliczu niepowodzenia. Rozmyślna jego małomówność ustrzegła go przed jawnem igraniem swemi myślami, ale koncesja Gouldów spaczyła podstępnie jego sąd. Należało wiedzieć — mówił sobie, opierając się o poręcz korytarza — iż ribieryzm nie mógł doprowadzić do niczego. Kopalnia spaczyła jego sąd, gdyż skłoniła go do przekupstw i knowań, byleby tylko dzieło jego z dnia na dzień pozostawiano w spokoju. Podobnie jak jego ojciec nie lubił być ograbianym. Doprowadzało go to do rozpaczy. Przekonywał siebie, iż pomijając nawet wyższe względy, poparcie nadziei Dona Josego jest dobrym interesem. Zagmatwał się w niedorzeczną walkę, podobnie jak jego biedny wuj, którego szabla wisiała na ścianie jego pracowni — uwikłał się w obronę najpospolitszych godziwości zorganizowanego społeczeństwa. Wszelako bronią jego były skarby kopalni, subtelniejsze i dalekonośniejsze, niźli uczciwy brzeszczot stalowy, osadzony w zwyczajnej, mosiężnej rękojeści.

Stokroć, zaiste, niebezpieczniejsza dla tego, co nią władał, była broń bogactwa, dwusieczna chciwością i niedolą ludzką, zatruta wszystkiemi winami samopobłażania oraz wywarami jadowitych korzeni, plamiąca każdą sprawę, dla której ją dobyto, zawsze zawodna dzierżącej ją dłoni. I oto nie pozostawało nic innego, jak nią się posłużyć. Ale poprzysięgał sobie, iż raczej potrzaska się ona w drzazgi, niż wymknie się z jego dłoni.

Mając angielską krew w żyłach i angielskie wychowanie, zdawał sobie sprawę, iż mimo wszystko jest awanturnikiem w tym kraju, potomkiem awanturników, zaciągniętych do legji cudzoziemskiej, ludzi, którzy szukali szczęścia w wojnie rewolucyjnej, knowali re-

wolucje i wierzyli w rewolucje. Mimo prawości swego charakteru, miał on w sobie jakowąś niewybredną moralność awanturnika, który liczy się z narażeniem swej osoby w etycznej ocenie swych czynów. Był przygotowany, o ile zaszłaby potrzeba, wysadzić w powietrze całe gniazdo górskie San Tomé, zdmuchnąć je z powierzchni Rzeczypospolitej Costaguańskiej. To postanowienie było wyrazem zawziętości jego charakteru, wyrzutem z powodu subtelnego wiarołomstwa małżeńskiego, dla którego jego żona nie była już wyłączną panią jego myśli, przejawem słabości wyobraźniowej jego ojca i wreszcie czemś, co wynikało jakby z ducha korsarza, który woli wrzucić zapaloną zapałkę do magazynów niż poddać swój okręt.

Ranny *Cargador* wyzionął na *patio* ducha. Żona jego krzyknęła nagle. Na ten krzyk, przeraźliwy i nieoczekiwany, wszyscy ranni usiedli na swych posłaniach. Asystent zerwał się na nogi i nie wypuszczając gitary z ręki, podniósł brwi i spoglądał uparcie ku niej. Dwie dziewczyny, siedząc obok swego rannego krewniaka z długiemi cygarami w ustach, skinęły znacząco ku sobie.

Charles Gould, przechyliwszy się przez balustradę, ujrzał, iż trzech panów, odzianych ceremonjalnie w czarne fraki i białe koszule, z okrągłemi, europejskiemi kapeluszami na głowach, weszło z ulicy na *patio*. Stąpając z ogromną powagą, szedł przodem jedcn z nich, przerastający innych ramionami i głową. Był to Don Juste Lopez, który wraz z swymi dwoma przyjaciółmi, posłami na sejmik, wybrał się o tak wczesnej porze do administratora kopalni San Tomé. Zobaczyli go również i jęli pośpiesznie witać skinieniem rąk, wchodząc jakby w procesji na schody.

Don Juste zmienił się nie do poznania, gdyż ogolił zupełnie swą osmaloną brodę i postradał wraz z nią dziewięć dziesiątych swej zewnętrznej godności. Charles Gould, aczkolwiek pochłonięty pracą myśli, zauważył uderzającą ograniczoność w wyglądzie tego człowieka. Towarzysze jego byli przygnębieni i ospali. Jeden z nich wysuwał koniec języka ze spieczonych ust. Drugi wodził tępo oczyma po posadzce korytarza, gdy Don Juste, wysunąwszy się nieco naprzód, zagrzmiał przemówieniem do *seniora Administradora* kopalni San Tomé. Był do głębi przekonany, iż należy przestrzegać form. Do nowego gubernatora zawsze wysyłano deputacje od *Cabilda*, które jest Radą Miejską, i od *Consulada*, czyli Izby Handlowej. Wypadało przeto, żeby sejmik prowincjonalny wysłał również deputację, chociażby dla zaznaczenia, iż istnieją instytucje parlamentarne. Don Juste wyraził życzenie, aby Don Carlos Gould, jako najwybitniejszy obywatel prowincji, przyłączył się do deputacji sejmikowej. Stanowisko jego było wyjątkowe, osobistość jego znana w całej Rzeczypospolitej. Uprzejmości urzędowej nie należy zaniedbywać, chociażby przy niej krwawiło się serce. Pogodzenie się z faktami dokonanemi może ocalić cenne szczęty instytucyj parlamentarnych. Oczy Dona Justego gorzały tępo; wierzył w instytucje parlamentarne. Drgający przeświadczeniem, gromki jego głos zatracał się śród ciszy domu niby buczenie wielkiego bąka.

Charles Gould odwrócił się, słuchając cierpliwie i opierając się łokciem o balustradę. Potrząsał odmownie głową, niemal wzruszony, zatroskanem spojrzeniem prezydenta sejmiku prowincjonalnego. Nie godziło się z przezornością Charles'a Goulda, by ko-

palnia San Tomé brała udział w jakichkolwiek wystąpieniach formalnych.

— Mojem zdaniem, *seniores*, należałoby oczekiwać losu w swych domach. Niema potrzeby oddawać się formalnie w ręce Montera. Uległość wobec tego, co nieuniknione, jak Don Juste powiada, jest rzeczą słuszną, ale jeżeli to nieuniknione nazywa się Pedritem Monterem, nie należy uwydatniać zbyt wyraźnie całego ogromu swego poddania. Błędem tego kraju jest brak umiaru w życiu politycznem. Nikczemne przystosowywanie się do bezprawia, po którem następuje krwawa reakcja, nie prowadzi, *seniores*, do stałej i pomyślnej przyszłości.

Charles'a Goulda skłoniło do milczenia posępne osłupienie twarzy oraz zdumione, trwożne spojrzenie oczu. Współczucie dla tych ludzi, co całą swą ufność pokładali w jakichś tam słowach, gdy zabójstwo i grabież panoszyły się w kraju, było powodem, iż wdał się w to, co wydawało się czczą gadatliwością. Don Juste zamamrotał:

— Pan nas opuszcza, Donie Carlosie... A przecież instytucje parlamentarne...

Nie mógł dokończyć z żalu. Przez chwilę zakrywał oczy dłonią. Charles Gould z obawy przed czczą gadatliwością nie odpowiadał na tę skargę. Odwzajemnił w milczeniu ich ceremonjalne ukłony. Małomówność była jego schronieniem. Zrozumiał, iż wpływy kopalni San Tomé chcieli przeciągnąć na swą stronę. Rokowania pojednawcze ze zwycięzcą pragnęli nawiązać pod skrzydłami koncesji Gouldów. Inne zrzeszenia publiczne, jak *Cabildo* i *Consulado*, byłyby przyszły również, szukając poparcia najtrwalszej, najczynniejszej siły, jaka kiedykolwiek istniała w ich prowincji.

Kulawym, rączym krokiem nadszedł doktór i dowiedział się, że pan domu zamknął się w swym pokoju i polecił, aby mu bezwarunkowo nie przeszkadzano. Ale dr. Monygham nie pragnął zobaczyć się z Charles'em Gouldem natychmiast. Spędził czas jakiś na pośpiesznym przeglądzie swych rannych. Spoglądał na każdego, trąc swą brodę między palcem wielkim a wskazującym. Twardy jego wzrok spotykał się bez wyrazu z ich pytającem w milczeniu spojrzeniem. Wszyscy mieli się dobrze. Ale kiedy stanął nad martwym *Cargadorem*, zatrzymał się nieco dłużej, przyglądając się nie mężczyźnie, który już przestał cierpieć, lecz kobiecie, co klęczała obok z milczącą zadumą na zakrzepłej twarzy, miała zwężone nozdrza i białe błyski w niedomkniętych oczach. Podniosła głowę zwolna i rzekła głuchym głosem:

— Niedawno został *Cargadorem* — zaledwo przed kilku tygodniami. Wielmożny pan *Capataz* przyjął go dopiero po wielu zachodach.

— Nie jestem odpowiedzialny za wielkiego *Capataza* — mruknął doktór, odchodząc.

Idąc po schodach ku drzwiom pokoju Charles'a Goulda, doktór w ostatniej chwili się zawahał. Odwrócił się wkońcu od klamki, ruszywszy swemi nierównemi ramionami, i posztykutał śpiesznie w głąb korytarza, szukając *cameristy* Mrs. Gould.

Leonarda powiedziała mu, iż *seniora* jeszcze nie wstała. *Seniora* oddała jej pod opiekę dziewczynki włoskiego *posadera*. Spełniając ten rozkaz, ona, Leonarda, ułożyła je do snu w swym pokoju. Jasnowłosa dziewczynka dopominała się snu, natomniast ciemnowłosa — ta większa — nie zmrużyła dotychczas oczu. Siedziała na łóżku, zakrywszy się prześcieradłem aż

po samą brodę, i patrzyła przed siebie niby mała czarownica. Leonarda nie była zadowolona, iż dzieci Viola zabrano do tego domu. Nie skrywała swych uczuć, pytając obojętnym tonem, czy matka ich jeszcze żyje. *Seniora* zapewne jeszcze śpi. Po odjeździe *Donii* Antonji i jej dogorywającego ojca poszła do swego pokoju i odtąd nic stamtąd nie słychać.

Doktór, ocknąwszy się z głębokiej zadumy, rozkazał jej szorstko, by poprosiła zaraz swą panią. Poczem odszedł, kulejąc, by zaczekać w sali na Mrs. Gould. Był bardzo znużony, ale nazbyt podniecony, by usiedzieć na miejscu. Przechadzał się wśród krzeseł i stołów po tym wielkim, pustym w tej chwili salonie, gdzie jego wytlona dusza odzyskała swą świeżość po wielu jałowych latach i gdzie jego potępieńczy duch pobłażał milcząco ukradkowym spojrzeniom. Wtem weszła śpiesznie Mrs. Gould, otulona w ranne okrycie.

— Pani wie, iż nie podzielałem zdania, jakoby to srebro należało wysłać — zaczął doktór od słów, co były niby wstępem do opowieści o nocnych przygodach, jakich doświadczył w głównej kwaterze Sotilla pospołu z kapitanem Mitschellem, inżynierem naczelnym i starym Violą. Dla doktora, który miał swój własny pogląd na to polityczne przesilenie, wywiezienie srebra było złowróżbną niedorzecznością. Znaczyło dla niego to samo, jakgdyby wódz pod jakimś tajnym pozorem odsyłał z pola najprzedniejszą część swych wojsk w przededniu bitwy. Cały zapas tego srebra należało ukryć w takiem miejscu, w którem byłoby gotowe każdej chwili odeprzeć niebezpieczeństwa, zagrażające koncesji Gouldów. Administrator jej postąpił tak, jakgdyby niezmierna i można pomyślność kopalni opierała się na zasadach uczciwości, na poczuciu uży-

tecznośći. A nie było ani jednego, ani drugiego. Metoda, jaką przyjęto, była jedynie możliwa. Koncesja Gouldów okupywała się przez cały czas swego istnienia. Było to obrzydliwe. Pojmował w zupełności, iż obmierzło Charles'owi Gouldowi, więc porzucił dawną ścieżkę, by podjąć beznadziejne usiłowania, zmierzające ku reformie. Doktór nie wierzył w reformy costaguańskie. I oto kopalnia powróciła znów na dawne tory, z tą jednakże niepomyślną różnicą, iż odtąd będzie miała do czynienia nietylko z łapczywością, rozbudzoną przez swe bogactwa, ale także z niechęcią, wywołaną wysiłkami, by uwolnić się z jarzma moralnego zepsucia. Była to kaźń niepowodzenia. Raziło go to, iż Charles Gould jakgdyby osłabł w stanowczej chwili, kiedy jawny zwrot do dawnych metod był jedynym ratunkiem. Słabością było słuchać dzikich pomysłów Decouda.

Doktór wymachiwał ramionami, wykrzykując: — Decoud, Decoud! — Sztykutał po sali, śmiejąc się pogardliwym, gniewnym śmiechem. Stawy jego w kostkach ucierpiały mocno przed wielu laty, skutkiem pewnego śledztwa, dokonanego w cytadeli Santy Marty przez komisję, złożoną z wojskowych. Na schyłku nocy, całkiem nieoczekiwanie, kazał im podjąć się tego zadania Guzman Bento, który ryknął na nich, marszcząc groźnie brwi i miotając z oczu pioruny. Stary tyran, opętany nagłym przystępem podejrzliwości, mieszał zapienione odwoływanie się do ich wierności z przekleństwami i straszliwemi groźbami. Cele i kazamaty cytadeli, wznoszące się na wzgórzu, były już zapełnione więźniami. Obowiązkiem komisji było wykryć zbrodniczy spisek przeciwko obywatelowi-zbawcy swej ojczyzny.

Ich lęk przed oszalałym tyranem przeobraził się w gorączkową dzikość procedury. Obywatel-zbawca nie był przyzwyczajony do czekania. Należało wykryć spisek. W podwórcach cytadeli rozlegał się szczęk kajdanów, poświst biczów i wrzask bólu. Komisja, złożona z wyższych oficerów, pracowała pośpiesznie, a członkowie jej ukrywali wzajem przed sobą swe mniemania i swe zakłopotania, mając się zwłaszcza na baczności przed swym sekretarzem, ojcem Beronem, kapelanem wojskowym, który w owym czasie był w łaskach obywatela-zbawcy. Ksiądz ten był wielkim, barczystym mężczyzną, miał brudną, zarośniętą tonsurę na szczycie spłaszczonej głowy, śniadożółtą cerę i był nieco otyły. Tłuste plamy szpeciły od góry do dołu przód jego porucznikowskiego munduru, na którym po lewej stronie piersi widniał niewielki krzyż, wyszyty białą bawełną. Miał ogromny nos i obwisłe wargi. Dr. Monygham pamiętał go jeszcze. Pamiętał mimo całego wysiłku woli, żeby go zapomnieć. Ojca Berona przydzielił umyślnie do tej komisji Guzman Bento, aby jego światła żarliwość wspierała jej członków w pracy. Dr. Monygham żadną miarą nie mógł zapomnieć żarliwości ojca Berona, ani jego twarzy, ani jego bezlitosnego, monotonnego głosu, co powtarzał: — A czy teraz poczyni pan zeznania? Bibl. Jag.

Nie przerażało go to wspomnienie, ale uczyniło zeń to, czem był w oczach przyzwoitych ludzi, człowiekiem, nie dbającym o poprawność towarzyską, czemś pośredniem między inteligentnym włóczęgą, a zniesławionym lekarzem. Ale nie wszyscy przyzwoici ludzie posiadali dostateczną delikatność uczucia aby zrozumieć, z jakiem cierpieniem i wyrazistością wizji dr. Monygham, lekarz kopalni San Tomé, wspominał

ojca Berona, kapelana wojskowego, co był ongiś sekretarzem komisji oficerskiej. W swem mieszkaniu u krańca zabudowań szpitalnych w wąwozie San Tomé dr. Monygham pamiętał ojca Berona równie dokładnie jak poprzednio. Ksiądz ten przypominał mu się niekiedy nocą, we śnie. Takie noce zwykł był doktór spędzać przy zapalonej świeczce, chodząc błędnie po swych pokojach i nie spuszczając oczu ze swych obnażonych nóg i ze swych ramion, przylegających mocno po obu stronach ciała. Bywało, iż śnił, że ojciec Beron siedzi u końca długiego, czarnego stołu, za którym widniały rzędem głowy, ramiona i epolety wojskowych członków komisji, ogryzających obsadki piór i słuchających ze znużoną i niecierpliwą pogardą zaklęć tego lub owego więźnia, powołującego niebo na świadka swej niewinności. Wkońcu rozlegał się głos: — Czy to nie szkoda czasu na taką nędzną gadaninę? Niechaj mi będzie wolno pomówić z nim na osobności. — I ojciec Beron wychodził za podzwaniającym kajdanami więźniem, którego prowadzili dwaj żołnierze. Te epizody powtarzały się przez wiele dni, niejednokrotnie i z wieloma więźniami. Gdy więzień powracał, był już gotów do wszelkich zeznań, jak oświadczał ojciec Beron, pochylając się z tym tępym i sytym wyrazem, który widuje się w oczach żarłoków po sutym obiedzie.

Inkwizytorski zmysł tego księdza nie odczuwał zbytnio niedostatku klasycznych urządzeń inkwizycji. Po wszystkie czasy umieli ludzie zadawać cielesne i psychiczne męki swym bliźnim. Uzdolnienia tego nabywali w miarę, jak wzmagała się zawiłość ich namiętności i doskonaliła się rączo ich pomysłowość. Można jednak powiedzieć z całą pewnością, iż człowiek

pierwotny nie zadawał sobie trudu wynajdywania tortur. Był na to za leniwy i miał za czyste serce. Rozwalał łeb swemu sąsiadowi siekierą kamienną z konieczności i bez złej woli. Najgłupszy umysł był zapewne wynalazcą krzywdzącego słowa lub piętnowania niewinnych okrutną potwarzą. Kawał powroza i kij; kilka muszkietów w połączeniu z długim rzemieniem; lub bodaj zwykły tłuczek z ciężkiego, twardego drzewa, spadający z rozmachem na ludzkie palce lub na stawy ludzkiego ciała, wystarczają do zadania najwyszukańszych tortur. Doktór był bardzo zatwardziałym więźniem, to też skutkiem tego „przekornego usposobienia“ (jak ojciec Beron się wyrażał) poskromienie jego było nader miażdżące i nader zupełne. Oto dlaczego tak wyraziście zaznaczała się chwiejność jego chodu, przekrzywienie jego ramion i obliźnienie jego policzków. Zeznania jego, gdy wkońcu nastąpiły, były jak najzupełniejsze. Niekiedy przechadzając się nocą, zgrzytał zębami z wściekłości i wstydu i dziwił się pomysłowości swej wyobraźni, co podniecona torturą, uczyniła prawdę, honor, godność własną i nawet życie igraszką przelotnej chwili.

To też nie mógł zapomnieć ojca Berona i jego monotonnego zapytania: — Czy jest pan teraz skłonny do zeznań? — co docierało do niego ze straszliwą jednostajnością i jasnością znaczenia skroś obłąkanego bezładu nieznośnej męki. Nie mógł zapomnieć. Ale to nie było najgorsze. Dr. Monygham miał pewność, iż struchlałby przed ojcem Beronem, gdyby po tylu latach spotkał go na ulicy. Wprawdzie nie było już czego się obawiać. Ojciec Beron nie żył; ale ta rozbolała pewność nie pozwalała drowi Monyghamowi patrzeć ludziom w oczy.

Dr. Monygham stał się niejako niewolnikiem upiora. Jużcić było niemożliwem mierzyć ojca Berona miarą europejską. Składając wymuszone zeznania przed sądem wojskowym, dr. Monygham nie starał się uniknąć śmierci. Pragnął jej. Siedząc nawpół nago całemi godzinami na mokrej ziemi swego więzienia w takiej nieruchomości, iż pająki, jego towarzysze, przyczepiały swe tkanki do jego zmierzwionych włosów, pocieszał niedolę swej duszy rozumowaniem, iż winy, które wziął na siebie, wystarczą na wyrok śmierci — że posuniętoby się za daleko, pozwalając mu żyć po tem, co powiedział.

Ale jakby z jakiegoś wyrafinowanego okrucieństwa pozwolono drowi Monyghamowi obumierać zwolna całemi miesiącami w ciemności więzienia niby w jakimś grobie. Spodziewano się zapewne, iż obejdzie się bez egzekucji. Ale dr. Monygham miał żelazny organizm. Wcześniej umarł Guzman Bento nie od sztyletu spiskowca, lecz porażony apopleksją, a dra Monyghama śpiesznie wypuszczono na wolność. Zdjęto mu kajdany przy blasku świecy, co po tylu miesiącach mroków raziła jego oczy tak bardzo, że zakrywał twarz dłońmi. Podźwignięto go na nogi. Serce biło mu mocno z obawy przed tą wolnością. Gdy jął stawiać kroki, uczuł zawrót od niesłychanej lekkości swych stóp i upadł na ziemię. Włożono mu dwa kostury w ręce i wypchnięto go z korytarza. Właśnie zmierzch zapadał. Jarzyły się już świece w oknach mieszkań oficerskich dokoła podwórza. Mimo to mroczne niebo otumaniło go swą przeogromną i przytłaczającą jasnością. Cienkie *poncho* zwisało z jego nagich, kościstych ramion; strzępy spodni sięgały mu zaledwie poza kolana; nie strzyżone od ośmnastu miesięcy włosy, spadały brudnemi, siwemi

kudłami na jego wystające kości policzkowe. Gdy wlókł się mimo drzwi straży więziennej, jeden z wałęsających się żołnierzy pod wpływem jakiegoś niejasnego popędu podbiegł ku niemu i z dziwnym śmiechem wmiesił mu na głowę stary, połamany kapelusz słomkowy. Dr. Monygham zatoczył się i powlókł się dalej. Stawiał jeden kij, wysuwał jedną, okaleczałą nogę, poczem stawiał kij drugi; druga noga posuwała się po ziemi na bardzo małą odległość nader mozolnie, jakgdyby była za ciężka, żeby mógł ją udźwignąć; a przecież jego nogi pod zwisającemi połami *poncha* nie były grubsze od kosturów, które trzymał w ręku. Nieustające drżenie wstrząsało jego pochylony tułów, wycieńczone członki, kościstą głowę oraz stożkowaty, obszarpany czub *sombrera*, którego szeroka, płaska kresa obsunęła się mu na ramiona.

W takim to stroju i w takich okolicznościach odzyskiwał dr. Monygham wolność. Okoliczności te kojarzyły go nierozłącznie z ziemią Costaguany niby przebieg jakiejś straszliwej naturalizacji, wciągały go w głąb życia narodowego nierównie silniej, niżby to mogło uczynić powodzenie i zaszczyty. Wyzuły go z jego europejskości; bowiem dr. Monygham wytworzył sobie idealne pojęcie o swej hańbie. Pojęcie to było w zupełności godne *gentlemana* i oficera. Dr. Monygham zanim przybył do Costaguany, był chirurgiem w jednym z pieszych pułków jego królewskiej mości. Pojęcie to nie liczyło się ani z faktami fizjologicznemi, ani z argumentami rozumowemi, ale bynajmniej nie było głupie. Było proste. Zasady postępowania, wynikające ze srogiego odtrącenia, są z konieczności proste. Pogląd dra Monyghama na to, co mu wypadało czynić, był surowy. Był to pogląd

idealny o tyle, iż przedstawiał się jako wyobraźniowe wyolbrzymienie godziwego uczucia. Przytem dzięki swej sile, wpływowi i uporczywości, był to pogląd nadzwyczaj rzetelny.

W naturze dra Monyghama był wielki zasób rzetelności. Przelał ją wszystką na Mrs. Gould. Wierzył, że jest godna wszelkiego poświęcenia. W głębi duszy doznawał gniewnej przykrości z powodu powodzenia kopalni San Tomé, bowiem ten rozwój pozbawiał ją spokoju ducha. Costaguana nie była krajem dla takiej, jak ona, kobiety. Co sobie myślał Charles Gould, przywożąc ją na te wybrzeża! To było zniewagą! Z zaciekłą i oporną powściągliwością śledził doktór bieg wypadków, zaś powściągliwość ta była w jego mniemaniu wynikiem jego żałosnej niedoli.

Przywiązanie do Mrs. Gould nie wyłączało jednakże dbałości o bezpieczeństwo jej męża. Doktór postanowił być w mieście, gdy nadejdzie rozstrzygająca chwila, gdyż nie dowierzał Charles'owi Gouldowi. W mniemaniu jego był on beznadziejnie zakażony obłędem rewolucyjnym. I oto dlaczego przewalał się owego poranku zatroskany po salonie *Casy Gould*, powtarzając w posępnem uniesieniu słowo: — Decoud, Decoud!

Mrs. Gould z wypiekami na twarzy i roziskrzonym wzrokiem spoglądała w nagłą potworność nieszczęścia. Końce palców jej ręki spoczywały lekko na niewielkim, niskim stoliku, co stał obok niej, zaś ramię drżało aż po same barki. Słońce, które późno jawi się w Sulaco, w całej pełni swej potęgi ukazało się wysoko na niebie z poza olśniewających śniegów Higueroty, rozszczepiając delikatną, miękką, perłową szarość swej jaśni, w której wczesnym rankiem pogrąża się miasto, na ostro odrzynające się smugi czarnego cienia

i plamy skwarnego, rozmigotanego blasku. Trzy podłużne prostokąty światła wpadały przez okna do sali. Wznoszący się po drugiej stronie ulicy front domu Avellanosów wydawał się bardzo mrocznym w swym własnym cieniu, widzianym poprzez roztocze świetlne.

Głos jakiś odezwał się od drzwi: — Co stało się z Decoudem?

Był to Charles Gould. Nie słyszeli, jak szedł korytarzem. Wzrok jego ześliznął się po żonie i ogarnął doktora.

— Ma pan jakie nowiny, doktorze?

Dr. Monygham wygadał się szorstko ze wszystkiem. Kiedy skończył, administrator kopalni San Tomé patrzał na niego przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Mrs. Gould obsunęła się w niski fotel i opuściła ręce na kolana. Między temi trzema nieruchomemi osobami zaległo milczenie. Wkońcu Charles Gould odezwał się:

— Zapewne zjadłby pan już śniadanie?

Usunął się, by przepuścić swą żonę. Uchwyciła rękę męża i uścisnęła ją, poczem wyszła, podnosząc chusteczkę do oczu. Widok męża przywiódł jej na myśl Antonję, więc nie mogła się wstrzymać od łez, myśląc o tej nieszczęsnej dziewczynie. Kiedy weszła do jadalni, umywszy poprzednio twarz, obaj mężczyźni siedzieli już przy stole, a Charles Gould mówił do doktora:

— Nie; jak się zdaje, nie ulega to już wątpliwości.

Zaś doktór przytwierdził:

— Istotnie, trudno jest wątpić o tem, co opowiadał ten podły Hirsch. Obawiam się, że wszystko jest prawdą.

Usiadła zrozpaczona przy stole i spoglądała na nich kolejno. Obaj mężczyźni nie odwracali wprawdzie głów,

lecz starali się unikać jej wzroku. Doktór jął nawet udawać, że jest głodny. Uchwycił nóż i widelec i począł jeść z przymusem, jakby na scenie. Charles Gould nie udawał. Podniósłszy łokcie, muskał dłońmi końce swych płomienistych wąsów, które były tak długie, iż jego ręce odstawały daleko od jego twarzy.

— Nie dziwię się — mruknął, przestając muskać wąsy i przerzucając ramię przez poręcz swego krzesła. Twarz jego była spokojna i miała nieruchomość wyrazu, świadczącego o natężeniu duchowej rozterki. Czuł, że ten wypadek był zakończeniem wszystkich następstw, co wynikły ze sposobu jego postępowania oraz z jego świadomych i podświadomych zamierzeń. Musiało się obecnie skończyć z tą milczącą powściągliwością, z temi pozorami niedocieczoności, co dotychczas ochraniały jego godność. Była to ostatnia, niegodna forma obłudy, narzucona mu przez tę parodję cywilizowanego ustroju, co obrażała jego inteligencję, jego prawość, jego poczucie słuszności. Był podobny do swego ojca. Nie umiał patrzeć ironicznie. Nie bawiły go niedorzeczności, co władają doczesnym światem. Obrażały one wrodzoną jego powagę. Zdawał sobie sprawę, iż żałosny zgon biednego Decouda pozbawił go niedostępności siły, którą miał w odwodzie. Zmuszał go do jawnego wystąpienia lub zaprzestania gry — co było niepodobieństwem. Sprawy materjalne wymagały poświęcenia jego wybiegów, a może nawet własnego bezpieczeństwa. I przyszło mu na myśl, że pomysł Decouda, dążący do oderwania, nie poszedł na dno wraz z srebrem.

Jedyną rzeczą, która nie uległa zmianie, był jego stosunek do Mr. Holroyda. Zwierzchnik przedsiębiorstw srebrnych i stalowych przystąpił do spraw costaguań-

skich z niejaką namiętnością. Costaguana stała się koniecznością jego życia. W kopalni San Tomé znalazł wyobraźniowe zadowolenie, które inne umysły czerpią z dramatu, ze sztuki lub z niebezpiecznego i porywającego sportu. Był to szczególniejszy przejaw dziwactwa wielkiego człowieka, uświęcony zamierzeniami moralnemi i dość wielki, by schlebiać jego próżności. Nawet tem zbłąkaniem swego genjuszu oddawał usługi postępowi świata. Charles Gould był pewny, że rozumiano go dokładnie, i sądził pobłażliwie pospólną namiętność. Nic już nie mogło zdziwić ni przerazić wielkiego człowieka. I Charles Gould wyobrażał sobie, że pisze list do San Francisco, zawierający mniej więcej takie słowa: „...Ludzie, stojący na czele ruchu, zginęli lub uciekli; ustrój cywilny prowincji jest narazie rozbity; stronnictwo *blanców* w Sulaco runęło beznadziejnie, lecz w sposób, charakterystyczny dla tego kraju. Wszelako Barrios z nietkniętą armją w Caycie może być jeszcze przydatnym. Jestem zmuszony wystąpić jawnie z planem rewolucji prowincjonalnej, gdyż jest ona jedyną drogą do trwałego zabezpieczenia olbrzymich interesów materjalnych, skojarzonych z pomyślnością i spokojem Sulaca...“ To było rzeczą pewną. Widział te słowa niby głoski ogniste, nakreślone na ścianie, na którą patrzał w roztargnieniu.

Mrs. Gould śledziła to jego roztargnienie z niepokojem. Było ono zwyczajnym i zatrważającym objawem, co zaciemniał i wyziębiał dom na podobieństwo nawałnicowej chmury, przysłaniającej na chwilę słońce. Przystępy roztargnienia u Charles'a Goulda bywały oznaką energicznego skupienia woli, pozostającej pod zaklęciem opętania jedną myślą. Człowiek, opętany jedną myślą, jest szalony. Jest on niebezpieczny, nawet gdy

myśl ta jest ideą sprawiedliwości; bo czyż nie może bezlitośnie zwalić nieba na umiłowaną głowę? Oczy Mrs. Gould, utkwione w profil męża, napełniły się znów łzami. I znowu wydało się jej, że widzi rozpacz nieszczęsnej Antonji.

— Cobym ja poczęła, gdyby Charley był utonął podczas naszego narzeczeństwa? — wołała w duchu ze zgrozą. Zlodowaciało jej serce, natomiast zapłonęło jej lico, jakgdyby muśnięte tchnieniem stosu pogrzebowego, co pochłaniał jej wszystkie, doczesne uczucia. Łzy trysnęły jej z oczu.

— Antonja zabije się! — wykrzyknęła.

Krzyk ten wstrząsnął ciszą pokoju, nie wywołując większego wrażenia. Jedynie doktór, który kruszył w ręku skibkę chleba i przechylał na bok głowę, podniósł twarz, a kilka długich włosów, wysterczających z jego krzaczastych brwi, drgnęło lekką niechęcią. Dr. Monygham był szczerze przeświadczony, iż Decoud był wyjątkowo niegodny miłości kobiecej. Następnie znów pochylił głowę, krzywiąc usta, a serce jego było pełne czułego podziwu dla Mrs. Gould.

— Myśli o tej dziewczynie — rzekł do siebie — myśli o dzieciach Violi; myśli o mnie, o rannych, o górnikach. Zawsze myśli o wszystkich biednych i nieszczęśliwych. Ale coby poczęła, gdyby Charles zginął w tym piekielnym odmęcie, w który go wciągnął ten zatracony Avellanos? O niej nikt nie myśli.

Charles Gould, zapatrzony na ścianę, snuł dalej subtelnie swe refleksje.

— Napiszę do Holroyda, iż kopalnia San Tomé jest dość potężna, by podjąć się utworzenia nowego państwa. To mu się spodoba. Pogodzi go z ryzykiem.

Atoli czy Barrios był naprawdę przydatny? Może.

Lecz nie było do niego dostępu. Nie można już było wysłać łodzi do Cayty, gdyż Sotillo był panem przystani i miał parowiec do rozporządzenia. Czyż teraz, kiedy cała prowincja była zalana przez demokratów, a wszystkie miasta śród *Campa* znajdowały się w stanie wrzenia, zdoła znaleźć człowieka, któryby przedarł się szczęśliwie przez góry do Cayty i doręczył list po dziesięciu co najmniej dniach konnej podróży, — człowieka odważnego i stanowczego, który nie dałby zatrzymać się ni zabić, a w ostateczności połknąłby powierzony mu papier? *Capataz Cargadorów* byłby takim człowiekiem. Ale *Capataza* już nie było.

I Charles Gould, odwracając oczy od ściany, rzekł łagodnie:

— Ten Hirsch! Co za nadzwyczajne zdarzenie! A więc istotnie ocalał, uczepiwszy się kotwicy? Nie przychodziło mi nawet na myśl, żeby był jeszcze w Sulaco. Sądziłem, że już przed jakim tygodniem powrócił przez góry do Esmeraldy. Był tu kiedyś, by pomówić ze mną o swem przedsiębiorstwie wywozu skór i o innych rzeczach. Dałem mu niedwuznacznie do zrozumienia, iż nic z tego nie będzie.

— Bał się wracać z powodu Hernandeza, który znajdował się wpobliżu — napomknął doktór.

— A jednak bez niego nie bylibyśmy się dowiedzieli, co się stało — zastanawiał się Charles Gould.

Mrs. Gould krzyknęła:

— Antonja nie powinna się dowiedzieć. Nie można jej mówić. Nie teraz!

— Niema nikogo, ktoby doniósł o tem — zauważył doktór. — Nie jest to w niczyim interesie. Ponadto lud tutejszy drży tak przed Hernandezem, jakby był istnym djabłem. — Zwrócił się do Charles'a

Goulda. — Jest to nawet niewygodne, bo nie znalazłby pan posłańca, gdyby trzeba było porozumieć się z uchodźcami. Gdy Hernandez obozował o sto mil stąd, ludność sulacka już truchlała, ponieważ chodziły pogłoski, iż piecze swych jeńców żywcem.

— Jużcić — mruknął Charles Gould — *Capataz* kapitana Mitschella był jedynym człowiekiem z miasta, który zajrzał Hernandezowi w oczy. Ojciec Corbelàn posługiwał się nim. On pierwszy nawiązał rokowania. Szkoda, że...

Głos jego zgłuchł w rozhuku wielkiego dzwonu katedry. Buchnęły nagle trzy oddzielne dźwięki i rozpierzchły się w głębokich, słodkich drganiach. Poczem wszystkie dzwony kościołów, klasztorów i kaplic, nawet tych, które pozamykano już przed laty, zadygotały zgodnem brzmieniem. W tym rozszalałym zalewie metalicznego zgiełku była taka potęga przejmujących obrazów waśni i przemocy, że policzki Mrs. Gould zbielały. Basilio, który usługiwał do stołu, skurczył się w sobie i przylgnął do kredensu, szczękając zębami. Niepodobna było słyszeć się wzajemnie.

— Zamknąć te okna! — mruknął na niego Charles Gould gniewnie. Wszystka służba, przerażona tem, co uważała za wezwanie do powszechnej rzezi, wybiegła gromadnie na schody, potrącając się wzajemnie śród tłoku mężczyzn i kobiet, tworzących podrzędne i zazwyczaj niewidzialne zaludnienie suteren czworoboku *patia*. Kobiety, krzycząc: *Misericordia!* wpadły do pokoju i rzuciwszy się pod ścianami na kolana, jęły żegnać się gorączkowo. Struchlałe twarze mężczyzn stłoczyły się na chwilę u wejścia. Byli to *mozowie* stajenni, ogrodnicy, nieokreślone popychadła, żyjące z okruszyn szczodrobliwego domu — i Charles Gould

ujrzał wszystkich swych domowników, nie wyłączając odźwiernego. Był to napoły sparaliżowany starzec, któremu długie, białe włosy spadały na ramiona — dziedziczny sługa, utrzymywany przez Charles'a Goulda na łaskawym chlebie. Pamiętał on jeszcza Henryka Goulda, Anglika i *Costaguanera* w drugiem pokoleniu, prezydenta prowincji sulackiej. Był przez długie lata jego *mozem* osobistym czasu wojny i pokoju; uzyskał pozwolenie usługiwania swemu panu w więzieniu; podążył owego fatalnego poranku za oddziałem żołnierzy, którym polecono dokonać rozstrzelania i wyzierając z gęstwy cyprysów, co rosły wzdłuż murów klasztoru franciszkańskiego, widział wytrzeszczonemi oczyma, jak Don Enrique trzepnął rękami i powalił się twarzą na ziemię. Charles Gould zauważył przedewszystkiem tę czcigodną głowę patrjarchy śród ciżby innych służących. Zdziwił się atoli, gdy ujrzał jedną czy dwie, zawiędłe starowiny, o których istnieniu w murach swego domu nic nie wiedział. Były to zapewne matki, a może nawet babki których z jego służących. Było również kilkoro dzieci, mniej lub więcej nagich, co krzyczały i plątały się pod nogami starszych. Nigdy przedtem nie zdarzyło się mu zauważyć ani śladu dziecka na swem *patio*. Nadbiegła nawet przerażona *camerista*, Leonarda, i przeciskając się przez tłum z nadąsaną, rozstrojoną twarzą ulubionej służącej, prowadziła za ręce dziewczynki Violi. Porcelana brzęczała na stole i kredensie; cały dom zdawał się pławić w ogłuszającym zalewie dźwięku.

ROZDZIAŁ V.

Pełna oczekiwania ludność opanowała nocą wszystkie dzwonnice w mieście, by powitać Pedrita Monterę, który odbywał wjazd, wypocząwszy poprzednio w Rincon. Tłocząc się bezładnie przez braınę miejską, szedł na czele zbrojny motłoch najróżnorodniejszego zabarwienia skóry, wszelakiego wyglądu i usposobienia i najrozmaiciej obdarty. Zwał się on narodową gwardją sulacką i pozostawał pod wodzą *seniora* Gamacha. Środkiem ulicy niby jakaś powódź nieczystości płynął odmęt słomkowych kapeluszy, *ponchów* i luf karabinowych, z olbrzymią, zielono-żółtą chorągwią, trzepocącą się pośrodku w obłokach kurzu, przy wściekłem warczeniu bębnów. Widzowie, odrzuceni pod ściany domów, ryczeli swe *Vivas.* Za tym tłumem widniały lance kawalerji, „armja“ Pedra Montera. Kroczył on między *seniorami* Fuentesem i Gamachem na przedzie swych *llanerów*, co dokonali wielkiego dzieła, gdyż przekroczyli *Paramos* Higueroty śród zamieci śnieżnej. Jechali czwórkami, siedząc na pozbieranych śród *Campa* koniach, i mieli na sobie najprzeróżniejszą odzież, zagrabioną pośpiesznie w przydrożnych sklepach, które łupili, przebiegając pędem północną połać prowincji; bowiem Pedro Montero śpieszył się wielce

z zajęciem Sulaca. Chustki, zawiązane luźnie na ich nagich szyjach, były zastanawiająco nowe, zaś wszystkie prawe rękawy swych bawełnianych koszul mieli aż po same ramiona obcięte dla swobodniejszego rzucania *lazem* [1]). Zawiędli, siwobrodzi starcy jechali obok chudych, śniadych chłopaków, napiętnowanych wszystkiemi oznakami twardej żołnierki. Dokoła kapeluszy mieli okręcone ochłapy surowej wołowiny. Pobrzękiwały ciężkie, żelazne ostrogi, przytwierdzone do nagich pięt. Ci, którzy postradali swe lance w przesmykach górskich, zaopatrzyli się w kostury, używane przez skotarzy z *Campa*, Były to cienkie drzewce palmowe długości dziesięciu stóp, na które nanizano luźne pierścienie, podzwaniające u żeleźca. Byli uzbrojeni w rewolwery i noże. Nieuskromione męstwo wyzierało z tych poczerniałych od słońca twarzy. Spoglądali wyniośle na ciżbę swemi zaczerwienionemi oczami lub zerkając zuchwale wgórę, pokazywali sobie wzajem tę lub ową twarzyczkę śród kobiet, co wyglądały przez okna. Gdy wyjechali na *Plazę* i ujrzeli konny posąg królewski, co olśniewająco biały, piętrzył się w swym ogromie i nieruchomości nad rozfalowanem mrowiem, witając ich zastygłym gestem pozdrowienia, przebiegł w ich szeregach szmer podziwu. „Co to za święty w tym ogromnym kapeluszu?“ — zapytywali się wzajemnie.

Byli oni wzorowym okazem tej równinnej jazdy, przy której pomocy Pedro Montero przyczynił się wielce do triumfu swego brata, generała. Wpływ, jaki ten człowiek, wychowany w miastach przybrzeżnych, zdołał w krótkim czasie osiągnąć nad ludnością,

---

[1]) Pętla.

osiadłą na równinach Rzeczypospolitej, można było przypisać tylko genjuszowi podstępu, tak potężnemu, iż tym pierwotnym ludziom wydawał się on zapewne niezbyt odbiegającym od zupełnej dzikości i był niejako udoskonaleniem waleczności i przebiegłości. Potoczna mądrość wszystkich ludów dowodzi, iż nieszczerość i chytrość, skojarzona z fizyczną siłą, uchodziła u ludzkości pierwotnej za cnotę heroiczną w wyższym nawet stopniu niż odwaga. Pokonać przeciwnika było wielkiem zadaniem istnienia. Odwadze pobłażano. Natomiast przejaw inteligencji budził podziw i poszanowanie. Podstępy o ile nie zawodziły, były rzeczą zaszczytną. Wycięcie w pień nieopatrznych wrogów wywoływało uczucia radości, dumy, uwielbienia. Nie pochodziło to zapewne stąd, jakoby ludzie pierwotni mieli być niegodniejsi od swych dzisiejszych potomków, lecz że zdążali prościej do swego celu i byli szczersi w uznawaniu powodzenia za jedyny drogowskaz moralności.

Zmieniliśmy się od tych czasów. Przejaw inteligencji nie budzi już wielkiego podziwu i spotyka się z mniejszem poszanowaniem. Ale ciemni, barbarzyńscy jeźdźcy z równin, uwikłani w wojnę domową, podążali chętnie za wodzem, któremu często udawało się wydawać im na pastwę ich wrogów z powiązanemi niejako rękami. Pedro Montero posiadał zdolność usypiania swych przeciwników. A ponieważ ludzie nabywają mądrości niezmiernie wolno i zawsze są skłonni wierzyć w obietnice, które schlebiają ich skrytym nadziejom, więc Pedro Montero odnosił powodzenia raz po razu. Będąc tylko służącym czy podrzędnym urzędnikiem w poselstwie costaguańskiem w Paryżu, podążył natychmiast do ojczyzny, skoro tylko dowiedział

się, iż jego brat wynurzył się z cienia swej pogranicznej *commandancii.* Pozorami zacności umiał wyprowadzić w pole przewódców ruchu ribierystowskiego w stolicy i nawet przenikliwy agent kopalni San Tomé nie zdołał poznać się na nim całkowicie. Odrazu posiadł ogromny wpływ na swego brata. Obaj byli bardzo do siebie podobni, łysi, a kosmki skudlonych włosów koło uszu świadczyły o domieszce krwi murzyńskiej. Atoli Pedro był nieco drobniejszy od generała, przedewszystkiem zaś wątlejszy. Z małpią zmyślnością umiał naśladować wszystkie zewnętrzne oznaki wyższości i wytworności oraz posiadał papuzią zdolność do języków. Obaj bracia otrzymali niejakie, początkowe zresztą tylko wykształcenie dzięki szczodrobliwości pewnego znakomitego podróżnika europejskiego, u którego ich ojciec był służącym podczas podróży w głębi kraju. Generał Montero zdołał dzięki temu wyróżnić się śród szeregów. Młodszy Pedrito, niepoprawny leń i nicpoń, wałęsał się po miastach pobrzeżnych, tułał po kantorach i wieszał się przy cudzoziemcach jako *valet-de-place*, wykpiwając się zręcznie i nikczemnie z życia. Upodobanie do czytania napełniło mu głowę niedorzecznemi mrzonkami. Czyny jego wynikały zazwyczaj z pobudek, tak w swej istocie nieprawdopodobnych, iż uchodziły przenikliwości ludzi rozumnych.

To też z pierwszego wejrzenia agent koncesji Gouldów w Santa Marta uwierzył, że nie zbywa mu na zdrowych poglądach i że nawet może być siłą, powściągającą wiekuiście niezadowoloną próżność generała. Nie byłby atoli dał wiary, żeby Pedrito Montero, lokaj czy też podrzędny pisarek, nawykły do tułania się po poddaszach różnych hoteli paryskich, gdzie poselstwo costaguańskie zwykło było umieszczać swe

dyplomatyczne dostojeństwo, pochłaniał lżejsze dzieła historyczne w języku francuskim, takie naprzykład, jak książki Imberta de Saint Amand o drugiem cesarstwie. Wszelako Pedrito uległ urokowi świetnego dworu i na podobieństwo księcia de Morny wymarzył sobie byt, w którymby mógł opływać we wszelkie rozkosze a zarazem kierować sprawami politycznemi i używać w całej pełni najwyższej władzy. Nikomu to nie przychodziło na myśl, a jednak było jedną z bezpośrednich przyczyn rewolucji monterystowskiej. Wyda się to mniej nieprawdopodobnem, o ile weźmie się pod uwagę, że powody zasadnicze są zawsze te same, mianowicie, że wynikają one z politycznej niedojrzałości ludu, z nieudolności warstw wyższych i ciemnoty pospólstwa.

Pedrito Montero widział w wywyższeniu swego brata drogę, otwartą dla najdzikszych swych mrzonek. I to było przyczyną, dla której *pronunciamenta* monterystowskiego niepodobna było uprzedzić. Sam generał prawdopodobnie byłby się dał przekupić i ułagodzony pochlebstwami, podjąłby się chętnie misji dyplomatycznej do Europy. Cóż, kiedy podżegał go nieustannie jego brat. Pragnął zostać najświetniejszym mężem stanu Ameryki Południowej. Nie pożądał najwyższej władzy, trwożyły go bowiem jej trudy i niebezpieczeństwa. Pedrito Montero, nauczony doświadczeniami europejskiemi, pragnął przedewszystkiem zebrać duży majątek. Mając ten cel na oku, uprosił swego brata nazajutrz po wygranej bitwie, że będzie mu wolno przeprawić się przez góry i objąć w posiadanie Sulaco. Sulaco było krajem przyszłej szczęśliwości, ziemią obiecaną materjalnego postępu, jedyną prowincją Rzeczypospolitej, która nęciła kapitalistów

europejskich. Pedrito Montero, idąc za przykładem księcia de Morny, postanowił zapewnić sobie udział w tej pomyślności. To przedewszystkiem miał na myśli. Brat jego był obecnie panem kraju bądźto jako prezydent, dyktator lub nawet cesarz — bo czemużby nie miał zostać cesarzem? — więc postanowił domagać się udziału we wszystkich przedsiębiorstwach — w kolejach, kopalniach, plantacjach trzciny cukrowej i bawełny, majętnościach ziemskich, słowem we wszystkiem — wzamian za swe poparcie. Chciał być na miejscu jak najprędzej i to było istotną przyczyną sławionego pochodu przez góry, w którym uczestniczyło około dwustu *llanerów*. Była to wyprawa, z której niebezpieczeństw w swej niecierpliwości nie zdawał sobie zrazu jasno sprawy. Mając za sobą szereg zwycięstw, mniemał, iż dość jest, żeby Montero się ukazał a będzie panem sytuacji. To złudzenie popchnęło go do nierozwagi, którą sobie uświadomił. Jadąc na czele swych *llanerów*, żałował, że ma ich tak mało. Entuzjazm ludności dodał mu otuchy. Wrzeszczano: *Viva Montero! Viva Pedrito!* Chcąc rozpłomienić lud jeszcze więcej i mając wrodzone upodobanie do obłudy, opuścił wodze na kark konia i ze wzruszającym gestem przyjacielskości i poufałości wsunął ręce pod ramiona *seniorów* Fuentesa i Gamacha. W tej postawie, mając za przewodnika obdartego *moza*, co ujął za uzdę jego konia, jechał triumfalnie przez *Plazę* do bram *Intendencii*. Posępne jej mury zdawały się drżeć od krzyków, co wypełniały powietrze i przygłuszały gromkie rozhuki katedralnych dzwonów.

Pedro Montero, brat generała, zsiadł z konia śród wrzaskliwej i spoconej zgrai wielbicieli, odtrącanych szorstko przez obszarpanych gwardzistów. Postąpiwszy

parę kroków, spoglądał na ciżbę, co gapiła się na niego, i na poznaczone kulami ściany domów, przezierających z lekkiej omgły słonecznej. Z przeciwległej strony wielkiego placu wyzierały ku niemu ogromne, czarne głoski słowa PORVENIR, przedzielone wytłuczonemi oknami. Z rozkoszą myślał o godzinie zemsty, gdyż był pewien, iż dostanie w swe ręce Decouda. Po lewej jego stronie zwalisty i popędliwy Gamacho ocierał swą kosmatą, wilgotną twarz i odsłaniał swe żółte łapy, szczerząc zęby z głupkowatą wesołością. Po prawej, drobny i suchy *senior* Fuentes rozglądał się z zaciśniętemi ustami. Ciżba, pogrążona w pożądliwem zasłuchaniu, rozdziawiła dosłownie gęby, jakgdyby oczekiwała, iż wielki *guerrillero*, znakomity Pedrito, pocznie zaraz nie szczędzić objawów namacalnej szczodrobliwości. Wszelako on zaczął od przemówienia. Pierwsze, wyrzucone przezeń z krzykiem słowo: „Obywatele!“, dosięgło nawet tych, co stali pośrodku *Plazy*. Później przeważna większość obywateli pozostawała już tylko pod urokiem popisu czynnego mówcy, jego wspinania się na palce, jego ramion, co zaciśniętemi pięściami śmigały dokoła jego głowy, jego dłoni, przykładanej napłask do serca, jego gestów głaskających, wytykających, ściskających, jednej jego ręki, kładącej się poufale na ramieniu Gamacha, i drugiej, co zwracała się uroczystem skinieniem do drobnej, odzianej w czerń osóbki *seniora* Fuentesa, adwokata, polityka i oddanego przyjaciela ludu. Okrzyki tych, którzy stali najbliżej mówcy, wybuchały nagle, rozpierzchając się chwiejnie aż po krańce ciżby na podobieństwo płomienia, co pożera suchą trawę, i zamierały u wylotów ulic. W przerwach na rojnej *Plaza* zagęszczało się przygnębiające milczenie, śród którego zamykały się i otwie-

rały usta mówcy, wyrzucając frazesy: — „Szczęście ludu“ — „dzieci ojczyzny“ — „cały świat“, *el mundo entiero*. Docierały one aż do zatłoczonych stopni katedry przelotnym, dźwięcznym szmerem, nikłym niby brzęczenie moskita. I oto mówca uderzył się w piersi zdając się dębić między swymi dwoma towarzyszami. Był to ostateczny wysiłek jego krasomówstwa. Następnie dwie mniejsze postacie zniknęły z widowni i pozostał tylko olbrzymi Gamacho, który postąpił naprzód i wzniósł kapelusz wysoko nad głowę. Poczem włożył go znów buńczucznie i ryknął: *Ciudadanos!* Mętny wrzask powitał *seniora* Gamacha, kramarza z *Campa* i komendanta Gwardji Narodowej.

W pałacu, na górze, chodził śpiesznie Pedrito Montero po zrujnowanych komnatach *Intendencii* i zżymał się nieustannie: — Co za głupota! Co za zniszczenie!

Senior Fuentes, który mu towarzyszył, sprzeniewierzył się swemu milczącemu usposobieniu i mruknął:

— To robota Gamacha i jego gwardzistów. — Poczem przechylił głowę na lewe ramię i zacisnął znów usta tak mocno, iż małe dołki ukazały się w ich kącikach. Miał w kieszeni nominację na gubernatora miasta i pragnął co rychlej objąć urzędowanie.

Stali bezczynnie w mroku i spustoszeniu podłużnej sali, której wielkie zwierciadła potłuczono kamieniami. Strzępy tapet zwisały ze ścian, baldachim, co wznosił się nad podwyższeniem, ustawionem w głębi, leżał, podruzgotany na kawałki. Poprzez okiennice dolatywał potężny, głęboki poszmer tłumu i słychać było wyjący głos Gamacha, który właśnie zaczął przemawiać.

— Bydlę! — warknął jego ekscelencja, Don Pedro Montero, przez zaciśnięte zęby. — Trzeba pomyśleć

o tem, żeby go wysłać możliwie najrychlej wraz z jego gwardzistami przeciwko Hernandezowi.

Nowy *Géfé Politico* potrząsnął tylko zukosa głową i zaciągnął się papierosem na znak, iż zgadza się, by w ten sposób uwolnić miasto od Gamacha i jego uciążliwego motłochu.

Pedrito Montero spoglądał z niesmakiem na ogołoconą doszczętnie posadzkę i na rząd grubo złoconych ram od obrazów, dokoła których strzępy pociętych i podartych płócien zwisały jak niechlujne łachmany.

— Nie jesteśmy barbarzyńcami — przemówił.

Oto co rzekł jego ekscelencja, ulubieniec ludu, Pedrito, *guerrillero*, wyćwiczony w sztuce urządzania zasadzek, któremu na własne żądanie powierzył brat jego organizację Sulaca wedle zasad demokratycznych. Ubiegłej nocy, zasięgając zdania swych stronników, którzy przybyli na jego spotkanie do Rincon, dał wyraz swym zamierzeniom, mówiąc do *seniora* Fuentesa:

— Zarządzimy głosowanie powszechne na zasadzie „tak“ lub „nie“, powierzające ster naszej ukochanej ojczyzny mądrości i wspaniałomyślności mego bohaterskiego brata, niezwyciężonego generała. Będzie to plebiscyt. Rozumie mnie pan?

Zaś *senior* Fuentes, wydąwszy swe pergaminowe policzki, pochylił zlekka głowę w lewo i wypuścił nikłą, błękitnawą smugę dymu z swych workowatych ust. Zrozumiał.

Jego ekscelencja goryczył się wielce na poczynione spustoszenia. W salonach przyjęć nie pozostało ani jedno krzesło, ani jeden stół, sofa, etażerka czy konsola. Jego ekscelencja, aczkolwiek wrzał wściekłością, wstrzymywał się jednakże od wybuchów gniewu, gdyż miał poczucie swego oddalenia i osamotnienia. Bohaterski jego brat był bardzo daleko. Ale jak od-

będzie on swą *siestę?* Miał nadzieję, iż po roku twardego życia obozowego znajdzie w *Intendencii* zbytek i wygodę, że zakończą się poniewierki i uciążliwości, połączone z nieustraszonym pochodem na Sulaco — na tę prowincję, co swem bogactwem i znaczeniem przewyższała niepomiernie resztę Rzeczypospolitej. Chciał już nawet załatwić się z Gamachem. I oto mowa *seniora* Gamacha, miła uszom tłumu, rozlegała się śród blasku i skwaru *Plazy* niby skowyt jakiegoś podrzędnego djabła, wtrąconego w czeluść rozpalonego do białości pieca. Co chwila ocierał nagiem ramieniem swą ociekającą twarz; zdjął marynarkę i zawinął aż poza łokcie rękawy swej koszuli; ale zatrzymał na głowie kapelusz z podwiniętą kresą i białym pióropuszem. Jego prostoduszność lubowała się w tej odznace komendanta gwardji narodowej. Okresy jego witano poważnym i pełnym uznania szmerem. Jego zdaniem należało niezwłocznie wypowiedzieć wojnę Francji, Anglji, Niemcom i Stanom Zjednoczonym, które, budując koleje, zakładając przedsiębiorstwa górnicze, organizując kolonizację i chwytając się tym podobnych, błahych pozorów, dążą do wyzucia ubogiego ludu z ziemi i przy pomocy arystokratów, tych Gotów i paralityków, pragną go przedzierzgnąć w nędznych, uznojonych niewolników. Zaś *leperowie*, rozwiewając poły swych brudnych, białych *mant*, wrzeszczeli na znak uznania. Generał Montero — wył Gamacho z głębi przeświadczenia — jest jedynym człowiekiem, który może sprostać patrjotycznym zadaniom. Przyklasnęli mu również.

Poranek jął nużyć; jawiły się już oznaki rozsypki, falowania i kotłowania się ciżby. Niektórzy szukali cienia pod ścianami i pod drzewami *Alamedy*. Jeźdźcy

bodli konie ostrogami, pokrzykując. *Sombreros*, włożone płasko na głowy dla ochrony przeciwko prostopadłym promieniom słońca, taczały się po ulicach, gdzie otwarte drzwi *pulperij* ziały ponętnym mrokiem, śród którego rozlegały się słodkie pobrzęki gitar. Gwardziści narodowi myśleli o *siescie*, a wymowa ich komendanta, Gamacha, już się wyczerpała. Później, kiedy pod wieczór zrobiło się chłodniej, próbowali znów się zebrać dla dalszego roztrząsania spraw publicznych, ale kawalerja Montera, obozująca na *Alamedzie*, uderzyła na nich pędem, mierząc swemi długiemi lancami w ich grzbiety, pierzchające ku wylotom ulic. Gwardja narodowa ze Sulaca była zdumiona tem postępowaniem. Ale nie szemrała. Żaden *Costaguanero* nie zwykł sarkać na wybryki siły zbrojnej. Należą one do naturalnego porządku rzeczy. Zdaniem ich, było to bezwątpienia jakieś zarządzenie administracyjne. Ale pobudki tego zarządzenia uszły ich nieskrzepionej inteligencji, zaś ich naczelnik i mówca, Gamacho, *Commandante* gwardji narodowej, wypoczywał pijany na łonie rodziny. Jego nagie nogi wyprężyły się w cieniu na podobieństwo nóg trupa. Rozdziawiły się jego wymowne usta. Jego najmłodsza córka, skrobiąc się jedną ręką w głowę, powiewała zieloną gałęzią nad jego rozpalonem i uznojonem obliczem.

ROZDZIAŁ VI.

Chylące się słońce z zachodu na wschód rozsiewało cienie śród domów miejskich. Rozsiewało je po całym obszarze niezmierzonego *Campa* z białemi ścianami *haciend*, co z wyniosłości górowały nad zielenią przestworów; z słomianemi strzechami *ranchów*, co przysiadły w zagłębieniach na brzegach strumieni; z ciemnemi kępami rozsochatych drzew, rozsianemi po jasnej roztoczy traw; i ze stromemi krzesanicami Kordyljerów, co ogromne i nieruchome, wyłaniały się z podścieliska niżnich borów niby jałowe wybrzeże jakiejś krainy olbrzymów. Promienie słoneczne, muskając śnieżne stoki Higueroty, nadawały im zdaleka wygląd różanej młodości, natomiast szczerbate zwały odległych grani były czarne, jakby stężałe w płomiennej jaśni. Rozfalowana powierzchnia borów wyglądała jakby posypana bladozłotym pyłem. Hen, za Rincon, zakrytem od strony miasta dwoma lesistemi odnóżami, granie czeluści San Tomé, okolone płaskim wałem gór, uwieńczonych olbrzymiemi paprotnikami, mieniły się miękkiemi tonami, żółtemi i brunatnemi, na których zaznaczały się rdzawe smugi oraz ciemna zieleń zarośli, wypełniających rozpadliny. Stępy i zabudowania kopalni widniały hen, wgórze, drobne i ciemne, niby

gniazda ptasie, uwite na krawędzi wiszarów. Zakosy ścieżek podobne były do nikłych kresek, nagryzmolonych na murze twierdzy Cyklopów. Don Pépé, co schodził ścieżką z górnego płaskowyżu ku dwom *sereniom*, czuwającym z karabinami w ręku pod drzewami, okalającemi strumień wpobliżu mostu, wydawał się nie większym od dużego chrabąszcza.

Wałęsając się z pozorną bezcelowością owadu po powierzchni skały, postać Dona Pépégo zstępowała nieustannie, kiedy zaś była już blisko podnóża, znikła za dachami magazynów, kuźnic i warsztatów. Obaj *serenios* przechadzali się dalej przed mostem, na którym zatrzymali jakiegoś jeźdźca, dzierżącego w ręce wielką, białą kopertę. Poczem z pomiędzy chat uliczki wiejskiej, oddalonej od granicznego mostu zaledwie na rzut kamienia, wynurzył się Don Pépé w sutych, ciemnych, niknących w cholewach butów szarawarach i białej kurtce płóciennej. Miał szablę u boku i rewolwer u pasa. W tych burzliwych czasach *senior Gobernador* poprostu nie wyzuwał butów.

Na lekkie skinienie jednego z *sereniów* posłaniec z miasta zeskoczył z siodła i przeszedł przez most, prowadząc swego konia za uzdę.

Don Pépé wziął list z drugiej jego ręki i przesunął dłonią po swym lewym boku i po biodrach, szukając futerału z okularami. Włożywszy wielkie, oprawne w srebro szkła na nos i umocowawszy je starannie za uszami, otworzył kopertę, odsuwając ją na jaką stopę od swych oczu. Papier, który z niej wyjął, zawierał ze trzy rządki pisma. Patrzył na nie długo. Drgały zlekka jego siwe wąsy i zbiegły się zmarszczki, rozchodzące się na podobieństwo promieni z kącików

jego oczu. Skinął pogodnie głową, — *Bueno* — rzekł. — Nie będzie odpowiedzi.

Poczem w właściwy sobie, spokojny i łaskawy sposób wdał się w przezorną rozmowę z przybyszem, który miał chętkę pogawędzić wesoło, jakgdyby mu niedawno zdarzyło się coś pomyślnego. Widział zdaleka piechotę Sotilla, obozującą wzdłuż brzegu przystani po obu stronach Urzędu Cłowego. Nie uszkodzili budynków. Cudzoziemcy, co budowali kolej, pozamykali się w remizach. Nie śmieli już strzelać do biednych ludzi. Przeklinał cudzoziemców. Następnie opowiedział o wjeździe Montera i pogłoskach, krążących po mieście. Ubodzy mieli teraz stać się bogaczami. To bardzo dobra rzecz. Więcej nie wiedział, lecz uśmiechając się pojednawczo, zwierzył się, że jest spragniony i głodny. Stary major polecił mu udać się do *alcada* pierwszej wioski. Przybysz odjechał, zaś Don Pépé, stąpając zwolna w kierunku niewielkiej, drewnianej dzwonnicy, zajrzał przez płot do małego ogródka i ujrzał ojca Romana, siedzącego w białym hamaku, zawieszonym między dwoma drzewami pomarańczowemi przed kościołem.

Olbrzymi tamaryszek ocieniał biały barak swem ciemnem listowiem. Młoda dziewczyna indyjska o bujnych włosach, dużych oczach, drobnych rękach i nogach, wyniosła krzesło drewniane, a czuwała nad nią przez cały czas z werandy jakaś szczupła staruszka, uważna i zgryźliwa. Don Pépé usiadł i zapalił cygaro; ksiądz zażył z dłoni ogromny niuch tabaki. Z jego czerwonawobrunatnej twarzy wyzierało dwoje oczu, młodzieńczych i szczerych, co migotały niby czarne diamenty.

Don Pépé łagodnym i uciesznym głosem zawia-

domił ojca Romana, iż Pedrito Montero pismem, wystosowanem przez *seniora* Fuentesa, zwrócił się do niego z zapytaniem, na jakich warunkach zgodzi się oddać kopalnię w stanie czynnym patrjotycznej komisji obywatelskiej, pozostającej pod eskortą nielicznej siły zbrojnej. Ksiądz wzniósł oczy ku niebu. Jednakże — mówił dalej Don Pépé — *mozo*, który przywiózł to pismo, opowiadał, iż Don Carlos jest żywy i że dotychczas go nie nagabywano.

Ojciec Roman wyraził pokrótce swe dziękczynienia, że *seniorowi Administradorowi* nie stało się nic złego.

Srebrzysty głos dzwonu, rozlegający się z małej dzwonnicy, dał znać, iż godzina modlitwy minęła. Zakole borów, zamykające wejście do doliny, wznosiło się niby zawora między chylącem się słońcem a uliczką wiejską. U drugiego krańca skalistej czeluści, między ścianami z bazaltu i granitu, dźwigała się stromo lesista góra, oświetlona aż do samego wierzchu, zasłaniając łańcuchy górskie przed oczyma mieszkańców San Tomé. Trzy małe, różowe obłoczki wisiały nieruchomo w bezdni błękitu. Gromadki ludzi siedziały na ulicy między opłotkami chat. Przed *casą alcada* przodownicy nocnej zmiany gromadzili już swych ludzi, co przykucnąwszy kręgiem na ziemi, pochylali swe bronzowe grzbiety i podawali sobie z rąk do rąk pękatą butelkę z *maté*. *Mozo* miejski przywiązał swego konia do drewnianego pala przed drzwiami i opowiadał im nowiny z Sulaca, a butelka z napitkiem krążyła dalej. Nawet poważny alkad w białym kaftanie i wzorzystym szarafanie z rękawami, odsłaniającymi nagość jego krzepkiej osoby na podobieństwo barwnego płaszcza kąpielowego, stał przytem, mając na głowie włochaty kapelusz z galonami i dzierżąc w dłoni długą laskę ze srebrną gałką. Te

odznaki jego godności wręczono mu w zarządzie kopalni, tej krynicy zaszczytów, pomyślności i pokoju. Był jednym z pierwszych, którzy przybyli do tej doliny; jego synowie i zięciowie pracowali we wnętrzu góry, co po stoczniach, dudniących od rudy, zdawała się zsyłać wraz z swemi skarbami dary dobrobytu, bezpieczeństwa i sprawiedliwości uznojonym pracownikom. Przysłuchiwał się nowinom z miasta ciekawie i obojętnie, jakby dotyczyły one jakiegoś, obcego mu świata. Jakoż istotnie wydawały się mu takiemi. W przeciągu paru zaledwie lat poczucie przynależności do potężnego ustroju rozwinęło się w tych udręczonych, nawpół dzikich Indjanach. Byli dumni z kopalni i przywiązali się do niej. Pozyskała ich ufność i wiarę. Pokładali ją z gorliwem i niezłomnem męstwem, jakgdyby ta kopalnia była bożyszczem, zdziałanem ich własnemi rękami. Byli ciemni i nie różnili się zresztą zbytecznie od innych ludzi, którzy pokładają niezmierną ufność w swych własnych tworach. Nie mieściło się temu alkadowi w głowie, żeby mogła kiedykolwiek zawieść opiekuńcza potęga kopalni. Polityka była w sam raz dla ludzi z miasta i z *Campa*. Jego żółta, krągła twarz z rozdętemi nozdrzami miała nieruchomość posągu i podobna była do możnego księżyca w pełni. Słuchał gorączkowych majaczeń *moza* bez podejrzliwości, bez zdumienia, bez jakiegokolwiek czynnego odruchu.

Ojciec Roman kołysał się przygnębiony, dotykając już stopą ziemi i czepiając się rękami krańców hamaku. Mniej ufny, ale równie niewiedzący, jak jego owieczki, zapytywał majora, co, jego zdaniem, obecnie się stanie.

Don Pépé, siedząc prosto na krześle, wsparł spokojnie ręce na rękojeści swej szabli, sterczącej prostopadle między jego udami, i odrzekł, że nie wie. Kopalni

możnaby bronić przeciw wojsku, któreby wysłano dla jej opanowania. Mając jednakże na uwadze jałowość doliny, trzeba się liczyć z możliwością, iż ludność trzech wsi mogłaby być zmuszona głodem do uległości, gdyby odcięto dowóz od strony *Campa*. Don Pépé wyłuszczał spokojnie te okoliczności ojcu Romanowi, który sługiwał ongi w wojsku, więc mógł podążać za rozumowaniami zawodowego oficera. Mówili poprostu i szczerze. Ojciec Roman martwił się myślą, że jego owieczki mogą pójść w rozsypkę lub być ujarzmione. Nie miał złudzeń co do ich losu, nie z przenikliwości lecz z długiej znajomości okrucieństw politycznych, które wydawały się mu fatalnością i koniecznością w istnieniu państwa. Działalność zwyczajnych urzędów publicznych przedstawiała się mu nader wyraziście jako szereg klęsk, dosięgających jednostek prywatnych i przenoszących się logicznie z jednej na drugą drogą nienawiści, odwetu, szaleństwa i drapieżności, na podobieństwo dopustu Bożego. Jasnowidzenie ojca Romana miało na usługi niewykształconą inteligencję; ale jego serce, co zachowało swą czułość wśród obrazów rzezi, przemocy i grabieży, wzdrygało się przed temi okropnościami tem bardziej, im silniejszy węzeł kojarzył go z ofiarami. W stosunku do Indjan z doliny miał uczucie ojcowskiej pogardy. Od pięciu już lat chrzcił, zaślubiał, spowiadał, rozgrzeszał i grzebał robotników z kopalni San Tomé z godnością i namaszczeniem; wierzył w świętość tych obrzędów, które w znaczeniu duchowem czyniły ich jego podwładnymi. Byli mili jego kapłańskiej zwierzchności. Szczera troskliwość, jaką okazywała Mrs. Gould temu ludowi, zwiększała jego znaczenie w oczach księdza, zwiększając zarazem jego własne. Rozmawiając z nią

o niezliczonych Marjach i Brygidach z wiosek górniczych, doznawał wzmożenia własnego człowieczeństwa. *Padre* Roman był niezdolny do fanatyzmu w naganym niemal stopniu. Angielska *seniora* była jużcić heretyczką, ale równocześnie wydawała się mu anielską i przedziwną. Ilekroć wydarzał się mu ten zamęt w odczuwaniach — naprzykład, kiedy z brewjarzem pod pachą przechadzał się w cieniu wielkiego tamaryszku — przystawał i prychając mocno, zażywał potężny niuch tabaki, poczem potrząsał głową z zamyśleniem. Myśląc, co może stać się obecnie z tą szlachetną *seniorą*, doznawał stopniowo coraz większego niepokoju. Odzywał się podnieconym pomrukiem. Nawet Don Pépé postradał na chwilę swój pogodny spokój. Pochylił się sztywnie naprzód.

— Posłuchajcie no, *Padre.* Już to samo, że te złodziejskie małpy ze Sulaca są skłonne do targów o mój honor, świadczy, że Donowi Carlosowi i domownikom *Casy Gould* nic nie grozi. Co do mego honoru, to jest on także pewny, jak o tem wiadomo wszystkim mężczyznom, kobietom i dzieciom. Ale nie wiedzą o tem murzyńscy liberali, co zagarnęli miasto podstępem. Niechże siedzą i czekają. Czekając, nie będą mogli wyrządzić krzywdy.

I odzyskał równowagę umysłu. Odzyskał ją łacno, gdyż bez względu na to, co się stanie, jego honor, honor starego oficera Paeza, będzie nietknięty. Przyrzekł Charlesowi Gouldowi, iż za zbliżeniem się jakiejkolwiek siły zbrojnej będzie bronił czeluści dopóty, dopóki zapomocą potężnych ładunków dynamitu nie unicestwi drogi, budynków i urządzeń kopalnianych, nie zawali gruzem głównego podkopu, nie poniszczy ścieżek, nie zburzy grobli, nie rozwali doszczętnie słynnej koncesji

Gouldów, wysadzając ją w powietrze przed oczyma struchlałego świata. Charles Gould dzierżył kopalnię z tą samą straszliwą zaciętością, z jaką ongi narzucono ją jego ojcu. Mimo to ostateczność tego rodzaju była dla Dona Pépégo najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Umiejętnie poczynił zarządzenia. Przygotował wszystko z troskliwą starannością. To też Don Pépé oparł ręce spokojnie na rękojeści swej szabli i kiwał głową ku księdzu. Podniecony ojciec Roman całemi garściami zażywał tabakę, aż wreszcie umazany nią, zerwał się z hamaka i z zaokrąglonemi oczyma jął przechadzać się, napoły nieprzytomnie wyrzucając wyrazy.

Don Pépé pogładził swe siwe, bujne wąsy, których cienkie końce zwisały znacznie poniżej szlachetnie zarysowanych linij jego szczęk, poczem rzekł z dumnem poczuciem swej nieskazitelności:

— Tak jest, *Padre*, nie wiem, co się stanie. Ale wiem, że jak długo jestem tutaj, Don Carlos może mówić z tą małpą, Pedritem Monterem, i grozić zniszczeniem kopalni z całą pewnością, iż pojmuje się je poważnie. Bowiem znają mnie ludzie.

Jął obracać cygaro w ustach z niejaką nerwowością, poczem mówił dalej:

— Ale to gadanie — dobre dla polityków. Ja jestem żołnierzem. Nie wiem, co nastąpi. Ale wiem, co należy uczynić — kopalnia winna ruszyć na miasto z karabinami, toporami, nożami, przytwierdzonemi do drągów — *por Dios!* Oto co trzeba uczynić. Tylko że...

Złożone jego ręce drgnęły na rękojeści. Cygaro jęło obracać się śpieszniej w kąciku jego ust.

— A któż będzie mógł poprowadzić? Tylko ja. Na nieszczęście — muszę zaznaczyć — dałem słowo honoru Donowi Carlosowi, że nie dopuszczę, żeby ko-

palnia wpadła w ręce tych złodziei. Na wojnie — jak ojcu wiadomo — fortuna kołem się toczy, a któż tu zostanie, żeby mnie zastąpił w razie klęski? Materjały wybuchowe są przygotowane. Trzeba mi jednak człowieka o wielkiem poczuciu honoru, inteligentnego, roztropnego i odważnego, któryby dokonał przygotowanego zniszczenia. Człowieka, którego honorowi mógłbym zaufać jak swojemu. Naprzykład, drugiego starego oficera Paeza. A może — mógłby nim być także któryś ze starych kapelanów Paeza?

Powstał wysoki, szczupły, krzepki, z marsowym wąsem i kościstą budową twarzy, z której spojrzenie głęboko osadzonych oczu zdawało się przeszywać księdza, co stał nieruchomo, z pustą, drewnianą tabakierką w opuszczonej nadół ręce, i spoglądał bez słowa na gubernatora kopalni.

ROZDZIAŁ VII.

Niemal równocześnie w *Intendencii* zapewniał Charles Gould Pedrita Montera, który posłał po niego, iż nie wyrzecze się nigdy kopalni na korzyść rządu, co chciałby mu ją zagrabić. Koncesja Gouldów nie może być cofnięta. Ojciec jego jej nie pragnął, zaś syn jej nie odda. Nie odda jej do ostatniego tchu. Jeżeli zaś zginie, to gdzie jest potęga, co zdoła wskrzesić to przedsiębiorstwo w całem jego bogactwie i mocy z gruzów i perzyn zniszczenia? Takiej potęgi niema w kraju. A czyż zagraniczny kapitał i cudzoziemska przedsiębiorczość zechcą się tknąć takiego odstraszającego trupa? Charles Gould mówił obojętnym tonem, za którym przez długie lata zwykł był skrywać swój gniew i pogardę. Cierpiał. Czuł niesmak do tego, co trzeba było powiedzieć. Nazbyt zatrącało bohaterstwem. Zmysł ściśle praktyczny pozostawał u niego w głębokiej rozterce z mistycznym niemal poglądem na swe prawa. Koncesja Gouldów była symbolem abstrakcyjnej sprawiedliwości. Niechaj zapadną się niebiosa! Ale odkąd kopalnia San Tomé posiadła wszechświatowy rozgłos, groźba jego miała dość wyrazistości i mocy, by dotrzeć do pierwotnej inteligencji Pedra Montera, spowitej, jeśli tak wyrazić się można, w czczość anegdot

historycznych. Koncesja Gouldów była ważną pozycją w majątku państwa i co więcej, w budżecie prywatnym wielu urzędników. To było tradycyjne. To było wiadome. O tem mówiono. W to należało wierzyć. Każdy minister spraw wewnętrznych pobierał honorarja z kopalni San Tomé. Zaś Pedrito zamierzał zostać prezesem ministrów i ministrem spraw wewnętrznych w rządzie swego brata. Książę de Morny piastował te wysokie godności za czasów drugiego cesarstwa we Francji z niemałą korzyścią dla siebie.

O stół, o krzesło i drewniane łóżko postarano się dla jego ekscelencji, który po krótkiej *sieście*, niezbędnej po trudach i uroczystościach wjazdu do Sulaca, ujął ster machiny administracyjnej, czyniąc zarządzenia, wydając rozkazy i podpisując proklamacje. Rozmawiając sam na sam z Charles'em Gouldem w sali przyjęć, jego ekscelencja ze znaną powszechnie zręcznością starał się ukryć swe zaniepokojenie i zakłopotanie. Jął zrazu mówić wyniośle o konfiskacie, ale nieobecność wszelkiego godziwego uczucia i ruchliwość rysów *seniora Administradora* zdołały wkońcu wpłynąć odmiennie na jego uzdolnienie mistrzowskiego udania. Charles Gould powtarzał: — Rząd może jużcić spowodować zniszczenie kopalni San Tomé, jeżeli zechce, ale nic więcej beze mnie uczynić nie może. — Było to oświadczenie niepokojące i dobrze obliczone, by urazić wrażliwość polityka, który rozmyśla, pochylony nad łupami zwycięstwa. Zaś Charles Gould rzekł ponadto, iż zniszczenie kopalni San Tomé pociągnie za sobą ruinę innych przedsiębiorstw, ucieczkę europejskiego kapitału oraz, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, niewypłacenie ostatniej raty pożyczki zagranicznej. Ten zakamieniały człowiek mówił o wszystkich tych rzeczach

(dostępnych pojmowaniu jego ekscelencji) z taką zimną krwią, iż poprostu przebiegały ciarki.

Uporczywe rozczytywanie się w dziełach histotorycznych, lekkich i plotkarskich, które zabierało się na poddasza hoteli paryskich i dla których, rozwaliwszy się na nieprzytulnem łóżku, zaniedbywało się obowiązków służbowych i innych, wpłynęło na usposobienie Pedra Montery. Gdyby widział dokoła siebie przepych starej *Intendencii*, wspaniałe opony i ustawione pod ścianami, pozłociste meble; gdyby stąpał po czerwonej płachcie wytwornego kobierca, byłby prawdopodobnie bardzo niebezpieczny w swem poczuciu powodzenia i wywyższenia. Ale w tym ograbionym i zniszczonym pałacu, gdzie trzy pospolite sprzęty stały pośrodku przestronnej sali, wyobraźnia Pedrita ulegała naporowi poczucia niepewności i nietrwałości. To poczucie wraz z niewzruszonością Charles'a Goulda, który dotychczas nie użył ani razu słowa: „ekscelencjo", umniejszało go w oczach własnych. Przybrał ton światłego światowca i prosił Charles'a Goulda, by nie poddawał się niepotrzebnemu zaniepokojeniu. Przypomniał mu, że rozmawia z bratem władcy kraju, któremu poruczono zadanie reorganizacji. Upełnomocniony brat władcy kraju — powtórzył. Nic nie było bardziej obcem dla tego mądrego i patrjotycznego bohatera niż myśl o zniszczeniu. — Zaklinam, Donie Carlosie, żeby pan nie powodował się swemi antydemokratycznemi uprzedzeniami — krzyczał z przystępną wylewnością.

Pedrito Montero zastanawiał zrazu niepomiernym rozwojem swego łysego czoła, wyświecającego żółtawą przestrzenią między skudlonemi, kruczemi kosmykami włosów, pozbawionych zupełnie połysku, ponadto ujmu-

jącym kształtem ust i nad wszelkie spodziewanie wysubtelnionym głosem. Ale jego oczy, nadmiernie migotliwe, jakby świeżo namalowane po obu stronach haczykowatego nosa, miały beznadziejne, krągłe, ptasie wejrzenie, gdy były całkiem otwarte. Obecnie jednak mrużył je uprzejmie, wysuwając naprzód swą kanciastą brodę i z zaciśniętemi zębami mówiąc zlekka przez nos, gdyż wyobrażał, sobie że daje mu to wygląd wielkopański.

Przybrawszy go, oświadczył nagle, że najdoskonalszym wyrazem demokracji jest cezaryzm. Władza cesarska opiera się na bezpośredniem, powszechnem głosowaniu. Cezaryzm jest konserwatywny. Posiada siłę. Uznaje uzasadnione potrzeby demokracji, która domaga się orderów, tytułów i odznaczeń. Nie będzie ich się szczędziło ludziom usłużnym. Cezaryzm jest pokojowy i postępowy. Zapewnia pomyślność kraju. Pedrito Montero poddał się uniesieniu. Dość rzucić okiem na to, co drugie cesarstwo uczyniło dla Francji. Był to *régime*, który lubował się w czczeniu ludzi miary Dona Carlosa. Drugie cesarstwo upadło, ale tylko dlatego, że jego władca był pozbawiony tego wojskowego genjuszu, który generała Montera wyniósł na szczyty rozgłosu i chwały. Pedrito podrzucił ręką wgórę, by uwydatnić ideę szczytu i rozgłosu. — Mówiliśmy już dużo. Zrozumieliśmy się najzupełniej wzajemnie, Donie Carlosie! — wołał tonem koleżeńskiej równości. Republikanizm dokonał już swego dzieła. Demokracja cezarystyczna jest potęgą przyszłości. *Guerillero*, Pedrito, wskazując ręką, przytłumił głos mocno. Człowiek, wyróżniony przez swych współobywateli chlubnem przezwiskiem *El Rey de Sulaco*, może osiągnąć pełne uznanie tylko od demokracji cezarystycz-

nej jako możny twórca przemysłu i światły doradca, którego popularne nazwanie ustąpi wkrótce miejsca trwalszemu tytułowi. — Cóż, Donie Carlosie? Nic? Co pan na to? *Conde de Sulaco* — eh? — albo markiz...

Przestał. Chłodne było powietrze na *Plazy*, gdzie patrol kawalerji jeździł wkoło, nie zapuszczając się w ulice, z których rozbrzmiewały okrzyki i pobrzęki gitar, dolatujące z otwartych drzwi *pulperij*. Wydano rozkaz, by nie przeszkadzać ludowi w zabawie. A powyżej dachów, opodal prostopadłych linij wież katedralnych, śnieżny ogrom Higueroty zawalał wielką przestrzeń ciemniejącego błękitu przed oknami *Intendencii*. Po chwili Pedrito Montero włożył rękę w zanadrze swego odzienia i skinął głową z nieskorą godnością. Posłuchanie było skończone.

Charles Gould, wychodząc, przesunął rękę po czole, jakby chciał rozproszyć omgłę dokuczliwego snu, którego groteskowa niezwyczajność pozostawia subtelne poczucie fizycznego niebezpieczeństwa i duchowego rozstroju. Na korytarzach i na schodach starożytnego pałacu wałęsali się bezczelnie pachołkowie Montera, paląc i nie ustępując z drogi nikomu. Szczęk szabel i ostróg rozlegał się po całym budynku. Trzy milczące gromadki przedstawicieli ludności cywilnej czekały w surowej czerni na głównym korytarzu bezradnie i formalnie. Nieco pomiatane, stroniły od siebie, jakgdyby chciały ukryć przed oczyma ludzkiemi wypełnienie obowiązku obywatelskiego.

Były to deputacje, które czekały na posłuchanie. Jedna z nich, niespokojniejsza i bardziej nieswoja w przejawach swej zbiorowości, stanowiła przedstawicielstwo sejmiku prowincjonalnego. Górowała śród

niego duża, pulchna, biała twarz Dona Justego Lopeza o wystających powiekach. Przyoblekała go nieprzenikniona solenność niby gęsty obłok. Prezydent sejmiku prowincjonalnego, który stawił się mężnie, by ocalić ostatnie strzępy instytucyj parlamentarnych (na wzór angielski), odwrócił oczy od administratora kopalni San Tomé, jakgdyby czynił mu z godnością wyrzut, iż okazał zbyt mało wiary w tę jedynie zbawczą zasadę.

Posępna surowość tego skarcenia nie dotknęła Charles'a Goulda, ale obeszły go inne spojrzenia, które zwróciły się ku niemu bez wymówki, jakgdyby chcąc wyczytać z jego twarzy, co przyszłość przyniesie. Wszyscy ci panowie gadali, krzyczeli i deklamowali w wielkim salonie *Casy Gould*. Współczucie dla tych ludzi, dotkniętych szczególniejszą niemocą w zabiegach poniżenia moralnego, nie skłoniło go, by skinąć ku nim. Zbyt mocno dolegało mu poczucie współudziału w złem. Przeszedł przez *Plazę* nienagabywany. Klub Amarylli był pełen rozpanoszonej hołoty. Nikczemne pyski wyzierały ze wszystkich okien, a z wnętrza dolatywały pijane okrzyki, tupotanie nóg i rzępolenie harf. Potłuczone butelki leżały pod oknami na bruku. Charles Gould zastał jeszcze doktora w swym domu.

Dr. Monygham odstąpił od szczeliny w okiennicy, przez którą wyglądał na ulicę.

— Ach, wreszcie pan powrócił! — rzekł z ulgą w głosie. — Wmawiałem w Mrs. Gould, że jest pan najzupełniej bezpieczny, ale bynajmniej nie byłem pewny, czy ten hultaj pozwoli panu odejść.

— Ja również — przyznał się Charles Gould, kładąc kapelusz na stole.

— Będzie pan musiał przystąpić do czynu.

Milczenie Charles'a Goulda pozwalało przypuszczać, że jest to jedyna droga. Można było polegać na niem, gdyż Charles Gould miał zwyczaj zdążać ku przejawianiu swych zamierzeń.

— Myślę, że nie uprzedził pan Montera, co pan zamierza uczynić? — rzekł doktór z niepokojem.

— Usiłowałem mu wykazać, że istnienie kopalni pozostaje w związku z mem bezpieczeństwem osobistem — mówił Charles Gould, odwracając oczy od doktora i zatrzymując je na akwaforcie, co wisiała na ścianie.

— Czy wierzył panu? — spytał doktor pośpiesznie.

— Bóg wie! — rzekł Charles Gould. — Zrobiłem to dla mojej żony, że powiedziałem tak wiele. Jest wcale dobrze powiadomiony o wszystkiem. Wie, iż jest tam Don Pépé. Zapewne Fuentes mu powiedział. Wiedzą, iż stary major najzupełniej jest zdolny wysadzić w powietrze kopalnię San Tomé bez żalu i wahania. Gdyby tak nie było, nie wypuszczonoby mnie zapewne z *Intendencii* i nie pozwolonoby odejść swobodnie. Wysadziłby w powietrze wszystko z poczucia rzetelności i z nienawiści — z nienawiści do tych liberałów, jak się sami nazywają. Liberali! To tak dobrze znane słowo ma upiorne znaczenie w tym kraju. Wolność, demokracja, patrjotyzm, rząd — wszystko to trąci brednią i zbrodnią. Czy nie tak, doktorze?... Ja jeden mogę powstrzymać Dona Pépégo. Gdyby zaczęli — ode mnie, nikt go nie powstrzyma.

— Będą próbowali wejść z nim w układy — napomknął doktór znacząco.

— To bardzo możliwe — odparł Charles Gould bardzo cicho, jakgdyby mówił do siebie, patrząc wciąż jeszcze na szkic, przedstawiający rozpadlinę San Tomé.—

Myślę, że będą próbowali, — Charles Gould spojrzał po raz pierwszy na doktora. — Zyskam na czasie — dorzucił.

— Jużcić — rzekł dr. Monygham, powściągając swe podniecenie. — Zwłaszcza jeśli Don Pépé będzie zachowywał się dyplomatycznie. Czemużby nie miał zwodzić ich nadzieją powodzenia? Co? W przeciwnym razie nie zyska pan tak wiele na czasie. Czy nie możnaby mu wydać polecenia, żeby...

Charles Gould, nie spuszczając oka z doktora, potrząsnął głową, ale doktór mówił dalej z niejakiem uniesieniem:

— Żeby jął się układać o poddanie kopalni. To dobra myśl! Tymczasem plan pański by dojrzał. Nie pytam oczywiście, jaki on jest. Nie chcę o nim wiedzieć. Nie słuchałbym, gdyby pan zaczął o nim mówić. Nie jestem stworzony do słuchania zwierzeń.

— Co za niedorzeczność! — mruknął Charles Gould niechętnie.

Nie pochwalał przeczulenia, jakie doktór okazywał co do dawno minionego epizodu swego życia. Ten nadmiar pamięci raził Charles'a Goulda. Wydawał się mu chorobliwością. I znów potrząsnął głową. Zarówno jego smak jak jego przezorność nie pozwalały mu narażać szczerej prostolinijności postępowania Dona Pépégo. Instrukcyj można było udzielić albo ustnie albo pisemnie. W obu wypadkach zachodziła obawa, że mogą być przejęte. Nie było bynajmniej rzeczą pewną, iż posłaniec zdoła dotrzeć do kopalni. Ponadto nie było kogo posłać. Charles już miał na języku, że tylko nieżyjącego *Capataza de Cargadores* możnaby w takim razie użyć z niejaką nadzieją powodzenia i pewnością dyskrecji. Ale tego nie powiedział. Wyłuszczył dokto-

rowi, że byłoby to nierozsądnem. Gdyby nasunęły się przypuszczenia, iż Dona Pépégo można przekupić, osobiste bezpieczeństwo administratora oraz jego przyjaciół mogłoby być narażone. Nie byłoby już bowiem powodów do umiarkowania. Nieprzekupność Dona Pépégo była faktem istotnym i powściągającym. Doktór zwiesił głowę i przyznał, że w pewnej mierze byłoby tak istotnie.

Nie mógł zaprzeczyć przed sobą samym, że to rozumowanie było nader słuszne. Użyteczność Dona Pépégo polegała na jego nieskazitelności. Jeżeli zaś chodziło o jego własną użyteczność — rozumował gorzko — to miała ona również swoisty charakter. Oświadczył Charles'owi Gouldowi, iż jest w jego mocy, by Sotillo nie połączył swych sił z Monterem, przynajmniej narazie.

— Gdyby srebro było na miejscu — mówił doktór — lub gdyby przynajmniej było wiadomo, że znajduje się ono w kopalni, mógłby pan przekupić Sotilla, żeby wyrzekł się swego niedawnego monteryzmu. Mógłby go pan skłonić albo żeby odpłynął na swym parowcu, albo nawet, żeby połączył się z panem.

— Na pewno nie wybrałbym tego ostatniego — oświadczył Gould twardo. — Cóżby się poczęło później z takim człowiekiem — niech pan sam powie, doktorze? Srebro wywiezione, a ja jestem z tego zadowolony. Byłoby natychmiastową i silną pokusą. Szarpanina o ten namacalny łup przyśpieszyłaby fatalny koniec. Musiałbym go również bronić. Rad jestem, żeśmy je wywieźli — nawet jeżeli poszło na marne. Byłoby przekleństwem i niebezpieczeństwem.

— Może ma słuszność — rzekł doktór śpiesznie w godzinę później do Mrs. Gould, którą spotkał na korytarzu. — Stało się, a majak skarbu może się przy-

dać równie dobrze jak jego istota. Niechaj mi będzie wolno służyć pani całym zasobem mojej kiepskiej reputacji. Wybieram się obecnie, by omamić Sotilla i wywieźć go z miasta.

Wyciągnęła odruchowo obie ręce. — Naraża się pan na straszne niebezpieczeństwo, doktorze — szepnęła, odwracając pełne łez oczy od jego twarzy, by zerknąć ku drzwiom pokoju swego męża. Uścisnęła jego dłonie, zaś doktór stał niby przykuty do miejsca, spoglądając na nią i usiłując złożyć usta do uśmiechu.

— Ach, wiem, że będzie pani broniła mej pamięci — odezwał się wkońcu i zataczając się, zbiegł po schodach na *patio*, a stamtąd za bramę. Na ulicy jął sztykutać śpiesznym, wielkim krokiem, dzierżąc szkatułkę z narzędziami pod pachą. Wiedziano, że jest *loco*. Nikt go nie zatrzymywał. Z pod łuku bramy od strony morza, skroś pylnej, jałowej płaszczyzny, usianej drobnemi kierzkami, ujrzał w odległości jakiej mili szpetny ogrom Urzędu Cłowego oraz dwa czy trzy inne budynki, co podówczas otaczały przystań Sulaca. Hen, dalej ku południowi, rzędy palm obrzeżały zakole portu. Odległe szczyty Kordyljerów zatracały jawę swych wyraziście rzeźbionych kształtów w pogłębiającym się nieustannie błękicie zachodniego nieba. Doktór szedł rączo. Mroczny cień zdawał się spływać nań z góry. Słońce zaszło. Śniegi Higueroty jarzyły się jeszcze czas jakiś odbitą chwałą zachodu. Doktór, zmierzając samotnie wprost do Urzędu Cłowego, podrygiwał śród ciemnych zarośli na podobieństwo wielkiego ptaka o złamanem skrzydle.

Złotem, szkarłatem i purpurą mieniły się jasne tonie przystani. Zakole jej zamykała widoczna z brzegu, podłużna smuga lądu, prosta niby mur, z porośniętemi

trawą rozwalinami fortu, tworzącemi jakby zaokrągloną, zieloną spinkę. Zatoka Cicha odtwarzała hen, w dali, to roztocze barwne na większe rozmiary i z posępniejszym majestatem. Wypełniające jej środek zwały obłoków miały śród zwojów swej czerni i szarzyzny długie, czerwone plamy na podobieństwo rozwianego płaszcza, ubroczonego krwią. Trzy Izabele, zakryte cieniem i wyrzynające się mocno z ogromnej miękkości, spowijającej niebo i morze, purpurą i czernią zdawały się pławić w powietrzu. Drobne fale rozsiewały jakby nikłe, czerwone iskry po piaszczystych wybrzeżach. Szkliste zawory wodne, rozokolone wzdłuż widnokręgów, żarzyły się krwawą czerwienią, jakgdyby ogień pomieszał się z wodą w olbrzymiem łożysku oceanu.

Skończył się wreszcie ten pożar nieba i morza, ogarniający cicho ognistym kręgiem krańce świata. Czerwone skry na wodzie zanikły wraz z plamami krwi na czarnym płaszczu, otulającym posępne cielsko Zatoki Cichej. Prysnął nagły powiew i zamarł, załopotawszy ciężko w zaroślach, co pokrywały zrujnowane okopy fortu. Nostromo ocknął się po czternastu godzinach snu i powstał z posłania bujnej trawy. Stał po kolana śród szemrzącej i rozfalowanej zieleni z nieprzytomnością człowieka, który co tylko przyszedł na świat. Urodziwy, silny i gibki, odchylił wstecz głowę, rozprostował ramiona i wyciągnął się, wykręcając się zlekka w biodrach i szczerząc w przyciszonem ziewnięciu białe zęby. W tej chwili przebudzenia był taki naturalny i wolny od złego jak wspaniałe i nieświadome, dzikie zwierzę. Poczem w nagłem znieruchomieniu spojrzenia, utkwionego w zadumie z pod zmarszczonej brwi w nicość, objawił się człowiek.

ROZDZIAŁ VIII.

Wylądowawszy po swej przeprawie, Nostromo wdrapał się, ociekając wodą, do główego czworoboku starożytnego fortu. Przespał tam cały dzień śród pokruszonych murów i próchniejących w rozwalinach dachów. Spał w cieniu gór, w białej upalności południa, w ciszy i odosobnieniu tego zarośniętego chaszczami skrawka ziemi, rozciągającego się między owalem przystani a przestronnem zakolem zatoki. Leżał jak martwy. *Rey-zamuro* [1]), majaczący w błękicie na podobieństwo nikłej, czarnej plamki, zatrzymał się, kołując przezornie ukradkowym lotem, dziwnym u ptaka tej miary. Cień jego perłowobiałego tułowiu oraz czarno nakrapianych lotek padał na murawę równie cicho, jak on sam opuszczał się na wzgórek gruzu, o jakie trzy *jardy* od tego człowieka, który spoczywał nieruchomo nakształt trupa. Ptak wyciągnął swą nagą szyję i pochylił swój łysy łeb, ohydny mimo świetnego zabarwienia, z żarłoczną przezornością ku obiecującemu bezwładowi tego rozciągniętego ciała. Poczem opuściwszy łeb głęboko w swe miękkie pierze, znieruchomiał w oczekiwaniu. Pierwszą rzeczą, na którą padło po

---

[1]) Sęp królewski.

przebudzeniu spojrzenie Nostroma, był ten cierpliwy stróż, oczekujący oznak śmierci i rozkładu. Gdy zerwał się na nogi, sęp odskoczył potężnym, roztrzepotanym ruchem. Ociągał się przez chwilę posępnie i opornie, poczem wzleciał, krążąc bez szmeru z złowrogiem opuszczeniem dzioba i szponów.

Kiedy wreszcie znikł, Nostromo spojrzał w niebo i mruknął: — Nie jestem jeszcze martwy.

Capataz Cargadorów sulackich pławił się w rozgłosie i przepychu aż do chwili, kiedy podjął się sterowania przewozowcem, zawierającym ładunek srebra w bryłach.

Ostatni czyn, jakiego dokonał w Sulaco, pozostawał w doskonałej zgodzie z jego próżnością i jako taki był najzupełniej szczery. Oddał ostatniego, jakiego miał, dolara staruszce, wzdychającej z utrudzenia i żalu po daremnych poszukiwaniach pod łukiem starożytnej bramy. Dokonany w ciemności i bez świadków, czyn ten miał jeszcze znamiona rozgłosu i świetności i pozostawał w ścisłej łączności z jego reputacją. Ale to przebudzenie w pustkowiu, pod czujnem ślepiem sępa, śród rozwalin fortu, nie miało już tych znamion. Pierwsze jego mętne odczucie polegało właśnie na tem — iż nie przypada to do składu. Był to raczej jakby koniec wszystkiego. Konieczność dalszego życia ukrywała coś — Bóg wie, na jak długo! — co ogarnęło go po powrocie świadomości, uczyniło całą, wieloletnią przeszłość czczością i brednią, na podobieństwo przypochlebnego snu, który nagle pierzchnął.

Wspiął się na spadziste zbocze okopu i rozchyliwszy krzewy, spojrzał na przystań. Zobaczył parę statków, stojących na roztoczy, odstrzeliwającej ostatnie poświaty, i parowiec Sotilla, co przybił do wybrzeża. Poza wy-

dłużonym, szarym budynkiem Urzędu Cłowego rozpościerało się miasto niby gąszcz zabudowań z sklepioną bramą od przodu, z kopułami, wieżami i *miradorami* [1]), wyzierającemi z pośród drzew, a wszystko było ciemne, niby już ponurzone w nocy. Przyszło mu na myśl, że nie może już jeździć konno po ulicach, znany przez wielkich i małych, jak to zwykł był czynić co wieczora, kiedy udawał się do *posady* Meksykanina, Dominga, na partję *monte;* że nie będzie już zasiadał na pierwszem miejscu, słuchając śpiewów i patrząc na tańce. I wydało się mu to miasto jakby nieistniejącem.

Patrzył długo, poczem puścił rozchylone krzewy, które zamknęły się za nim, i przeszedłszy na drugą stronę fortu, rozglądał się po niezmierzonem pustkowiu wielkiej zatoki. Izabele wyrzynały się potężnie ze zwężającej się, długiej wstęgi zachodniej czerwieni, co jarzyła się nikle między czarnemi ich kształtami. *Capataz* myślał o Decoudzie, co pozostał tam samotnie ze skarbem. Był to jedyny człowiek, który troskał się o to, czy wpadnę w ręce monterystów lub nie — myślał *Capataz* gorzko. Lecz i ta troska wynikała z dbałości o siebie. Inni ani o niego się nie troszczyli ani się nim nie zajmowali. Wielką prawdą było, co słyszał niegdyś od Giorgia Violi. Królowie, ministrowie, arystokraci, słowem wszyscy, którzy mają pieniądze, trzymają lud w ubóstwie i ujarzmieniu; trzymają go, jak trzyma się psy, by uganiały się i zagryzały w służbie swych panów.

Ciemność niebios opuściła się na rubież widnokręgu, spowijając całą zatokę, wysepki i wielbiciela Antonji,

---

[1]) Rodzaj balkonu.

co pozostał z skarbem na Wielkiej Izabeli. *Capataz*, odwróciwszy się od tych rzeczy, istniejących a niewidzialnych, usiadł i ujął twarz w zaciśnięte dłonie. Po raz pierwszy w życiu odczuwał ucisk ubóstwa. Znaleźć się bez pieniędzy, gdy zawiodło *monte* w niskiej, dymnej gospodzie Dominga, gdzie bractwo *Cargadorów* wieczorami grało, śpiewało i tańczyło; mieć puste kieszenie po popisie szczodrobliwości publicznej w stosunku do jakiej dziewczyny *peyne d'oro* lub innej (o którą nie dbał) — nie było ani ubóstwem ani poniżeniem. Pozostawało bogactwo rozgłosu i chwały. Ale, zaiste, poniżeniem wydawało się temu marynarzowi, iż nie będzie już mógł jeździć szumnie po ulicach miasta i otrzymywać pełnych uszanowania pokłonów w zwykłych rozrywki swej przybytkach.

Wyschło mu w ustach. Wyschło mu, jak nigdy przedtem, od ciężkiego snu i nadzwyczaj wytężonego myślenia. Nostromo czuł w ustach smak jakoby pyłu i popiołu z owocu życia, w który wgryzł się mocno z głodu chwały. Nie odejmując pięści od twarzy, spróbował splunąć przed siebie: — Tfu — i cisnął półgłosem przekleństwo na sobkostwo wszystkich bogaczy.

Odkąd wszystko zdawało się być straconem w Sulaco (a z takiem ocknął się poczuciem), myśl opuszczenia tego kraju nasunęła się sama Nostromowi. Na tę myśl ujrzał (niby początek innego snu) zjawę stromych i nie zalewanych falą wybrzeży z ciemnemi pinjami hen, na wyżynach oraz białemi domami, stojącemi wpobliżu rozbłękitnionego morza. Widział pobrzeża wielkiego portu, po którym z łacińskiemi żaglami, rozpostartemi nakształt nieruchomych skrzydeł, ślizgają się bez szmeru przybrzeżne *felucci*, wnikając między krańce

długich *molów* z ciosowego kamienia, co zbiegają się ze sobą pod kątem i tulą flotylle statków do wspaniałego łona wzgórz, okrytych pałacami. Wspomniał te krajobrazy nie bez jakowegoś synowskiego uczucia, aczkolwiek na jednej z takich *felucc* brał nieraz jako chłopiec surowe cięgi od wygolonego genueńczyka o krótkiej szyi i rozważnem, podejrzliwem usposobieniu, który (jak mu się napewno zdawało) pozbawił go jego sierocego dziedzictwa. Ale takie jest dobroczynne zrządzenie, iż minione przykrości blakną we wspomnieniach. Pod wpływem osamotnienia, opuszczenia i zawodu, myśl o powrocie do kraju dzieciństwa wydawała się znośną. Lecz jak powrócić? Boso i bez kapelusza? Nie mając nic prócz pstrej koszuli i pary bawełnianych *calzonerów?*

Odrodzony *Capataz*, z łokciami na kolanach i pięściami, wgniecionemi w policzki, zaśmiał się z siebie samego i splunął z niesmakiem gdzieś, w cienie nocy. Bałamutne, skryte odczucia wszechunicestwienia, które owładają subjektywną naturą przy każdym, silniejszym powściągu władającej nią namiętności, mają gorycz, co nie różni się od goryczy śmierci. Był naturą prostą. Gotów był stać się łupem jakiejkolwiek wiary, zabobonu lub żądzy — niby dziecko.

Położenie, w jakiem się znalazł, oceniał po męsku, z dokładną znajomością kraju. Widział je jasno. Był jak wytrzeźwiony po długim przystępie pijaństwa. Wyzyskiwano jego wierność. Skłonił bractwo *Cargadorów*, iż stanęło po stronie *blanców* przeciwko ludowi i miewał rozmowy z Donem Josém; z ramienia ojca Corbelána prowadził układy z Hernandezem; było wiadomo, iż Don Martin Decoud dopuścił go do niejakiej ze sobą zażyłości i pozwalał mu zachodzić do redakcji

Porvenira. Wszystko to schlebiało mu w zwykły u niego sposób. Co go obchodziła ich polityka? Zgoła nic. A koniec końcem — Nostromo tu, Nostromo tam, gdzie jest Nostromo? Nostromo może zrobić to i owo, pracować za dnia i uganiać na koniu nocą — i ani się opatrzył, kiedy został wybitnym ribierzystą, narażonym na mściwość takiego, naprzykład, Gamacha, zwłaszcza teraz, kiedy stronnictwo Montera owładnęło miastem. Europejczycy dali za wygraną; *Caballeros* dali za wygraną. Wprawdzie Don Martin tłumaczył mu, że dzieje się to tylko chwilowo, że jedzie, by sprowadzić Barriosa na pomoc. A cóż z nią będzie — skoro Don Martin (którego ironiczny sposób przemawiania dotykał zawsze *Capataza* niemile) jest rozbitkiem na Wielkiej Izabeli? Wszyscy odstąpili. Nawet Don Carlos dał za wygraną. Śpieszne wywiezienie skarbu dowodziło tego dobitnie. *Capataz de Cargadores* w przystępie subjektywności zwątpił niemal do obłędu i odmawiał wszystkim ich powiedzeniom czci i wiary. Oszukano go!

Mając za sobą niezmierzone mroki oceanu, a przed sobą wyniosłe szczyty niżnich wirchów, skupionych dokoła białej, mglistej jaśni Higueroty, Nostromo zaśmiał się znów z głębi swej nieruchomości i milczenia, zerwał się śpiesznie na nogi i stanął jak wryty. Musiał iść. Ale dokąd?

— To nie pomyłka! Trzymają nas i szczują, żebyśmy jak psy uganiali i zagryzali się w ich służbie. *Vecchio* ma słuszność — rzekł zwolna i złowrogo. Przypomniał sobie, jak stary Giorgio wyjął fajkę z ust i rzucił przez ramię te słowa w głąb kawiarni, pełnej maszynistów i ślusarzy z warsztatów kolejowych. Ten obraz ustalił jego rozchwiane chęci. Postara się odszukać starego Giorgia, jeśli będzie mógł. Bóg wie, co

stało się z nim! Postąpił przed siebie, poczem przystanął znów i potrząsnął głową. Przed nim i za nim, w lewo i w prawo szemrały tajemniczo w ciemnościach liche chaszcze.

— Teresa miała również słuszność — dorzucił przyciszonym, pełnym lęku głosem. Był ciekaw, czy już umarła, pogniewana na niego, czy też jeszcze żyje. Jakby w odpowiedzi na tę myśl napoły wyrzutu, a napoły nadziei, zerwała się mu z pod nóg niby wielka, czarna kula i załopotała miękko skośnym lotem ogromna sowa, której przeraźliwy krzyk: „*Ja-acabo! Ja-acabo!* — już koniec; już koniec“ — wedle zabobonu ludowego zwiastuje śmierć i nieszczęście. Śród zaniku wszystkich rzeczywistości, które stanowiły jego siłę, poddał się przesądowi i drgnął zlekka. A więc *signora* Teresa umarła. Nie mogło to oznaczać nic innego. Wrzask złowieszczego ptaka, ten pierwszy odzew, jaki go doleciał po powrocie, był właściwem pozdrowieniem dla jego zawiedzionej osobowości. Niewidzialne moce, które obraził, nie chcąc przywołać księdza do umierającej kobiety, podnosiły głos przeciw niemu. Umarła! Z przedziwną i iście ludzką zdolnością wnioskowania naginał wszystko do siebie. Była zawsze kobietą dobrej rady. A osieroconego, starego Giorgia ogłuszyła ta strata właśnie w chwili, kiedy on miał zamiar zasięgnąć wskazówek jego mądrości. Cios ten otumanił zapewne narazie marzycielskiego starca.

Co do kapitana Mitschella, Nostromo zwyczajem zaufanych podwładnych uważał go za człowieka, który dzięki wykształceniu może wydawać rozkazy i podpisywać papiery w biurze, ale poza tem jest zupełnie nieużyteczny i nieco kiep. Konieczność owijania dokoła małego palca niemal codziennie pompatycznej

i dziwacznej napuszoności starego marynarza, jęła stopniowo drażnić Nostroma. Zrazu dawała mu wnętrzne zadowolenie. Atoli potrzeba pokonywania drobnych przeszkód przykrzy się ludziom, ufnym w swe siły zarówno z powodu pewności powodzenia jak jednostajności wysiłku. Podejrzewał swego przełożonego o skłonność do brudnego postępku. — Ten stary Anglik nie ma zdrowego rozsądku — powiadał do siebie. Niepodobna było przypuszczać, żeby, obeznany z właściwym stanem rzeczy, mógł go zachować dla siebie. Mówiłby o wykonaniu niewykonalnych rzeczy. Nostromo lękał się go, jak zazwyczaj lękają się ludzie, by się nie obarczyć jakimś przewlekłym kłopotem. Nie miał dyskrecji. Zdradziłby skarb. A Nostromo postanowił sobie, iż skarb nie może być zdradzony.

Słowo to zapuściło mocno korzenie w jego inteligencji. Wyobraźnia jego uchwyciła się jasnego i prostego pojęcia zdrady, by uzasadnić oślepiające wrażenie rozwidnienia w przypuszczeniu, iż wyniknąwszy niepostrzeżenie z jego bytu, zmierza ono ku rozwiązaniu, w którem osobowość jego nie będzie już wchodziła w rachubę. Człowiek zdradzony jest człowiekiem unicestwionym. *Signora* Teresa (niechaj światłość wiekuista świeci nad jej duszą!) miała słuszność. Nie liczono się z nim nigdy. Zdradzony! Biała jej zjawa, skulona w łożu; rozwiana czerń włosów; szerokie czoło cierpiącej, wzniesionej ku niemu twarzy; ognistość jej przepowiedni — wszystko to wydawało się mu obecnie majestatycznem grozą jasnowidzenia i śmierci. Bowiem niedaremnie ptak nieszczęścia złowrogim wrzaskiem odezwał się nad jego głową. Umarła — niechaj jej świeci światłość wiekuista!

Ulegając niechętnej duchowieństwu wolnomyślności

tłumu, umysł jego posługiwał się tą pobożną formułą z powierzchowną siłą nawyku, lecz niemniej z głęboko zakorzenioną rzetelnością. Dusza ludu niezdolna jest do sceptycyzmu; ta niezdolność rzuca jego bezradną moc na pastwę krętactwu oszustów i bezlitosnemu entuzjazmowi przywódców, natchnionych zwidzeniami szczytnego przeznaczenia. Umarła. Ale czy raczy Bóg zmiłować się nad jej duszą? Umarła bez spowiedzi i rozgrzeszenia, ponieważ on nie chciał poświęcić jej jeszcze jednej chwili swego czasu. Jego odraza do księży jako księży pozostała; lecz mimo wszystko było niepodobieństwem upewnić się, czy to, co oni utrzymują, nie jest prawdą. Moc, kaźń, przebaczenie są prostemi i wiarygodnemi pojęciami. Świetny *Capataz de Cargadores*, pozbawiony pewnych powszednich rzeczywistości, jak zachwytu kobiet, pochlebstw mężczyzn, uwielbionej jawności swego istnienia, był gotów uczuć, iż brzemię świętokradzkiej winy zwala się na jego barki.

Z odkrytą głową, w cienkiej koszuli i takichże portkach, czuł kojące ciepło miałkiego piasku pod podeszwami swych stóp. Wąskie zbrzeże majaczyło hen, w dali długą krzywizną, określając zarysy tego dzikiego ustronia nad przystanią. Wałęsał się wzdłuż brzegu na podobieństwo ściganego cienia między posępnemi gąszczami palmowemi a tonią wodną, co niby martwa roztaczała się po prawej jego stronie. Miotał się śród samotności i głuszy z opętańczym pośpiechem, jakgdyby wyzuty z wszelkiej rozwagi i ostrożności. Wiedział atoli, iż po tej stronie wody niema obawy, żeby go wykryto. Jedynym mieszkańcem był samotniczy, milczący, apatyczny Indjanin, który miał nadzór nad palmiarnią i zanosił niekiedy do miasta trochę

orzechów kokosowych na sprzedaż. Nie miał on żony i mieszkał w otwartej kletce, gdzie buzował nieustannie ogień z suchego chróstu, rozwlekając swe dymy opodal starej łodzi, co dnem do góry leżała na piasku. Nietrudno było go uniknąć.

Warczenie psów koło *ranchy* tego osadnika było pierwszą rzeczą, która poskromiła jego rączość. Zapomniał o psach. Skręcił z miejsca i zaszył się w gąszcz palm niby w matecznik kolumn jakiejś niezmierzonej sali, której nieprzenikniona ciemność zdawała się szemrać i lekko szumieć nad jego głową. Przedarł się przez nią, wszedł do jakiejś rozpadliny i wspiął się na szczyt stromego wiszaru, nie pokrytego drzewami ni cha szczami.

Z tego miejsca otwartego i majaczącego w poświacie gwiezdnej, ujrzał równinę między miastem a przystanią. W lasach, co roztaczały się ku górze, jakiś ptak nocny odzywał się dziwnie bębniącym klekotem. Poniżej palmiarni, na brzegu, psy Indjanina ujadały dalej zaciekle. Był ciekaw, co podnieca je tak bardzo i rozglądając się ze swego wzniesienia, zauważył ze zdumieniem nieokreślone jakieś poruszenia, jakgdyby kilka podłużnych spłachciów równiny znajdowało się w ruchu. Te czarne, chwiejne plamy, naprzemian jawiące się to znów niknące z oczu, zmieniały miejsce, wciąż oddalając się od przystani i wywołując wrażenie postępowego dążenia i ładu. Zaświtało mu w mózgu. Była to kolumna piechoty, co nocnym marszem zdążała ku wyżej spiętrzonym połaciom kraju, położonym u podnóża wzgórz. Nazbyt jednak był jak tabaka w rogu, by mógł się dziwić lub zastanawiać.

Równina odzyskała swą mroczną nieruchomość. Zeszedł z wiszaru i znalazł się w otworzystem pustkowiu

między przystanią a miastem. Obszar tego pustkowia, rozokolonego bezkreśnie skutkiem ciemności, dawał mu silniej uczuć głęboką jego samotność. Zwolnił kroku. Nikt go nie oczekiwał; nikt o nim nie myślał; nikt nie pragnął jego powrotu. — „Oszukany, oszukany!“ — mamrotał do siebie. Nikt o niego nie dbał. Mógł przecież utonąć, a nikt nie zatroskałby się o niego, prócz może dzieci — pomyślał sobie. Ale te były u angielskiej *signory* i nie troszczyły się o niego zgoła.

Zawahał się w swem postanowieniu, żeby pójść wprost do *Casy Viola*. Poco? Czegoż może tam się spodziewać? Życie zdawało się zawodzić go we wszystkich szczegółach zgodnie z pogardliwemi wymówkami Teresy. Boleśnie odczuwał swą rozterkę. Byłże to ten wyrzut, który mu przepowiadała, zanim wyzionęła ostatnie tchnienie?

Tymczasem zeszedł z swej drogi, zbaczając jakby instynktownie na prawo, ku *molo* i przystani, co bywały widownią codziennego jego trudu. Długi budynek Urzędu Cłowego wyłonił się nagle niby mury jakiejś faktorji. Nikt nie krzyknął za jego zbliżeniem. Podchodząc ostrożnie od frontu, zaciekawił się nieoczekiwanym widokiem dwu oświetlonych okien.

Te dwa okna, jarzące się blado od strony przystani z ogromu opuszczonego budynku, wywoływały wrażenie, jakby ktoś tajemniczy czuwał tam samotnie. Wyczuwało się niemal głuszę. Silny swąd dymu ze spalonego drzewa ział z nikłego obłoczku, co był zlekka widoczny dla jego oczu pod migotanie gwiazd. Ćwierkanie nieprzeliczonych świerszczy w suchej trawie zdawało się niemal przytępiać jego wytężony słuch, gdy stąpał zwolna w głębokiem milczeniu. Idąc krok

za krokiem, znalazł się w wielkiej hali, posępnej i pełnej gryzącego dymu.

Ogień, podłożony pod klatkę schodową, wygorzał bezsilnie, pozostawiając niewielką kupkę perzyny. Nie zajęło się twarde drzewo. Kopciło się tylko kilka stopni dolnych, po których pełzały iskry wzdłuż zwęglonych skrajów. U szczytu schodów ujrzał smugę światła, padającą z otwartych drzwi. Padała ona na obszerne przedproże, mgląc się od lekkiego nalotu dymu. A więc tam był pokój. Jął wchodzić na schody, lecz targnął się wstecz, gdyż wewnątrz, na ścianie dostrzegł cień człowieka. Był to bezkształtny, barczysty cień jakiegoś człowieka, co stał nieruchomo ze spuszczoną głową poza zasięgiem jego wzroku. *Capataz*, uprzytomniwszy sobie, że jest zupełnie bezbronny, ustąpił na bok i ukryty w ciemnym kącie, czekał, nie spuszczając oczu z drzwi.

Ogromną przestrzeń zrujnowanego, a niewykończonego budynku, co nie miał pod wysokim dachem pułapów, wypełniał dym. Snuł się on nikłemi, splątanemi pasmami, igrając w mroku wysokich izb i podobnych do stodół korytarzy. Któraś z rozwahanych okienic uderzyła o ścianę z ostrym, urwanym łoskotem, jakgdyby pchnięta niecierpliwą ręką. Przed próg potoczył się z szelestem jakiś papier, niewiadomo skąd. Nieznany człowiek nie zasłaniał sobą oświeconych drzwi. *Capataz*, wysuwając się na kilka kroków ze swojego kąta, dwukrotnie wyciągał szyję, gdyż miał nadzieję, że zobaczy, kto to jest, co w tym pokoju zachowuje się tak cicho, lecz za każdym razem dostrzegał tylko wypaczony cień szerokich bark i pochylonej głowy. Widocznie nie czynił on nic i nie ruszał się z miejsca,

jakgdyby rozmyślał — lub może coś czytał. I żaden szmer nie dolatywał z tego pokoju.

Capataz cofnął się raz jeszcze. Zaciekawiało go, kto to był — czy jaki monterysta? Ale bał się pokazać. Skarb, jego zdaniem, znalazłby się w niebezpieczeństwie, gdyby przed upływem wielu dni zauważono jego obecność na wybrzeżu. Mając duszę pełną tej tajemnicy, uważał za rzecz niemożliwą, żeby ktokolwiek ze Sulaca nie wpadł na właściwy domysł. Po jakichś kilku tygodniach wyglądałoby to inaczej. Czy kto mógłby zaprzeczyć, iż nie powrócił przez góry z jakiegoś portu poza obrębem Rzeczypospolitej? Istnienie skarbu mąciło jego myśli jakąś osobliwszą troską, jakgdyby powiązał się on z jego życiem. Uczyniło go na chwilę lękliwym przed temi oświeconemi, zagadkowemi drzwiami. Niech djabli wezmą tego hultaja! Mniejsza o to, że go nie zobaczy. Nie dowie się niczego z jego twarzy, znajomej czy nieznajomej. Przecież jest głupstwem marnować tu czas na czekaniu!

W niespełna pięć minut po wśliznięciu się do budynku, *Capataz* przystąpił do odwrotu. Zeszedł bez najmniejszej przeszkody po schodach, zerknął przez ramię raz jeszcze wgórę ku owemu światłu i przebiegł chyłkiem przez halę. Ale tejże samej chwili, kiedy skręcał w bok z wielkiej bramy, przemyśliwając jakby ujść uwagi człowieka z owego oświeconego pokoju, wpadł ktoś na niego, co, niedosłyszany, nadszedł szybko wzdłuż ściany frontowej. Obaj żachnęli się z osłupiałym bełkotem zdumienia, odskoczyli wstecz i zatrzymali się, nie widząc siebie nawzajem dokładnie. Nostromo nie odezwał się. Natomiast ów drugi przemówił przerażonym i struchlałym głosem:

— Kto to?

Nostromo doznał już wrażenia, iż poznaje dra Monyhgama. Lecz teraz nie wątpił. Zawahał się na jedno mgnienie. Strzeliło mu do głowy, by dunąć, nie mówiąc ani słowa. Poco? Niepojęta jakaś odraza do wymówienia miana, pod którem był znany, nieco dłużej zamknęła mu usta. Wkońcu odezwał się cichym głosem:

— *Cargador*.

Podszedł ku stojącemu przed sobą. Dr. Monygham doznał wstrząsu. Poderwał wgórę ramiona i krzyknął na całe gardło nie posiadając się ze zdziwienia, pod wrażeniem niesłychaności tego spotkania. Nostromo ostrzegł go gniewnie, by nie podnosił głosu. Urząd Cłowy nie jest tak pusty, jak się wydaje. Jest tam ktoś w oświetlonym pokoju na górze.

Niema cechy bardziej znikomej w fakcie dokonanym od jego niesłychaności. Podniecany nieustannie względami, oddziaływującymi na jego pragnienia i obawy, naturalnym porządkiem rzeczy odwraca się umysł ludzki od niezwykłej strony wypadków. Było też rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem, iż doktór zadał następujące pytanie człowiekowi, o którym jeszcze przed dwiema minutami był przekonany, że pochłonęły go tonie zatoki:

— Widział pan kogo na górze? Naprawdę?

— Nie, nie widziałem.

— Skądże pan wie, że jest tam ktoś?

— Uciekałem przed jego cieniem, gdyśmy się spotkali.

— Jego cieniem?

— Tak jest. Jego cieniem w oświetlonym pokoju — odparł Nostromo pogardliwym tonem. Założywszy ramiona, oparł się o podnóże ogromnego budynku,

zwiesił głowę i zaciął zlekka usta, nie patrząc na doktora. — No — myślał w duszy — teraz zacznie wypytywać mnie o skarb.

Ale myśli doktora były zaprzątnięte zdarzeniem, nie tak dziwnem jak ukazanie się Nostroma, lecz w swej istocie nierównie ciemniejszem. Dlaczego Sotillo oddalił się wraz z całym swym oddziałem tak nagle i pokryjomu? Co zwiastowało to odejście? Błysnęło jednakże w mózgu doktorowi, iż ten ktoś na górze może być oficerem, pozostawionym przez zawiedzionego pułkownika, żeby się z nim porozumiał.

— Zdaje mi się, iż on czeka na mnie — rzekł.

— To możliwe.

— Muszę zobaczyć. Niech pan jeszcze nie odchodzi, *Capatazie.*

— Dokądże mam odejść? — odburknął Nostromo.

Ale doktór już znikł. Pozostał więc sam, oparty o ścianę i zapatrzony na ciemne wody przystani. Ćwierkanie świerszczy wypełniało mu uszy. Nieprzemożona błędność opanowała jego myśli i odjęła im władzę powodowania wolą.

— *Capatazie*, *Capatazie!* — odezwał się z góry naglący głos doktora.

Poczucie zdrady i zaguby pławiło się na jego posępnej obojętności niby na opornej roztoczy smoły. Wychylił się jednak z pod ściany i spojrzawszy wgórę, ujrzał dra Monyghama, stojącego w oświetlonem oknie.

— Niech pan tu przyjdzie i zobaczy, co zrobił Sotillo. Nie potrzebuje pan lękać się człowieka, który jest tutaj.

Odpowiedział nikłym, gorzkim uśmiechem. Lękać się człowieka! *Capataz Cargadorów* sulackich ma się lękać jakiegoś człowieka! Gniewało go, iż komuś może

przyjść na myśl coś podobnego. Gniewało go, że był rozbrojony, przyczajony i narażony na niebezpieczeństwa z powodu tego przeklętego skarbu, który tak małe miał znaczenie dla ludzi, co go uwiązali do jego szyi. Nie mógł się otrząsnąć z troski o niego. Dla Nostroma doktór był przedstawicielem wszystkich tych ludzi... I nawet o niego nie zapytał. Ani słowa pytania o najrozpaczliwszy czyn jego życia!

Myśląc temi myślami, Nostromo przeszedł znów podobną do jaskini halę, gdzie dym mocno się przerzedził, i szedł po schodach, które już nie tak parzyły go w stopy, ku smudze światła u szczytu. Ukazał się w niej na chwilę doktór, podniecony i niecierpliwy.

— Niech pan wejdzie! Niech pan wejdzie!

Przekraczając próg, *Capataz* doznał wstrząsu zdumienia. Ów człowiek się nie poruszył. Ujrzał cień jego na tem samem miejscu. Drgnął, poczem wszedł do pokoju pod wrażeniem, iż jest bliski rozwiązania zagadki.

Była ona bardzo prosta. W niewymiernym ułamku sekundy, pod światło dwu rozmigotanych i okapanych świec, skroś błękitnawej, gryzącej, nikłej omgły, co raziła jego oczy, ujrzał owego człowieka w postawie, w jakiej go sobie wyobraził — odwróconego plecami do drzwi i rzucającego ogromny, wypaczony cień na ścianę. Szybciej niż mgnienie błyskawicy, nastąpiło wrażenie jego wymuszonego, obwisłego ustawienia — barki były pochylone naprzód, głowa nisko opuszczona na piersi. Zkolei zauważył, iż miał on ramiona od tyłu wykręcone tak straszliwie, iż obie, stulone i skrępowane pospołu pięście znajdowały się powyżej łopatek. Potem jednym rzutem oka dojrzał rzemień, co od skrępowanych przegubów sięgał wgórę i przerzucony przez potężną belkę, napinał się dalej wdół ku

wbitemu w ścianę hakowi. Nie potrzebował już patrzeć na stężałe nogi, na obwisłe bezładnie stopy, których nagie palce znajdowały się na jakich sześć cali powyżej podłogi, by domyśleć się, że człowieka tego torturowano aż do utraty przytomności. Pierwszym jego odruchem było rzucić się naprzód i przeciąć rzemień jednym zamachem. Sięgnął po nóż. Nie miał noża przy sobie — nie miał nawet noża. Stał drżący, zaś doktór, co skulony opierał się o stół i kryjąc brodę w dłoni, patrzał w zamyśleniu na to okrutne i żałosne widowisko, odezwał się bezsilnie:

— Torturowano go — i zabito strzałem w piersi. Już stygnie...

Te słowa uspokoiły *Capataza*. Jedna ze świec, kopcących w lichtarzach, zgasła. — Kto to zrobił? — zapytał.

— Sotillo, mówię panu! Któżby inny? Rozumiem, że torturował. Ale poco zastrzelił? — Doktór patrzał uparcie na Nostroma, który ruszył zlekka ramionami. — A trzeba zważyć, że zastrzelił nagle, w przystępie popędliwości. To widoczne. Chciałbym znać jego tajemnicę.

Nostromo postąpił naprzód i zatrzymał się, by rzucić okiem.

— Zdaje mi się, że widziałem już gdzieś tę twarz — mruknął. — Kto to?

Doktór zwrócił znów ku niemu spojrzenie.

— Byłbym niemal skłonny zazdrościć mu jego losu. Co pan myśli o tem, *Capatazie*, no?

Ale Nostromo nie dosłyszał nawet tych słów. Ująwszy pozostałą świeczkę, podsunął ją pod obwisłą głowę. Doktór siedział pogrążony w zadumie, z nieprzytomnym wyrazem oczu. Wtem ciężki, żelazny lichtarz

grzmotnął o podłogę, jakby wytrącony z ręki Nostroma.

— Co się stało? — krzyknął doktór, podnosząc oczy z przerażeniem. Usłyszał, że *Capataz* zatoczył się ku stołowi i jął dyszeć. Martwa ciemność, co zasklepiała wnęki okien, ożyła dlań gwiazdami, gdy światło nagle zgasło.

— Rozumiem, rozumiem! — mamrotał do siebie po angielsku doktór. — To dość, żeby wyleźć ze skóry.

Serce Nostroma zdawało się wtłaczać mu w krtań. Kołowało mu w głowie. Hirsch! Ten człowiek, to Hirsch! Przylgnął mocno do skraju stołu.

— Ależ on ukrywał się na przewozowcu! — wrzasnął niemal. Głos mu omdlał. — Na przewozowcu i... i..

— A Sotillo przywiózł go tutaj — rzekł doktór. — Nie jest straszniejszy dla pana niżeli pan był dla mnie. Chciałbym tylko wiedzieć, w jaki sposób zdołał skłonić czyjąś miłosierną duszę, że skrócono mu mękę strzałem.

— Więc Sotillo wie... — zaczął Nostromo równiejszym głosem.

— Wszystko — przerwał doktór.

Capataz, słysząc to, uderzył pięścią w stół.

— Wszystko? Co pan mi gada? Wszystko? Wie wszystko? To niepodobna! Wszystko?

— Jużcić. Dlaczego wydaje się to panu niepodobieństwem? A ja powiadam panu, że byłem przy przesłuchaniu tego Hirscha ubiegłego wieczora, tu, w tym pokoju! Zna nazwisko pańskie, nazwisko Decouda oraz wszystkie szczegóły, połączone z załadowaniem srebra... Przewozowiec został przecięty na dwoje. Pełzał z nikczemnego strachu przed Sotillem, ale pamiętał to dokładnie. Cóż pan chce więcej? Najmniej wiedział

o sobie samym. Znaleźli go uczepionego do kotwicy. Uczepił się jej zapewne w tej chwili, kiedy przewozowiec szedł na dno.

— Szedł na dno? — powtórzył Nostromo zwolna. — Sotillo w to wierzy? *Bueno!*

Doktór, nieco zniecierpliwiony, nie był zdolny pojąć, żeby można było wierzyć w coś innego. Tak jest, Sotillo wierzył, że przewozowiec poszedł na dno i że *Capataz de Cargadores* pospołu z Martinem Decoudem, a może też z jednym lub dwoma innymi zbiegami politycznymi, utonęli.

— Miałem słuszność, *seniorze* doktorze — zauważył na to Nostromo — że Sotillo nie wie wszystkiego.

— Co? Co pan ma na myśli?

— Nie wie, że nie zginąłem.

— My również nie wiedzieliśmy.

— I nie troszczyliście się — żaden z was, *caballerów*, którzy byli w porcie, nie zatroszczył się o człowieka, podobnego do was z krwi i kości, poleciwszy mu podjąć się warjackiego przedsięwzięcia, które nie mogło skończyć się dobrze.

— Zapomina pan, *Capatazie*, że nie byłem w porcie. I że nie myślałem dobrze o tem przedsięwzięciu. Niechże mi pan nie wymyśla! Powiadam panu, że niewiele mieliśmy czasu myśleć o śmierci. Śmierć czyhała na nas wszystkich. Pana nie było.

— Nie było mnie istotnie — wtrącił Nostromo. — A dlaczego? Niech mi pan powie?

— Ach, to pańska rzecz — odparł doktór szorstko. — Niech mnie pan nie pyta!

Pierzchliwe ich pomruki zamierały w ciemności. Siedząc u skraju stołu z odwróconemi nieco twarzami, czuli, że dotykają się wzajem ramionami, a ich

oczy nie odwracały się od stężałej postaci, zanikającej niemal w mrocznej głębi pokoju. W upiornej nieruchomości, ze zwieszoną głową i barkami, zdawała się czyhać na każde ich słowo.

— *Muy bien!* — zamamrotał Nostromo wkońcu. — Niechże tak będzie! Teresa miała słuszność: to moja rzecz.

— Teresa umarła — nadmienił doktór z roztargnieniem, podążając nowym szlakiem swej myśli, wywołanej zagadnieniem, co mogło być przyczyną, iż Nostromo pozostał przy życiu. — Już nie żyje ta biedna kobieta.

— I nie było przy niej księdza? — spytał *Capataz* trwożnie.

— Co za pytanie! Któż mógł sprowadzić do niej księdza tej nocy?

— Niechże Bóg zmiłuje się nad jej duszą! — wybełkotał Nostromo z posępną i beznadziejną żarliwością. Nie zdążyła ona zdziwić dra Monyghama, gdyż powrócił już do poprzedniego wątku i mówił dalej złowróżbnym tonem: — *Si, senior doctor*. To moja sprawa, jak pan powiedział. Rozpaczliwa, zaiste, sprawa.

— Niema w tej części świata nawet dwu ludzi, którzyby potrafili ocalić się wpław, jak to pan uczynił — rzekł doktór z podziwem.

I znów zaległo między nimi milczenie. Rozmyślali obaj, a odmienność ich natur sprawiała, że ich myśli, poczęte z wzajemnego spotkania, odbiegały daleko od siebie. Doktór, który pod wpływem swej życzliwości dla Gouldów dał się skłonić do niebezpiecznego działania, podziwiał dziękczynnie zbieg okoliczności, dzięki któremu powrócił ten człowiek, co mógł przyczynić się wielce do ocalenia kopalni San Tomé. Doktór

przywiązał się do kopalni. Pięćdziesięcioletnim jego oczom przedstawiała się ona pod postacią drobnej kobiety w miękkiej, powłóczystej sukni, z główką, ujmująco przeciążoną poświatą szczodrych włosów, i z subtelną drogocennością wnętrznej wartości, pośredniej między klejnotem a kwiatem i występującej we wszelkich przejawach jej istoty. Gdy niebezpieczeństwa jęły się zagęszczać dokoła kopalni San Tomé, złudzenie to nabrało mocy, trwałości i powagi. Opętało go wkońcu! To opętanie, rozpłomienione duchowem wyrzeczeniem się zwyczajnych uświęceń nadziei i wzajemności, uczyniło myślącą i działającą indywidualność dra Monyghama nadzwyczaj niebezpieczną dla niego samego i dla innych, wszystkie bowiem jego skrupuły zanikły w dumnem poczuciu, iż jego ofiarna czułość jest jedyną rzeczą, która dzieli uwielbioną kobietę od straszliwego nieszczęścia.

Było to niby jakoweś zatrucie, które go czyniło zupełnie obojętnym na los Decouda, ale pozwalało jego umysłowi należycie oceniać jego polityczną ideę. Był to dobry pomysł — a Barrios był jedynem narzędziem do jego urzeczywistnienia. Dusza doktora, wytlona i zakrzepła od hańby moralnego poniżenia, stała się nieubłaganą w rozprężeniu swej czułości. Powrót Nostroma był opatrznościowy. Nie myślał o nim z ludzką życzliwością jako o bliźnim, któremu powiodło się co tylko ujść z paszczęki śmierci. *Capataz* był dla niego jedynie możliwym posłańcem do Cayty. W sam raz człowiek. Mizantropijna niewiara doktora w ludzi (tem przykrzejsza, że polegająca na własnem potknięciu) nie wydźwignęła go dostatecznie ponad powszednią ułomność. Pozostawał pod zaklęciem ustalonej reputacji. Wysławianej przez kapitana Mitschella,

rozdętej przez powtarzanie i utrwalonej w powszechnem przeświadczeniu wierności Nostroma, nie podawał nigdy dr. Monygham w wątpliwość jako faktu. Tem mniej mógł powątpiewać o niej obecnie, kiedy rozpaczliwie sam jej potrzebował. Dr. Monygham brał rzeczy po ludzku: przyjmował poprostu powszechne przeświadczenie o nieskazitelności *Capataza*, ponieważ żadne słowo, ni żaden fakt nie zaprzeczały nigdy temu twierdzeniu. Prawość wydawała się cząstką tego człowieka jak jego zarost lub jego zęby. Niepodobna było pojmować go inaczej. Chodziło tylko o to, czy podejmie się tego niebezpiecznego i rozpaczliwego poselstwa. Doktór był dość spostrzegawczy, by zauważyć coś niezwykłego w usposobieniu tego człowieka. Była to zapewne zgryzota z powodu zaprzepaszczenia srebra.

— Trzeba będzie okazać mu najzupełniejszą ufność — rzekł do siebie z niejaką zdolnością przejrzenia natury, z którą miał do czynienia.

Po stronie Nostroma milczenie było pełne czarnej niepewności, gniewu i niedowierzania. Mimo to przerwał je pierwszy.

— Pływanie nie było wielką rzeczą — przemówił. — Chodzi o to, co było przedtem — i co będzie potem...

Nie skończył tego, co zamierzał powiedzieć, i urwał krótko, jakby myśl jego natknęła na jakąś potężną przeszkodę. Umysł doktora podążał za swym planem z machjawelską subtelnością. Rzekł z całem współczuciem, na jakie było go stać:

— To fatalne, *Capatazie*. Ale nikomu nie przyszło na myśl ganić pana z tego powodu. To bardzo fatalne! Przedewszystkiem nie należało wywozić tego

skarbu z gór. Ale to Decoud, który — no, już nie żyje. Niema potrzeby mówić o nim.

— Nie, — przyznał Nostromo, gdy doktór się zawahał — nie trzeba mówić o umarłym. Ale ja jeszcze żyję.

— Ma pan słuszność. Tylko człowiek, tak nieustraszony, jak pan, mógł się ocalić.

W tem dr. Monygham był szczery. Szanował wielce nieustraszoność tego człowieka, którego zresztą cenił niezbyt wysoko, rozczarowany wogóle do ludzi z powodu pewnej okoliczności, w której własne zawiodło go męstwo. Zetknąwszy się w okresie swego wykolejenia z wieloma fizycznemi niebezpieczeństwami, zdał sobie dokładnie sprawę z najgroźniejszego czynnika, wspólnego im wszystkim: mianowicie z miażdżącego, ubezwładniającego poczucia ludzkiej małości, która jest tem, co w rzeczywistości łamie człowieka, pasującego się z siłami przyrody samotnie, zdala od oczu swych towarzyszy. Był wyjątkowo przygotowany do ocenienia duchowego obrazu, jaki wytworzył sobie o *Capatazie*, co po długotrwałem wytężeniu i trwodze, rzucony nagle w otchłań wód i ciemności, zdala od ziemi i nieba, stawił jej czoło nietylko z niezachwianym umysłem, lecz także z oczywistem powodzeniem. Wiedziano wprawdzie, iż był on niezrównanym pływakiem, ale doktór był zdania, iż ta okoliczność świadczyła o jeszcze większej nieustraszoności ducha. Podobało się mu to; wróżyło dobrze o powodzeniu trudnego poselstwa, które miał zamiar poruczyć *Capatazowi*, cudownym, zaiste, sposobem powróconemu do dalszych usług. Więc tonem, jakgdyby nieco pochwalnym, zagadnął:

— Musiało być straszliwie ciemno!

— Była to najhaniebniejsza oćma, jaka kiedykolwiek zalegała zatokę — przytaknął *Capataz* zwięźle. Roztajał, gdyż mu się zdawało, że słowa te są oznaką niejakiego zajęcia się niebezpieczeństwami, z któremi miał do czynienia, i dorzucił kilka opisowych zwrotów z udaną i skąpą niedbałością. Czuł się w tej chwili skłonnym do zwierzeń. Oczekiwał dalszego ciągu tego zainteresowania, co bez względu na to, czy byłoby przyjęte lub odrzucone, odbudowałoby mu jego osobowość — tę jedyną rzecz, którą postradał w tej rozpaczliwej wyprawie. Wszelako doktór, opętany przez swą własną, okrutną przygodę, był straszliwy w pościgu swej myśli. Wymknął się mu okrzyk ubolewania:

— Żałuję niemal, że nie zaczął pan krzyczeć i nie dał znaku światłem.

To nieoczekiwane oświadczenie zdumiało *Capataza* swą chłodną srogością. Znaczyło ono to samo, jakby ktoś powiedział: — Żałuję, że nie okazał się pan tchórzem; żałuję, że nie poderznięto panu gardła za pańskie trudy. — Naturalnie odniósł do siebie to, co było stosowane tylko do srebra i wypowiedziane poprostu, z wielu niedomówionemi zastrzeżeniami. Zdumienie i wściekłość zamknęły mu usta, zaś doktór mówił dalej, nie słuchany w istocie przez Nostroma, któremu wzburzona krew tętniła mocno w uszach.

— Jestem bowiem przekonany, że Sotillo, posiadłszy srebro, byłby nawrócił z miejsca i popłynął do któregoś z zagranicznych, niewielkich portów. Pod względem ekonomicznym byłaby to strata, ale większą jest stratą, że srebro zatonęło. Najlepiej było mieć je napodorędziu w jakiemś pewnem miejscu i użyć go do przekupienia Sotilla. Wszelako wątpię, czy Don

Carlos mógłby się pogodzić z tą myślą. Nie jest on stworzony dla Costaguany; to pewna, *Capatazie!*

Capataz powściągnął wściekłość, która niby nawałnica zahuczała mu w uszach, gdy nadomiar usłyszał imię Dona Carlosa. Wybrnął z niej jakby odmienionym człowiekiem — człowiekiem, który przemówił w zadumie łagodnym i niedrżącym głosem:

— A czy Don Carlos byłby zadowolony, gdybym był porzucił na pastwę ten skarb?

— Nie zdziwiłbym się, gdyby oni wszyscy pojmowali obecnie tę sprawę w ten sposób — rzekł doktór chmurnie. — Ale nie zapytywano mnie o zdanie. Decoud miał własny pogląd. Mniemam, iż obecnie oczy im się otwarły. Wiem tylko, iż gdyby teraz srebro to jakim cudem powróciło na wybrzeże, oddałbym je Sotillowi. I wiem, że przy obecnym stanie rzeczy spotkałbym się za to z uznaniem.

— Powróciło jakim cudem — powtórzył *Capataz* bardzo cicho; poczem podniósł głos. — Zaiste, *senior*, byłoby to takim cudem, że nie zdołałby go dokonać żaden święty.

— Wierzę panu, *Capatazie* — rzekł doktór oschle.

I jął roztaczać swój pogląd na niebezpieczny wpływ Sotilla na położenie. Zaś *Capataz*, przysłuchując się niby we śnie, czuł się równie małoznacznym jak ów niewyraźny, nieruchomy kształt trupa, co majaczył pod belką, jakgdyby również nadsłuchując, zlekceważony i zapomniany niby okropny przykład zaniedbania.

— Czyż więc dla jakiegoś niemądrego i warjackiego bzika przyszli do mnie? — przerwał nagle. — Czyż nie uczyniłem dla nich dosyć, żeby mieć jakieś znaczenie, *por Dios?* Czy *hombres finos* — jaśni pa-

nowie — myślą tylko tak długo o człowieku z ludu, jak długo gotów jest on dla nich narażać ciało i duszę? A może my nie mamy duszy — jak psy?

— Był również Decoud ze swym planem — przypomniał mu znów doktór.

— *Si!* A także ów bogacz w San Francisko, który ma coś wspólnego z tym skarbem — co ja tam wiem? Nie! Słyszałem już za wiele. Zdaje mi się, iż wszystko wolno bogaczom.

— Rozumiem, *Capatazie* — zaczął doktór.

— Co za *Capataz?* — wtrącił Nostromo wysilonym, lecz równym głosem. — *Capataz* przepadł, jest zniszczony. Niema *Capataza.* O, nie! Nie znajdziecie już *Capataza.*

— Niechże pan nie będzie dzieckiem! — upomniał go doktór, zaś on uspokoił się nagle.

— Byłem istotnie niby małem dzieckiem — mruknął. Wzrok jego natknął się znów na zewłok, wiszący ze straszliwą nieruchomością, co wydawała się próżną skarg, nieruchomością uwagi, i zapytał z łagodnem zdziwieniem:

— Dlaczego Sotillo torturował tego marnego szmatławca? Czy pan nie wie? Żadna tortura nie mogła być dla niego okropniejszą od trwogi. Zabójstwo mógłbym pojąć. Przykro było patrzeć na jego strach. Ale dlaczego go tak męczył? Przecież on nie mógł już powiedzieć nic więcej.

— Nie; nie mógł już powiedzieć nic więcej. Każdy człowiek o zdrowych zmysłach byłby to zauważył. Powiedział mu wszystko. Ale ja panu powiem, o co chodziło. Sotillo nie chciał wierzyć w to, co on powiedział. Nie we wszystko.

— W cóż takiego nie chciał wierzyć? Nie mogę pojąć.

— A ja mogę, bo go widziałem. Nie chce uwierzyć, że skarb przepadł.

— Co? — zawołał *Capataz* zmieszanym tonem.

— Czy to pana niepokoi — co?

— To znaczy, że chciałem zapytać, *senior*, — mówił dalej Nostromo rozważnym i niejako przyczajonym głosem — czy Sotillo mniema, iż skarb ten ocalono w jakiś sposób?

— Nie! Nie! To byłoby niemożliwością — odparł doktór z przekonaniem, na co odezwało się w ciemności chrząknięcie Nostroma. — To byłoby niepodobieństwem! Przypuszcza, iż srebra nie było już na przewozowcu, kiedy zatonął. Wmówił w siebie, iż komedja wywiezienia srebra na morze była urządzona tylko poto, by wyprowadzić w pole Gamacha wraz z jego gwardzistami, Pedrita Montera, *seniora* Fuentesa, naszego nowego *Géfé Politico* — no i jego samego. Ale — powiada — nie jest on taki głupi.

— Pomieszały mu się klepki we łbie! To największy dureń, jaki był kiedykolwiek pułkownikiem w tym zatraconym kraju — zżymał się Nostromo.

— Nie jest nierozumniejszy od wielu wrażliwych ludzi — rzekł doktór.

— Wmówił w siebie, że skarb ten można znaleźć, ponieważ namiętnie pragnie go posiadać. Przytem lęka się swych oficerów, żeby go nie porzucili i nie przeszli do Pedrita, z którym nie śmie walczyć, a nie ma odwagi mu zaufać. Czy pojmuje pan to, *Capatazie?* Nie potrzebuje się obawiać zbiegostwa dopóty, dopóki istnieje bodaj cień nadziei, że ten olbrzymi łup da się odszukać. Uwziąłem się, żeby tę nadzieję podtrzymać.

— Uwziął się pan? — powtórzył *Capataz* oględ-

nie. — No, to dziwne. A jak długo chciałby ją pan podtrzymać?

— Jak tylko będzie można.

— Co to znaczy?

— Powiem panu dokładnie. Jak długo żyję — odparł doktór zaciętym głosem. Następnie przedstawił pokrótce historję swego aresztowania oraz okoliczności, w jakich go uwolniono. — Szedłem właśnie do tego idjotycznego łajdaka, gdyśmy się spotkali — zakończył.

Nostromo słuchał z głęboką uwagą. — Uwziął się pan zatem na rychłą śmierć — mruknął przez zaciśnięte zęby.

— Być może, mój znakomity *Capatazie* — rzekł doktór zgryźliwie. — Nie jest pan tu jedynym człowiekiem, który umie patrzeć szpetnej śmierci w oczy.

— Niewątpliwie — bąknął Nostromo dość głośno, by go nie dosłyszano. — Może tu być nawet więcej niż dwu półgłówków. Kto wie?

— No, to jest moją sprawą — odrzekł doktór zwięźle.

— Podobnie jak wywiezienie tego przeklętego srebra na morze, było moją sprawą — odciął się Nostromo. — Rozumiem. *Bueno.* Każdy z nas ma swoje powody. Ale był pan ostatnim człowiekiem, z którym rozmawiałem przed wyjazdem, i odzywał się pan do mnie, jakbym nie miał wszystkich klepek w porządku.

Nostromo czuł wielką odrazę do zgryźliwości, z jaką doktór natrząsał się z jego rozgłosu. Lekko ironiczne uznanie Decouda dotykało go niemile; natomiast zażyłość z człowiekiem takim, jak Don Martin, pochlebiała mu, podczas gdy doktór był niczem. Pamiętał go jako bezdomnego włóczęgę, co wałęsał się chyłkiem po ulicach Sulaca, nie mając przyjaciół ni znajomych,

zanim Don Carlos Gould nie przyjął go do służby w kopalni.

— Jest pan może bardzo mądry — mówił dalej w zamyśleniu, zapatrzony w ciemność pokoju, przenikniętego wstrząsającą tajemnicą storturowanego i uśmierconego Hirscha. — Ale nie jestem ja już taki głupi, jak kiedy odjeżdżałem. Dowiedziałem się odtąd jednej rzeczy, mianowicie, że jest pan niebezpiecznym człowiekiem.

Dr. Monygham zbyt silnego doznał wstrząsu, by zdobyć się na coś więcej od okrzyku:

— Co pan powiedział?

— Gdyby on mógł mówić, powiedziałby zapewne to samo — ciągnął Nostromo, kiwając głową, co odrzynała się ciemno na tle rozwidnionego gwiazdami okna.

— Nie rozumiem pana — odezwał się dr. Monygham słabym głosem.

— Nie? Gdyby nie był pan utwierdził Sotilla w jego głupstwie, może byłby nie pośpieszył się tak bardzo z torturowaniem tego podłego Hirscha.

Doktór poderwał się na te słowa. Ale ofiarna czułość, pochłaniająca wszystkie jego odczuwania, zakuła w pancerz jego serce przeciwko żalowi i wyrzutom. By jednak sobie ulżyć, uczuł potrzebę odparcia zarzutu głośno i pogardliwie:

— Ba! I pan śmie to mówić, gdy chodzi o człowieka takiego, jak Sotillo! Przyznaję, że Hirsch nie przyszedł mi na myśl. Zresztą byłoby to bezużyteczne. Każdy pojmie, iż ten nieszczęśliwy tchórz był skazany od chwili, kiedy uczepił się kotwicy. Był skazany, powiadam panu! Podobnie jak ja jestem skazany — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa.

Oto, co odparł dr. Monygham na uwagę Nostroma, która była dość słuszna, by targnąć jego sumieniem. Nie był człowiekiem zatwardziałym. Ale mus, wielkość i znaczenie zadania, które wziął na siebie, przygniatały wszystkie, ludzkie tylko względy. Podjął go się z fanatyzmem. Nie lubił go. Mierziło go okłamywanie nawet najpodlejszych śród ludzi. Mierziło go z instynktu, tradycji, nawyku. Popełniać takie czyny i być zdrajcą, było odrażające dla jego natury i okropne dla jego uczuć. Zdobył się na to poświęcenie z ducha poniżenia. Powiedział sobie gorzko: — Jestem jakby stworzony do takiej brudnej roboty. — I wierzył w to. Prostoduszność jego była tego rodzaju, iż jakkolwiek nie przychodziło mu na myśl szukać po bohatersku śmierci, to jednak śmiertelne niebezpieczeństwo, na które się narażał, miało dla niego podtrzymujące i krzepiące znaczenie. Temu jego stanowi ducha los Hirscha przedstawiał się jako cząstka wszechokrucieństwa porządku rzeczy. Epizod ten brał pod uwagę ze strony praktycznej. Jakie było jego znaczenie? Byłaż to oznaka jakiejś niebezpiecznej zmiany w zaślepieniu Sotilla? Że ten człowiek mógł być zabity w ten sposób, oto czego doktór nie był zdolny pojąć.

— Wszystko rozumiem. Ale dlaczego go zastrzelił? — mamrotał do siebie.

Nostromo zachowywał głębokie milczenie.

ROZDZIAŁ IX.

Targany wątpieniem i nadzieją, zatrwożony rozhukiem dzwonów, zwiastujących przybycie Pedrita Montery, spędził Sotillo ranek na zmaganiu się z myślami. Była to rozterka, do której nie dorastał z powodu czczości swego umysłu i namiętności swych odczuwań. Rozczarowanie, łapczywość, gniew i trwoga wichrzyły się w piersi pułkownika głośniej, niż w mieście dźwięki dzwonów. Nie udawało się nic z tego, co zamierzał. Ani Sulaco ani srebro kopalni nie wpadły w jego ręce. Nie dokonał żadnego wojskowego czynu, by zabezpieczyć swe stanowisko, i nie posiadł olbrzymiego łupu, by z nim odpłynąć. Pedrito Montero, który dlań nie był ani przyjacielem ani wrogiem, napełniał go grozą. Dźwięki dzwonów przyprawiały go o szaleństwo.

Wyobrażając sobie zrazu, że może być znienacka napadnięty, ustawił swój pułk pod bronią na wybrzeżu. Chodził wzdłuż i wszerz po pokoju, zatrzymując się niekiedy, by ogryzać paznokcie u swej prawej ręki, spoglądając posępnie zpodełba na posadzkę; poczem w przystępie dzikiej przebiegłości zaczynał się miotać znowu, wodząc dokoła mętnym, odbiegającym wzrokiem. Jego kapelusz, szabla, szpicruta i rewolwer

leżały na stole. Jego oficerowie, co tłoczyli się przy oknie, z którego było widać bramę miejską, rozprawiali o zaletach jego lornetki polowej, wziętej przed rokiem na długi kredyt od Anzaniego. Przechodziła z rąk do rąk, a czasowy jej posiadacz nie mógł się opędzić od trwożnych pytań.

— Niema nic! Nic nie widać! — powtarzał niecierpliwie.

Jakoż nie było nic. Kiedy placówka, ustawiona w zaroślach opodal *Casy Viola*, otrzymała rozkaz, by powróciła do głównego oddziału, żadne drgnięcie życia nie przejawiło się na spłachciu pylnej i jałowej płaszczyzny, rozpostartej między miastem a roztoczą portu. Wszelako pod wieczór dostrzeżono jakiegoś jeźdźca, co wyjechał z bramy i zbliżał się bez trwogi. Był to wysłannik *seniora* Fuentesa. Był sam, więc pozwolono mu się przybliżyć. Zsiadłszy z konia u wielkiej bramy, pozdrowił milczących widzów z junacką bezczelnością i prosił, by go zaraz zaprowadzono do *muy valliente* pułkownika.

Senior Fuentes, objąwszy obowiązki urzędowe gubernatora, wytężył swe zdolności dyplomatyczne, by opanować zarówno przystań jak kopalnię. Człowiek, któremu poruczył układy z Sotillem, był notarjuszem; rewolucja zastała go, więdnącego w najzwyczajniejszem więzieniu za podrabianie dokumentów. Uwolniony przez motłoch wraz z innemi „ofiarami tyranii *blanców*“, pośpieszył zaofiarować swe usługi nowemu rządowi.

Wybrał się z silnem postanowieniem użycia całej potęgi swej gorliwości i wymowy. Zamierzał skłonić Sotilla, żeby pojechał sam do miasta na konferencję z Pedritem Monterem. Nic nie było bardziej obcem

chęciom pułkownika. Na samą myśl, iż mógłby popaść w ręce słynnego Pedrita, dostawał kilka razy mdłości. Nie mogło o tem być mowy — byłoby to szaleństwem. Szaleństwem byłoby również objawić nieskrywaną wrogość. Uczyniłaby ona niemożliwem systematyczne poszukiwanie skarbu, tego bezmiaru srebra, który, jak mu się zdawało, wyczuwał gdzieś, węszył gdzieś niedaleko. Ale gdzie? Gdzie? Na Boga! Gdzie? Och, czemuż pozwolił odejść temu jakiemuś doktorowi! Jakie palnął głupstwo! Ale nie! To był jedynie słuszny sposób postępowania — rozmyślał zakłopotany, kiedy wysłannik czekał na dole, gawędząc przyjemnie z oficerami. Ten łajdacki doktór powinienby powrócić w własnym, dobrze zrozumianym interesie z pozytywnemi wiadomościami. Ale jeżeli go coś zatrzymało? Naprzykład, ogólny zakaz wydalania się miasta! Mogły być patrole!

Pułkownik, ująwszy głowę w dłonie, zaciekał się w swych rozmyślaniach, niby tknięty kołowacizną. Błysk tchórzliwej intuicji poddał mu wykręt, nieobcy europejskim mężom stanu, gdy chcą odroczyć trudne rokowania. Nie zdejmując butów z ostrogami, wlazł do hamaku z niegodnym pośpiechem. Urodziwa jego twarz pożółkła od dolegliwości trosk. Grzbiet jego kształtnego nosa zaostrzył się, zuchwałe jego nozdrza zaklęsły i zmalały. Atłasowy, pieściwy połysk jego pięknych oczu przygasł i uległ jakby rozstrojowi; bowiem te jego tęskne, ukształtowane na podobieństwo migdału źrenice skutkiem złowróżbnej bezsenności doznały mocnego przekrwienia. Odezwał się do zdumionego wysłannika *seniora* Fuentesa osłabłym, wyczerpanym, głosem. Brzmiał on dojmująco chorobliwie z pod pokładu *ponchów*, co zakrywały jego

elegancką postać aż po czarne wąsy, nieufryzowane, obwisłe na znak cielesnej niemocy i umysłowego bezwładu. Gorączka, gorączka — przykra gorączka nawiedziła *muy valliente* pułkownika. Chwiejna błędność wysłowienia, powodowana przejściowemi przystępami lekkiego kłucia, co wystąpiło nagle, i szczękanie zębów, wywołane tłumionym dreszczem, posiadały taką prawdziwość, iż wysłannik nie oparł się wrażeniu. Było to przeziębienie. Pułkownik oświadczył, że czuje się niezdolnym myśleć, słuchać i mówić. Jakgdyby z nadludzkim wysiłkiem pułkownik wystękał, iż nie może dać stosownej odpowiedzi ani też wykonać żadnego rozkazu jego ekscelencji. Zato jutro! Jutro! Ach, jutro! Niechaj jego ekscelencja, Don Pedro, nie troszczy się. Dzielny pułk z Esmeraldy dzierży przystań — dzierży... I zamknąwszy oczy, taczał swą obolałą głowę niby nieprzytomny pod badawczem spojrzeniem wysłannika, co musiał się pochylić nad hamakiem, żeby dosłyszeć urywane i wymęczone słowa. Wszelako pułkownik Sotillo ufa, iż tkliwe serce jego ekscelencji pozwoli doktorowi, angielskiemu doktorowi, opuścić miasto ze szkatułką cudzoziemskich leków, żeby wziął go w swą lekarską opiekę. Prosił gorąco jego wielmożność swego gościa, *Caballera*, żeby mijając *Casę Gould*, zechciał wstąpić i zawiadomić angielskiego doktora, który zapewne tam przebywa, iż pułkownik, Sotillo, leży chory obłożnie w Urzędzie Cłowym i potrzebuje niezwłocznie jego pomocy lekarskiej. Nieodzownie. Wzywa go się jak najusilniej. Oczekuje z największą niecierpliwością. Stokrotne dzięki. Zamknął oczy z niewymownem znużeniem i nie otworzył ich ponownie, leżąc bez uczucia, głucho, niemo, nieruchomo w skołataniu, złamaniu, zmiażdżeniu, unicestwieniu okrutnej niemocy.

Skoro jednak nieproszony gość zamknął za sobą drzwi, pułkownik zerwał się, zamachnąwszy obiema nogami w odmęcie wełnianych okryć. Ostrogi uwikłały mu się w zwoje *ponchów*, co zakrywały go niemal z głową, więc odzyskał równowagę dopiero na środku pokoju. Ukryty za uchyloną do połowy okiennicą, nadsłuchiwał, co będzie działo się na dole.

Wysłannik wsiadł już na konia i zwracając się do oziębłych oficerów, co stali w wielkiej bramie, uchylił grzecznie kapelusza.

— *Caballeros* — rzekł donośnym głosem — niechaj mi będzie wolno polecić najtroskliwszej opiece panów waszego pułkownika. Było dla mnie radością i zaszczytem poznać panów. Tworzycie wytworne grono ludzi, co hołdują rycerskiej cnocie cierpliwości na tej wysuniętej placówce, gdzie cieknie ślinka do ust, gdy tymczasem miasto pełne jest wina i uroków niewieścich i czeka z otwartemi ramionami, żeby was przygarnąć do swego łona za waszą waleczność. *Caballeros*, mam zaszczyt pożegnać panów. Sulaco będzie tańczyło nazabój dzisiejszego wieczora. Do widzenia.

Ale powściągnął konia i pochylił głowę na bok, widząc, iż wychyla się z bramy jakiś stary major, bardzo wysoki i chudy, w obcisłym mundurze, sięgającym mu po kostki powłoką barw pułkowych.

Inteligentny, stary wojownik, wypowiedziawszy na wstępie dogmatyczne twierdzenie, iż „świat jest pełen zdrajców", jął wygłaszać z namysłem panegiryk na cześć Sotilla. Z rozwlekłą napuszonością wyposażał go we wszystkie możliwe zalety, streszczając je w niedorzecznem powiedzeniu, utartem śród pospólstwa miejscowego (zwłaszcza w okolicy Esmeraldy). — Jest to — zakończył, podnosząc nagle głos — człowiek o wielu

zębach — *hombre de muchos dientes. Si, senior.* Jeżeli zaś chodzi o nas — dorzucił z wieszczym naciskiem — to wasza wielmożność widzi przed sobą najznakomitsze grono oficerskie z całej Rzeczypospolitej, mężów nieporównanej mądrości i męstwa — *y hombres de muchos dientes.*

— Jakto? Czy wszyscy? — zagadnął szubrawy wysłannik *seniora* Fuentesa z nikłym, drwiącym uśmieszkiem.

— *Todos. Si, senior.* — potwierdził major poważnie i z przekonaniem. — Ludzie o wielu zębach.

Przybysz wykręcił konia ku portalowi, podobnemu do wysokiej bramy nędznej stodoły. Podźwignął się w strzemionach i wyciągnął ramię. Był to jowjalny hultaj, który dla tych głupich mieszkańców Prowincji Zachodniej odczuwał głęboką wzgardę, wrodzoną ludziom, pochodzącym z ośrodka Rzeczypospolitej. Zwłaszcza głupota tych esmeraldczyków dodała bodźca jego rozbawionemu lekceważeniu. Z uroczystym wyrazem twarzy rozpoczął przemówienie na cześć Pedrita Montera. Wymachiwał ręką, chcąc skupić na sobie ich uwagę. Kiedy zaś spostrzegł, iż wszystkie oczy zawisły na jego ustach, jął wykrzykiwać jakby katalog wszelkich doskonałości: wielkoduszny, waleczny, ludzki, głęboki — (wywijał kapeluszem entuzjastycznie) — mąż stanu, niezwyciężony wódz powstańców... — Poczem jakby szarpnięciem stłumił swój głos i nadając mu głębokie, czcze brzmienie, zakończył: — i dentysta.

W okamgnieniu pierzchł na znaczną odległość; sztywne rozkraczenie nóg, zwrócone nazewnątrz stopy, wyprostowany grzbiet, łobuzerskie zbakierowanie *sombrera*, nieruchome ustawienie bark — wszystko to wyrażało bezgraniczny, przejmujący zgrozą bezwstyd.

Na górze, za niedomkniętą okiennicą, Sotillo stał czas jakiś nieruchomo. Zuchwalstwo tego hultaja przeraziło go. Co też powiedzą na to jego oficerowie, stojący na dole? Nie powiedzieli nic. Zupełne milczenie. Zadygotał. Nie tak sobie wyobrażał tę wyprawę. Widział siebie triumfującego, nie podkopywanego, ukojonego; miał być bożyszczem żołnierzy, rozważającem w skrytości swego zadowolenia rozkoszny wybór między potęgą a bogactwem. Niestety! Stało się inaczej! Rozstrojony, niespokojny, ubezwładniony, trawiony ogniem wściekłości lub zlodowaciały od grozy, czuł, że przerażenie, bezdenne jak morze, pełznie ku niemu ze wszystkich stron. Ten łotr, doktór, miał nadejść i udzielić mu informacyj. Jużcić. Ale opuszczony nie będzie mógł zrobić z nich użytku. Nie będzie wiedział, co z niemi począć. Przekleństwo! Doktór nigdy nie nadejdzie! Prawdopodobnie już go aresztowano i wrzucono do więzienia wraz z Donem Carlosem. Zaśmiał się na całe gardło jak szalony. Ha! ha! ha! ha! To Pedrito Montero zasięgnie tych informacyj. Ha! ha! ha! ha!— No, a srebro? Ha!

Śmiejąc się tak, znieruchomiał naraz i umilkł, jakby skamieniał. On także miał jeńca. Jeńca, który musi — musi znać istotną prawdę. Trzeba go zmusić do mówienia. I Sotillo, który ani na chwilę nie zapominał całkiem o Hirschu, doznał niepojętej rozterki na myśl, iż trzeba będzie jąć się ostateczności.

Doznał rozterki — cząstki owej bezdennej grozy, co pełzła ku niemu ze wszystkich stron. Przypomniał sobie z odrazą rozszerzone źrenice handlarza skór, jego drgawki, stękania i zaklęcia. Nie było to współczucie lub bodaj nerwowe tylko przeczulenie. Rzecz przedstawiała się tak, że jakkolwiek Sotillo ani przez

chwilę nie wierzył w jego opowiadanie — nie mógł w nie uwierzyć, bo któżby uwierzył w takie brednie? — to jednak akcenty rozpaczliwej prawdy raziły go niemile. Robiło mu się od nich mdło. Nasuwało się mu również podejrzenie, że ten człowiek mógł zwarjować ze strachu. Warjat to istota beznadziejna. Ba! Udanie. Nic tylko udanie! Będzie wiedział, jak z niem sobie poradzić.

Zapamiętał się w rozdrażnieniu do ostatecznej dzikości. Piękne jego oczy zazezowały zlekka. Klasnął w dłonie. Bosy ordynans wszedł bez szmeru. Był to kapral z bagnetem u pasa i kijem w ręce.

Pułkownik wydał rozkaz i wnet nędzny Hirsch, popychany przez kilku żołnierzy, zastał go, rozpartego groźnie w wielkiem, poręczowem krześle, z rozstawionemi kolanami i dłońmi, wpartemi w biodra, władczego, majestatycznego, nieodpartego, wyniosłego, dostojnego, straszliwego.

Hirschowi związano ręce na plecach i wtrącono go przemocą do jednego z mniejszych pokoi. Zdawało się, iż zapomniano o nim, gdyż długo leżał nieprzytomny na podłodze. Z tego osamotnienia, pełnego rozpaczy i grozy, wyrwano go, bezlitośnie kopiąc i bijąc. Był ogłupiały i bierny. Wysłuchał gróźb i napomnień, poczem odpowiedział w zwykły sobie sposób na pytania, z brodą opuszczoną na piersi i rękami, związanemi na plecach, słaniając się nieco przed Sotillem i nie podnosząc na niego oczu. Kiedy zmuszono go do podźwignięcia głowy, przykładając mu ostrze bagnetu pod brodę, oczy jego były zabiegłe czczem, obłąkańczem szkliwem, a krople potu, wielkie jak ziarna grochu, spływały po brudnych zadraśnięciach

i urażeniach zbielałej jego twarzy. Poczem zaprzestano nagle.

Sotillo spoglądał na niego w milczeniu. — Zaprzestaniesz swojego uporu, ty łotrze? — zapytał. Już rzemień, którego jeden koniec krępował przeguby *seniora* Hirscha, był przerzucony przez belkę i już czekali trzej żołnierze, którzy trzymali drugi jego koniec. Nie dał odpowiedzi. Głupkowato obwisła jego gruba warga dolna. Sotillo dał znak. Hirsch postradał oparcie pod nogami. Wrzask śmiertelnej rozpaczy przewiał przez pokój, wypełnił korytarze wielkiego budynku i targnął powietrzem nazewnątrz. Wszyscy żołnierze, obozujący na wybrzeżu, podnieśli ku oknom oczy. Zerwało się z miejsca kilku oficerów, co gawądzili z podnieceniem w hali, błyskając oczyma. Inni zacięli usta i utkwili chmurne spojrzenia w podłogę.

Sotillo wyszedł z pokoju w towarzystwie żołnierzy. Wartownik, stojący u drzwi, sprezentował broń. Hirsch pozostał sam, skomląc za niedomkniętemi okiennicami. Blask słoneczny, odbity od roztoczy przystani, falował rozedrganem chełbotaniem światła wysoko na ścianie. Skowytał z podniesionemi wgórę brwiami i rozdziawioną gębą — niesłychanie wielką, czarną, potworną, najeżoną zębami — komiczną.

W pałającem cicho powietrzu spokojnego popołudnia odgłosy jego konania docierały aż do biur Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Kapitan Mitschell, który wyszedł na balkon, by wymiarkować, co się dzieje, słyszał go słabo, lecz wyraźnie. Ten nikły i przerażający szmer drgał mu w uszach, gdy uciekał z balkonu z pobladłemi policzkami. Tego popołudnia spędzał go on jeszcze kilkakrotnie z balkonu.

Sotillo, zły i rozdrażniony, chodził niespokojnie,

naradzał się z oficerami, wydawał sprzeczne rozkazy przenikliwym krzykiem, co rozlegał się donośnie skroś opustoszałego budynku. Niekiedy nastawały przewlekłe, złowrogie milczenia. Kilkakrotnie wchodził do pokoju, gdzie odbywała się tortura i gdzie jego szabla, szpicruta, rewolwer i lorneta polowa leżały na stole, by zapytać z wymuszonym spokojem: — Cóż, powiesz teraz prawdę? Nie? Poczekam. — Ale nie był już zdolny czekać nieco dłużej. Przebrała się miarka. Ilekroć wchodził i wychodził, trzaskając drzwiami, wartownik na schodach prezentował broń i otrzymywał wzamian gniewne, jadowite, błędne spojrzenie, które w rzeczywistości nie widziało niczego, będąc tylko odbiciem duszy — duszy, pełnej posępnej nienawiści, chwiejności, chciwości i wściekłości.

Słońce już zaszło, gdy wszedł raz jeszcze. Żołnierz wniósł dwie zapalone świece i wymknął się chyłkiem, zamykając drzwi bez szmeru.

— Gadaj, ty, djabli, żydowski synu! Srebro! Srebro, powiadam! Gdzie jest ono? Gdzieście je ukryli, cudzoziemskie łotry? Gadaj lub...

Lekkie drżenie przebiegło po napiętym rzemieniu od udręczonych członków, ale ciało *seniora* Hirscha, przedsiębiorczego kupca z Esmeraldy, wisiało pod potężnym tramem prostopadle i milcząco, zwracając się do pułkownika żałosną twarzą. Napływało powietrze nocne, ochłodzone przez śniegi *Sierry*, i szerzyło stopniowo rozkoszną świeżość w zaduchu pokoju.

— Mów, złodzieju, łajdaku, *picaro*[1]) — lub...

Sotillo ujął swą szpicrutę i stał z podniesionem ramieniem. Czuł, iż za jedno słowo, za jedno, malutkie

---

[1]) łotr.

słówko, byłby ukląkł, pokłonił się, tarzał się w prochu przed ospałem, wiednem spojrzeniem tych nieruchomych gałek ocznych, wystających z wynędzniałej, rozczochranej głowy, co obwisła bardzo nisko, mając usta zamknięte pogardliwie. Pułkownik zaciął zęby i uderzył. Rzemień zadrgał powolnie od ciosu niby długi trzpień wahadła, wytrąconego z bezwładu. Ale wahnienie to nie udzieliło się ciału *seniora* Hirscha, handlarza skór, powszechnie znanego na wybrzeżu. Kurczowym wysiłkiem spętanych ramion drgnęło wgórę na kilka cali, skręcając się w sobie niby ryba u końca wędki. Głowa *seniora* Hirscha odrzuciła się wstecz napięciem szyi; broda jego zadygotała. Chrzęst jego szczękających zębów rozległ się na chwilę w wielkim, mrocznym pokoju, gdzie świece tworzyły jasne plamy dokoła dwu płomieni, jarzących się blisko siebie. Kiedy zaś Sotillo, nie spuszczając ręki, czekał na odpowiedź, Hirsch wyszczerzył zęby i z nagłym podrzutem wykręconych ramion plunął mu silnie w twarz.

Podniesiona szpicruta opadła i pułkownik odskoczył wstecz z lekkim okrzykiem przerażenia, jakby pokropiony wytryskiem zabójczej trucizny. Z chyżością myśli porwał swój rewolwer i wystrzelił dwa razy. Huk i wstrząs wystrzałów przedzierzgnął odrazu jego nieuskromioną wściekłość w idjotyczne osłupienie. Stał z obwisłą szczeką i znieruchomiałemi oczyma. Co też on zrobił, *Sangre de Dios* [1])? Co on zrobił? Przeraził się nikczemnie swego popędliwego czynu, co zamknął na wieki usta, z których tak wiele można było wymusić. Co on powie? Jak się wytłumaczy? Myśl o ucieczce na złamanie karku, gdziebądź, mignęła mu

---

[1]) Przebóg!

w mózgu. Nawet lękliwa i niedorzeczna chętka ukrycia się pod stołem nasunęła się jego tchórzostwu. Było już za późno; jego oficerowie wtargnęli hałaśliwie, szczękając pochwami od szabel i czyniąc wrzawę z zdziwienia i osłupienia. Ponieważ jednak odrazu nie utopili swych szabel w jego piersi, bezczelność jego charakteru odzyskała znów równowagę. Wyprostował się, ocierając twarz rękawem munduru. Srogi jego wzrok krążył zwolna, tłumiąc zgiełk. Zaś stężały zewłok nieboszczyka, *seniora* Hirscha, zakołysawszy się niepostrzeżenie, wykonał pół obrotu i znieruchomiał śród poszmeru grozy i sarkania odrazy.

Czyjś głos zauważył donośnie: — Patrzcie na człowieka, który już nigdy nie przemówi! — Zaś inny, dolatujący z tylnego rzędu twarzy, zagadnął trwożnie i nagląco:

— Dlaczego pan go zabił, *mi corcnel*?

— Ponieważ wyznał wszystko — odparł Sotillo z zuchwalstwem rozpaczy. Skrzepił się w sobie. Dopuścił się tej bezczelności na zasadzie swej reputacji z najzupełniejszem powodzeniem. Jego słuchacze uważali go za zdolnego do takiego czynu. Byli skłonni wierzyć w jego chełpliwe słowa. Niema łatwowierności tak pochopnej i ślepej jak łatwowierność łapczywości, która naogół jest miarą moralnej nędzy i intelektualnego pohańbienia ludzkości. — Ach, więc wyznał wszystko ten pokraczny żyd, ten *bribon* [1])! To dobrze. Był już więc niepotrzebny. Radosnym bełkotem ozwał się nagle *senior* kapitan — człek o ogromnej głowie z małemi krągłemi oczkami i potwornie opasłemi policzkami, co nigdy nie drgały. Stary major, wysoki i fantastycznie

---

[1]) Oszust.

obdarty niby jakieś straszydło na ptaki, krążył dokoła zewłoku nieboszczyka, Hirscha, i pomrukiwał do siebie z niewymowną lubością, że na przyszłość nie będzie już trzeba strzec się zdrady tego łajdaka. Inni gapili się, przestępując z nogi na nogę i zwierzając się sobie urywanym szeptem ze swych spostrzeżeń.

Sotillo przypasał swą szablę i wydał krótki, stanowczy rozkaz, by pośpieszono się z odwrotem, uchwalonym po południu. Złowrogi, przygnębiony, z *sombrerem*, wciśniętem na oczy, wyszedł pierwszy za drzwi w takiej rozterce ducha, iż zapomniał zupełnie uprzedzić o możliwym powrocie dra Monyghama. Oficerowie podążyli za nim gromadnie; jeden czy dwu obejrzało się przelotnie na nieboszczyka, *seniora* Hirscha, kupca z Esmeraldy, który zakołysał się sztywnie i pozostał sam z dwiema zapalonemi świeczkami. W próżni pokoju spasły cień głowy i bark, co padał na ścianę, miał pozory życia.

Na dole pułk ustawił się w milczeniu i ruszył w pochód bez odzewu bębnów i trąb. Stary, szmatławy major dowodził strażą tylną. Wszelako żołnierze, których pozostawił z rozkazem, by podłożyli ogień pod Urząd Cłowy (i „spalili ścierwo tego zdrajcy, żyda, co tam wisiał“), nie dopisali z pośpiechu i nie poczekali, aż klatka schodowa zajmie się płomieniem. Zewłok nieboszczyka, *seniora* Hirscha, przebywał samotnie jakiś czas w złowieszczem opustoszeniu niewykończonego budynku, rozbrzmiewającego upiornie nagłemi trzaskaniami i skrzypieniami drzwi i klamek, poszmerami podartych papierów i rozełkanemi westchnieniami, co za każdym podmuchem wiatru rozlegały się pod wysokim dachem.

Dwie świece, palące się przed prostopadłą i nieru-

chomą bezdusznością nieboszczyka *seniora* Hirscha, roztaczały swą poświetl na ląd i na morze niby jakiś sygnał nocny. Tak trup ten doczekał się chwili, kiedy przeraził Nostroma swą obecnością i wprawił w zakłopotanie dra Monyghama tajemnicą swego okrutnego zgonu.

— Ale dlaczego go zastrzelił? — zapytał znów doktór siebie głośno. Tym razem odpowiedział mu oschły śmiech Nostroma.

— Pan, jak zdaje się, jest ogromnie zaniepokojony, tą, tak prostą rzeczą, *seniorze* doktorze. To mnie dziwi. Jest bardzo prawdopodobne, iż wkrótce jednego po drugim każe nas rozstrzelać jeżeli nie Sotillo, to Pedrito, Fuentes lub Gamacho. A możemy — *quien sabe?* — pójść nawet na tortury, dzięki pańskiej, dowcipnej gadaninie o srebrze, którą pan zawrócił głowę Sotillowi.

— Miał już ją zawróconą — zapierał się doktór. — Ja tylko...

— Jużcić! Wbił mu pan w nią takiego ćwieka, że sam djabeł...

— O to mi właśnie chodziło — podchwycił doktór.

— Więc o to panu chodziło? *Bueno.* Jest, jak powiedziałem. Niebezpieczny z pana człowiek!

Głosy ich, co nie podnosząc się, jęły się stawać kłótliwemi, nagle umilkły. Nieboszczyk, *senior* Hirsch, majaczący mrocznie i sztywnie pod poświetl gwiazd, zdawał się czekać bacznie, w bezstronnem milczeniu.

Wszelako dr. Monygham nie szukał zatargu z Nostromem. W tem ostatecznem zachwianiu się pomyślności Sulaca uświadomił sobie wreszcie, że ten człowiek był istotnie niezbędny, niezbędniejszy, niżli mogło pojąć zaślepienie kapitana Mitschella, jego chełpliwego odkrywcy — niżli zdołała kiedykolwiek określić najudat-

niejsza, oschła kpina Decouda o „moim znakomitym przyjacielu, jedynym *Capatazie de Cargadores*“. Ten człowiek był istotnie jedyny. Nie był „jednym z tysiąca“. Był bezwarunkowo wyjątkowy. Doktór uległ. W uzdolnieniu tego genueńskiego marynarza było coś, co władało przeznaczeniami wielkich przedsiębiorstw i wielu ludzi, losem Charles'a Goulda i dolą uwielbionej kobiety. Na myśl o niej doktór musiał odchrząknąć, żeby móc przemówić.

Zupełnie zmienionym tonem jął wyłuszczać *Capatazowi*, iż przedewszystkiem nie grozi mu większe niebezpieczeństwo. Wszyscy dotychczas są przekonani, że nie żyje. Jest to okoliczność nadzwyczaj pomyślna. Powinienby tylko dać nura do *Casy Violi*, gdzie — jak powszechnie wiadomo — przebywa tylko stary *Garibaldino* z nieżywą swoją żoną. Wszystka służba się rozpierzchła. Nikomu przeto nie przyjdzie na myśl szukać go tam lub gdzieindziej na świecie.

— Byłoby to najzupełniejszą prawdą, — odparł gorzko Nostromo — gdybym nie był spotkał pana.

Doktór milczał czas jakiś. — Czy chce pan przez to dać mi do zrozumienia, iż pan przypuszcza, że mógłbym wydać pana? — zapytał niepewnym głosem. — Co? Pocóżbym to robił?

— Czy ja wiem? Czemużby nie? Może, by zyskać z jeden dzień na czasie. Sotillo potrzebowałby jednego dnia, by wziąć mnie na tortury lub zastosować jeszcze coś innego, zanimby kulą przeszył mi serce — jak to uczynił temu biedakowi. Czemużby nie?

Doktór przełykał z trudnością. Krtań wyschła mu w okamgnieniu. Nie stało się to z oburzenia. Doktór był do tego stopnia patetyczny, iż mniemał, że postradał prawo oburzania się na kogokolwiek — i za

cokolwiek. Był to poprostu lęk. Czyżby ten marynarz dowiedział się przypadkiem niektórych szczegółów z dziejów jego życia? Gdyby tak było, to skończyłoby się z jego użytecznością w tym zakresie. Ten niezbędny człowiek wymknąłby się z pod jego wpływu dla owej niezmazanej hańby, co czyniła go zdolnym do brudnej roboty. Doktorowi zrobiło się mdło. Byłby oddał niejedno, żeby uzyskać pewność, ale nie śmiał stawiać wszystkiego na ostrzu noża. Fanatyzm jego ofiarnej tkliwości, karmiony poczuciem poniżenia, opancerzył jego serce smutkiem i wzgardą.

— Jużcić; czemużby nie? — zawtórował z przekąsem. — Byłoby więc najlepiej, żeby pan zabił mnie na miejscu. Coprawda, mógłbym się bronić. Ale pan już wie zapewne, że nie zwykłem nosić przy sobie broni.

— *Por Dios!* — sarknął *Capataz* porywczo. — Wy, panowie, wszyscy jesteście jednacy. Wszyscy niebezpieczni. Wszyscy stoicie na zdradzie biedakom, co są waszemi psami.

— Pan mnie nie rozumie — zaczął doktór zwolna.

— Rozumiem ja was wszystkich! — wrzasnął Nostromo z namiętnym odruchem, co oczom doktora wydał się równie widmowym, jak uparta nieruchomość nieboszczyka, *seniora* Hirscha. — Biedak śród was jest zmuszony troskać się o siebie. Powtarzam, iż nie dbacie o ludzi, którzy wam służą. Niech pan spojrzy na mnie! Po tylu latach znalazłem się nagle w położeniu psa, co warczy tam, na dworze — nie mając ani budy ani bodaj ogryzionej kości w zębach. *Caramba!* — Powściągnął się jednak z pogardliwą łagodnością. — Jużcić — mówił dalej spokojnie — nie przypuszczam, żeby pan miał zaraz wydać mnie w ręce Sotilla. To

nie o to chodzi. To chodzi o to, że jestem niczem. Tak nagle! — Machnął ramieniem wdół. — Niczem dla ludzi — powtórzył.

Doktór odetchnął swobodnie. — Niechno pan posłucha, *Capatazie!* — rzekł wyciągając niemal serdecznie rękę ku ramieniu Nostroma. — Powiem panu rzecz bardzo prostą. Może pan być spokojny o siebie, ponieważ jest pan potrzebny. Nie zdradziłbym pana za nic w świecie, ponieważ pana potrzebuję.

Nostromo zagryzł w ciemności usta. Nasłuchał się on już dość tego. Wiedział, co to znaczy. Miał już wszystkiego wyżej uszu. Ale sądził, iż powinien teraz pomyśleć o sobie. I zdawało mu się również, iż nie byłoby rozsądnie rozejść się w niezgodzie ze swym towarzyszem. Doktór, którego podejrzywał o obłudę, miał śród ludności sulackiej opinję lichego człowieka. Opierała się ona na niezawodnej podstawie jego zewnętrznego wyglądu, co raził niezwykłością, oraz na jego szorstkiem i ironicznem obchodzeniu się z ludźmi. Były to dowody widoczne, namacalne i nieodparte niegodziwości charakteru doktora. A Nostromo pochodził z ludu. Chrząknął tedy tylko z niedowierzaniem.

— Mówiąc otwarcie, jest pan jedynym człowiekiem, — mówił dalej doktór — w którego mocy jest ocalić to miasto i... wszystkich od niszczycielskiej drapieżności ludzi, co...

— Nie, *senior* — odezwał się Nostromo z przekąsem. — Nie jest w mej mocy odzyskać skarbu dla pana, żeby go pan oddał Sotillowi, Monterowi lub Gamachowi. Czy ja zresztą wiem?...

— Nikt nie oczekuje rzeczy niemożliwych — brzmiała odpowiedź.

— Sam pan powiedział — „nikt“, — mruknął Nostromo niechętnym, groźnym tonem.

Ale dr. Monygham, pełen otuchy, nie baczył na te zagadkowe słowa i zawartą w nich pogróżkę. Nieboszczyk, *senior* Hirsch, jął zarysowywać się wyraźniej i zdawał się podchodzić bliżej dla ich oczu, przyzwyczajonych już do ciemności. To też doktór przyciszył głos roztaczając swe wywody, jakby obawiał się, że może być podsłuchany.

Darzył niezbędnego człowieka najzupełniejszem zaufaniem. Zawarte w niem pochlebstwo oraz nadzieja wielkich niebezpieczeństw zabrzmiały w uchu *Capataza* znajomym dźwiękiem. Umysł jego, pławiący się w niepewności i nieukojeniu, rozpoznał je z goryczą. Pojmował najzupełniej, dlaczego doktór pragnie ocalić kopalnię San Tomé od zniszczenia. Bez niej był niczem. To było w jego interesie. Podobnie jak w interesie *seniora* Decouda, *blanców* i Europejczyków było przeciągnąć jego *Cargadorów* na swą stronę. Myśl jego zatrzymała się na Decoudzie. Co z nim się stało?

Przewlekłe milczenie Nostroma jęło niepokoić doktora. Zaznaczył mu całkiem zbytecznie, iż jakkolwiek narazie jest bezpieczny, to jednak nie może żyć bez końca w ukryciu. Miał do wyboru albo podjąć się poselstwa do Barriosa, narażając się na trudy i niebezpieczeństwa, albo opuścić ukradkiem Sulaco w ubóstwie i bez chwały.

— Nikt z pańskich przyjaciół nie może obecnie wynagradzać ni ochraniać pana. Nawet sam Don Carlos.

— Nie dbam o waszą opiekę, ani o wasze nagrody. Chciałbym tylko, żeby można polegać na waszej odwadze i waszym rozsądku. Jeśli — jak pan powiada —

powrócę w triumfie z Barriosem, mogę zastać wszystkich pozabijanych. Macie obecnie nóż na gardle.

Zamilkł zkolei doktór, pogrążywszy się w rozmyślaniach nad okropnemi możliwościami.

— No, a my polegamy na pańskiej odwadze i na pańskim rozsądku! Pan również ma nóż na gardle.

— Ach! A komuż to zawdzięczam? Czem jest dla mnie wasza polityka i wasze kopalnie — wasze srebro i wasze konstytucje — ten wasz Don Carlos i Don José, co...

— Nie wiem — wybuchnął doktór zrozpaczony. — Chodzi o niewinnych ludzi, narażonych na niebezpieczeństwo, których mały palec więcej jest wart niż pan lub ja i wszyscy razem ribierzyści. Nie wiem! Powinien pan był zapytać o to siebie, zanim dał się pan uwikłać w te sprawy Decoudowi. Było rzeczą pańską zastanowić się po męsku; ale jeżeli pan się nie zastanowił, to niechaj obecnie zacznie pan działać po męsku. Czy pan sądzi, że Decoud troszczył się bardzo o to, co się z panem stanie?

— Nie więcej niż obecnie troszczy się pan o to, co się ze mną stanie — mruknął marynarz.

— Nie! O to, co pana czeka, troszczę się równie mało, jak o to, co czeka mnie samego.

— I to dlatego, że pan jest takim zapalonym ribierzystą? — zagadnął Nostromo z niedowierzaniem.

— Właśnie dlatego, że jestem takim zapamiętałym ribierzystą — powtórzył dr. Monygham gorzko.

I znów, patrząc w roztargnieniu na zewłok *seniora* Hirscha, Nostromo zamilkł, rozmyślając, iż doktór jest człowiekiem niebezpiecznym w więcej niż jednem znaczeniu. Niepodobna było mu ufać.

— Czy pan mówi w imieniu Dona Carlosa? — zapytał wkońcu.

— Tak jest — odparł doktór głośno i bez wahania. — Musi on obecnie ruszyć z miejsca. Musi... — dodał coś szeptem, którego Nostromo nie dosłyszał.

— Co pan mówi, *senior?*

Doktór drgnął. — Mówię, że powinien pan pozostać sobie wiernym, *Capatazie.* Zawieść obecnie byłoby rzeczą gorszą od szaleństwa.

— Pozostać sobie wiernym? — powtórzył Nostromo. — Skądże pan wie, że nie mam zamiaru pozostać sobie wiernym, skoro odsyłam pana do djabła z pańskiemi propozycjami?

— Nie wiem. Być może, iż ma pan ten zamiar — odpowiedział doktór szorstko, chcąc ukryć swe przygnębienie i załamanie swego głosu. — Wiem tylko, iż lepiejby pan zrobił, gdyby się pan oddalił. Może tu powrócić który z ludzi Sotilla, żeby zobaczyć, czy mnie niema.

Odsunął się od stołu, nadsłuchując bacznie. *Capataz* powstał również.

— A gdybym pojechał do Cayty, to coby pan tymczasem robił? — zagadnął.

— Poszedłbym zaraz do Sotilla, skoro tylko wyjechałby pan — w sposób, który mam na myśli.

— Doskonały sposób — jeżeli inżynier naczelny na niego się zgodzi. A niech mu pan przypomni, że opiekowałem się starym, bogatym Anglikiem, który płaci za kolej, i że ocaliłem od śmierci kilku jego ludzi, gdy szajka złodziei nadciągnęła z południa, by napaść jeden z jego pociągów. To ja z narażeniem życia odkryłem wszystko, udając, że gotów jestem iść

im na rękę. Jota w jotę tak samo, jak pan postępuje z Sotiłłem.

— No, tak. Rozumie się. Ale mam dla niego lepsze argumenty — rzekł doktór śpiesznie. — Niech mi pan to pozostawi.

— Ach, jużcić! To prawda. Jestem niczem.

— Bynajmniej. Jest pan wszystkiem.

Postąpili ku drzwiom. Nieboszczyk, *senior* Hirsch, pozostał za nimi w nieruchomości lekceważonego człowieka.

— Będzie wszystko dobrze. Wiem, co powiedzieć inżynierowi — mówił dalej doktór półgłosem. — Trudniej mi pójdzie ze Sotillem.

I dr. Monygham zatrzymał się na chwilę w drzwiach, jakgdyby zatrwożony tą trudnością. Uczynił ofiarę z swego życia. Uważał to za sprzyjającą sobie okoliczność. Ale nie powinien był wyzbywać się życia za wcześnie. Sprzeniewierzając się nibyto zaufaniu Dona Carlosa, musiał ostatecznie wskazać miejsce, gdzie skarb ukryto. Byłby to kres jego podstępu i kres jego samego w szponach rozwścieczonego pułkownika. Chodziło o to, by odwłóczyć i utrzymywać go w niepewności do ostatniej chwili. Suszył więc sobie mózg, by obmyśleć kryjówkę, któraby miała pozory prawdopodobieństwa i zarazem była trudno dostępna.

Zwierzył się z swej troski Nostromowi i dorzucił:

— Wie pan co? *Capatazie?* Myślę, że kiedy nadejdzie stosowna chwila i trzeba będzie wskazać jakieś miejsce, wymienię Wielką Izabelę. To chyba możliwie najlepsza kryjówka. Jak panu się zdaje?

Przytłumiony okrzyk wydarł się z ust Nostroma. Doktór czekał, zdumiony. Po chwili głębokiego milczenia usłyszał, jak mętny jego głos zabełkotał: — Ależ to głupstwo! — i zgłuchł w sapnięciu.

— Dlaczego głupstwo?

— Ach, czy pan tego nie pojmuje? — zaczął Nostromo zdławionym głosem, który nabrzmiewał wzgardą w miarę, jak mówił dalej. — Trzech ludzi w pół godziny sprawdzi, iż nie poruszono nigdzie ziemi na tej wysepce. Czy panu się zdaje, że taki skarb można zakopać, nie pozostawiając śladów — eh, *senior doctor?* Nie zyskałby pan nawet pół dnia i zanimby się pan opatrzył, jużby pan miał gardło, poderżnięte przez Sotilla. Izabela! Co za niedorzeczność! Co za kiepski koncept! Ach, wy panowie z inteligencji wszyscy jesteście jednacy! Wszyscy jesteście stworzeni do oszukiwania ludzi prostych, narażając ich na śmiertelne niebezpieczeństwa dla rzeczy, których sami nie jesteście pewni. Jeżeli się uda, to wy z tego czerpiecie korzyści. Jeżeli nie, to mniejsza o to. Człowiek prosty jest tylko psem. Ach, *Madre de Dios*, chciałbym... — I potrząsnął nad głową pięściami.

Doktór był zrazu oszołomiony tem dzikiem, syczącem uniesieniem.

— No, no! Na podstawie własnego, pańskiego dowodzenia sądziłbym, iż ludzie prości nie są bynajmniej takimi głupcami — rzekł z przekąsem. — Ale mniejsza o to. Pan taki mądry! Ma pan lepsze miejsce?

Nostromo ochłonął szybko z podniecenia.

— Jestem na to dość mądry — rzekł spokojnie, niemal obojętnie. — Niech mu pan wskaże kryjówkę, dość dużą, by potrzebował całych dni na poszukiwania — miejsce, gdzie można schować cały skarb srebrnych brył, nie pozostawiając śladu na powierzchni.

— I tuż napodorędziu — wtrącił doktór.

— Jużcić, *senior*. Niech mu pan powie, że go zatopiono.

— Miałoby to tę zaletę, że byłoby prawdą — rzekł doktór pogardliwie. — Nie będzie wierzył.

— Powie mu pan, że zatopiono go w takiem miejscu, skąd będzie miał nadzieję go wydostać, a uwierzy panu natychmiast. Powie mu pan, że zatopiono go w porcie z zamiarem, żeby później wydobyć go przy pomocy nurków. Powie mu pan, że nibyto pan wywąchał, iż otrzymałem rozkaz od Dona Carlosa Goulda, żebym powoli pospuszczał skrzynki w morze, gdzieś, na linji między końcem *mola*, a wylotem przystani. Nie jest tam zbyt głęboko. Nie ma wprawdzie nurków, ale ma okręt, łodzie, liny, łańcuchy, marynarzy wszelkiego rodzaju. Niech wyławia to srebro! Niech pozapuszcza haki i krąży w swej głupocie na wszystkie strony, siedząc i wypatrując, aż mu ślepie wylezą ze łba.

— To istotnie nadzwyczajny pomysł — zamamrotał doktór.

— *Si!* Powie mu pan to, a zobaczymy, czy nie uwierzy! Całemi dniami będzie się wściekał i gryzł — a jednak będzie wierzył. Nie będzie myślał o niczem innem. Nie ustanie, aż go stąd nie przepędzą, a może nawet zapomni zabić pana. Nie będzie jadł ni spał. Nie...

— W tem właśnie sęk! W tem właśnie sęk! — powtórzył doktór podnieconym szeptem. — *Capatazie*, zaczynam wierzyć, że jest pan na swój sposób geniuszem.

Nostromo zamilkł; poczem zaczął znów zmienionym, posępnym tonem, mówiąc do siebie, jakby zapomniał o obecności doktora:

— Jest w takim skarbie coś, co czepia się duszy ludzkiej. Będzie się modlił i bluźnił, a wytrwa. Będzie przeklinał dzień, w którym o nim usłyszał, i nie

opatrzy się, kiedy mu wybije ostatnia godzina, a wciąż będzie mu się zdawało, że prześlepił go tylko o jedną piędź. Będzie mu się zwidywał on nawet przy zamkniętych oczach. Nie zapomni o nim aż do śmierci i nawet potem... Słyszał pan kiedy, panie doktorze, o nędznych *gringach* na Azuerze, co nie mogą umrzeć? Ha, ha! Marynarze, podobnie jak ja. Nie, niepodobna pozbyć się skarbu, gdy raz uczepi się duszy ludzkiej.

— Istny z pana djabeł, *Capatazie*. To najlepszy pomysł!

Nostromo ujął go za ramię.

— Będzie to dla niego gorsze, niż pragnienie na morzu lub głód w przeludnionem mieście. Czy wie pan, co to jest? Będzie znosił straszniejsze męki od tych, które zadał temu wystraszonemu biedakowi, co nie wpadł na żaden pomysł. Żaden! Żaden! Nie tak, jak ja. Jabym był opowiedział Sotillowi okrutną bujdę przy najlżejszej męce.

Zaśmiał się dziko i odwrócił się w drzwiach ku zewłokowi *seniora* Hirscha, co znaczył się nieprzeniknioną, wydłużoną bryłą w napoły przejrzystym zamierzchu izby między dwoma wysokiemi równoległobokami wygwiażdżonych okien.

— Straszny człowieku! — krzyknął. — Pomści cię Nostromo! Z drogi, doktorze! Z drogi — lub na pokutującą duszę kobiety, co skonała bez spowiedzi, uduszę cię mojemi rękoma.

Zbiegł nadół do czarnej, dymnej hali. Chrząknąwszy ze zdumienia, rzucił się doktór bez namysłu za nim w pogoń. U podnóża osmalonych schodów przewrócił się i upadł na twarz z taką siłą, iż byłby postradał przytomność, gdyby nie był opętany troską miłości i poświęcenia. Podniósł się w okamgnieniu, wstrzą-

śnięty, z dziwacznem wrażeniem, iż kula ziemska zwaliła się mu w ciemności na głowę. Nie był to atoli wstrząs dość potężny, by zatrzymać ciało dra Monyghama, owładnięte zapamiętaniem poświęcenia — zapamiętaniem wyrozumowanem, co postanowiło nie zaniedbać żadnej, sprzyjającej okoliczności, jaka nadarzyćby się mogła. Biegł, sztykutając, na złamanie karku, przyczem wymachiwał ramionami jak śmigami wiatraka, by utrzymać równowagę na swych okaleczałych nogach. Zgubił kapelusz; polatywały za nim poły jego porozpinanego płaszcza. Nie chciał postradać z oczu tego niezbędnego człowieka. Trwało to atoli długo i daleko odbiegł od Urzędu Cłowego, zanim zdołał, zadyszany, ująć go szorstko za ramię od tyłu.

— Stój pan! Czyś pan zwarjował?

Nostromo szedł już wolno, z zwieszoną głową, jakgdyby w chodzie przeszkadzała mu omdlałość niestanowczości.

— O co panu chodzi? Ach, zapomniałem, że jestem panu do czegoś potrzebny. *Siempre* Nostromo!

— Co pan miał na myśli, mówiąc, że mnie pan udusisz? — zipnął doktór.

— Co miałem na myśli? Myślałem, że sam szatan wysłał pana z tego miasta tchórzy i gadułów, żeby pan się spotkał ze mną tej nocy, której nie zapomnę do samej śmierci.

Na tle gwiaździstego nieba zamajaczyła *Albergo d'Italia Una*, wydźwigając się czarną, niską bryłą z mrocznego poziomu płaszczyzny. Nostromo wstrzymał zupełnie kroku.

— Księża powiadają, że jest on kusicielem, nieprawdaż? — dodał przez zaciśnięte zęby.

— Plecie pan głupstwa, mój panie! Djabeł nie ma

z tem nic do czynienia. I nie ma z niem to miasto, które pan może lżyć, jak się panu podoba. Ale Don Carlos Gould nie jest ani tchórzem, ani czczym gadułą. Czy pan to uznaje? — Zamilkł w oczekiwaniu. — No?

— Czy mogę się widzieć z Donem Carlosem?

— Na miłość Boską! Nie! Dlaczego? Poco? — zawołał doktór wzburzony. — Powiadam panu, że to szaleństwo. Nie pozwolę panu pójść do miasta za żadną cenę.

— Muszę.

— Wcale pan nie musi! — zawołał doktór wściekle, nie posiadając się niemal z trwogi, by ten człowiek nie zmarnował się wraz z swą użytecznością dla jakiegoś niedorzecznego bzika. — Powiadam panu, że pan nie może. Wolałbym raczej...

Zamilkł, nie mogąc znaleźć już słów. Wyczerpany, bezsilny, trzymał Nostroma za rękaw. Potrzebował bezwarunkowo wytchnienia po pościgu.

— Zdradzono mnie! — mruknął *Capataz* do siebie, zaś doktór, który dosłyszał ostatnie słowa, zdobył się na wysiłek, by rzec spokojnie:

— Oto, co pana czeka! Będzie pan zdradzony.

Z chorobliwem przerażeniem myślał, iż ten człowiek nazbyt powszechnie jest znany, żeby go nie poznano. Dom *seniora Administradora* był niewątpliwie osaczony przez szpiegów. A nawet służbie *Casy* nie było można dowierzać. — Niech pan się zastanowi, *Capatazie!* — rzekł natarczywie. — ...Z czego pan się śmieje?

— Śmieję się, bo przyszło mi na myśl, że gdyby ktoś był, naprzykład, przeciwny mej obecności w mieście — rozumie mnie pan, *senior doctor?* — gdyby

ktoś wydał mnie Pedritowi to nie byłoby dla mnie niepodobieństwem pokumać się nawet z nim. To prawda. Co pan o tem myśli?

— Jest pan człowiekiem, niewyczerpanym w pomysłach — rzekł dr. Monygham posępnie. — Przyznaję. Ale miasto trzęsie się od plotek o panu, a ci nieliczni *Cargadorzy*, którzy nie skryli się wraz z kolejarzami, wrzeszczeli przez cały dzień na *Plazy: Viva Montero!*

— Moi biedni *Cargadorzy* — zamamrotał Nostromo. — Oszukani, oszukani!

— Pojmuję, że w porcie mógł pan swobodnie uwijać się z kijem śród swych biednych *Cargadorów* — odezwał się doktór cierpkim głosem, który świadczył, iż odzyskiwał znów siły po swem utrudzeniu. — Niechaj pan się nie łudzi! Pedrito jest wściekły, że *senior* Ribiera uszedł jego rąk i że pozbawiono go przyjemności rozstrzelania Decouda. Krążą już po mieście pogłoski, że skarb zdmuchnięto mu z przed nosa. To również nie podoba się Pedritowi; lecz niechaj pan wie, że gdyby nawet miał pan na swój okup wszystko srebro, nie ocaliłoby ono pana.

Nostromo odwrócił się rączo, ujął doktora za ramiona i przybliżył twarz do jego twarzy.

— *Maladetta!* Nagabuje mnie pan ciągle gadaniem o tym skarbie. Uwziął się pan na moją zgubę. Był pan ostatnim człowiekiem, który popatrzył na mnie, zanim z nim odpłynąłem. A maszynista, Sidoni, utrzymuje, że pan ma złe oczy.

— Niechże pan wie, że ocaliłem go, bo wyleczyłem ze złamania nogi ubiegłego roku — odparł doktór stoicznie. — Czuł na swych barkach brzemię rąk, co słynęły śród pospólstwa z rwania grubych lin i ła-

mania podków. — Jeżeli zaś chodzi o pana, to daję panu najlepszy sposób ocalenia się — niech mnie pan puści! — i odzyskania dobrego imienia. Chełpił się pan, że to przeklęte srebro rozsławi *Capataza de Cargadores* od jednego krańca Ameryki do drugiego. Ale ja daję panu lepszą sposobność — niech mnie pan puści, *hombre!*

Nostromo puścił go nagle, a doktór zląkł się, że ten niezastąpiony człowiek zbiegnie mu znowu. Ale nie uczynił tego. Zaczął iść wolno. Doktór sztykutał obok niego, aż znaleźli się na rzut kamienia od *Casy Viola.* Nostromo przystanął znowu.

Pogrążona w cichości niegościnnych mroków, *Casa Viola* jakby odmieniła swą naturę. To jego mieszkanie zdawało się odtrącać go jakowąś beznadziejną i wrogą tajemnicą. Doktór odezwał się:

— Będzie pan tam bezpieczniejszy. Niech pan wejdzie, *Capatazie!*

— Jakże mogę wejść? — zdawał się pytać siebie Nostromo jakimś niemym, wnętrznym tonem. — Nie może odwołać tego, co powiedziała, a ja nie mogę odrobić tego, co uczyniłem.

— Ręczę, że wszystko będzie dobrze. Viola jest sam. Wstępowałem do niego, gdy szedłem z miasta. Będzie pan najzupełniej bezpieczny w tym domu aż do chwili, kiedy pan z niego wyruszy, by zasłynąć śród *Campa.* Pójdę teraz, by porozumieć się co do pańskiego wyjazdu z inżynierem naczelnym i dam panu znać o wszystkiem jeszcze przed świtem.

Dr. Monygham nie chcąc lub może lękając się przeniknąć znaczenie milczenia Nostroma, poklepał go zlekka po ramieniu i po trzech czy czterech podrygach swego śpiesznego, kulawego chodu, zniknął zupeł-

nie z przed oczu w kierunku toru kolejowego. Zatrzymawszy się między dwoma drewnianemi palami, co służyły do przywiązywania koni, Nostromo stał jak wkopany w ziemię. Dopiero w jakie pół godziny podniósł głowę, usłyszawszy zaciekłe ujadanie psów u remiz kolejowych. Wszczęło się ono nagłym zgiełkiem i przycichło, jakby zapadło się pod równinę. Kulawy doktór o złych oczach prędko stanął u celu.

Krok za krokiem zbliżał się Nostromo do *Albergo d'Italia Una*, która nigdy przedtem nie bywała taka głucha i ciemna. Drzwi, majaczące czarno w bladej ścianie, stały otworem, jak je pozostawił przed dwudziestu czterema godzinami, kiedy jeszcze nic nie potrzebował ukrywać przed światem. Zatrzymał się przed niemi niby zbieg, niby człowiek oszukany. Ubóstwo, niedola, nędza! Gdzie on słyszał te słowa? Gniew konającej kobiety przepowiedział ten los jego szaleństwu. Zdawało mu się, że ta przepowiednia sprawdzi się bardzo rychło. — A *leperos* będą się śmiali — rzekła. Tak, będą się oni śmiali, gdy się dowiedzą, że *Capataz de Cargadores* jest na łasce zwarjowanego doktora, który jeszcze przed paru laty kupował za miedziaki gotowaną strawę w kramie na *Plazy* — podobnie jak oni.

W tej chwili strzeliła mu do głowy myśl, żeby zajść do kapitana Mitschella. Zerknął w kierunku *mola* i ujrzał nikłe migotanie światła w budynku Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Myśl o oświeconych oknach nie była zbyt pociągająca. Nie! Nie podejdzie po raz drugi do oświeconych okien tej nocy! Jest tam kapitan Mitschell. I co mu powiedzieć? Ten doktór chciał go wywabić na słówka, jakby on był dzieckiem.

Na progu zawołał półgłosem: — Giorgio! — Wszedł do wnętrza. — Hej, *viejo!* Czy jesteście tutaj? — Śród nieprzeniknionego mroku zakołowało mu w głowie, że ciemność w tej kuchni jest równie bezmierna, jak w zatoce Cichej i że podłoga zagłębia się pod nim niby tonący przewozowiec. — Hej, *viejo!* — zabełkotał powtórnie, chwiejąc się na nogach. Dłoń jego, szukająca oparcia, spadła na stół. Postąpił o krok dalej i macając nią, uczuł pod palcami pudełko zapałek. Wydało się mu, iż słyszy spokojne westchnienie. Nadsłuchiwał chwilę z zapartym tchem, poczem drżącemi dłońmi spróbował zapalić zapałkę.

Cienkie drewienko zabłysło oślepiająco u końca jego palców, podniesionych do mrużących się oczu. Stężona poświetl padła na lwią, białą głowę Giorgia, siedzącego obok czarnej czeluści pieca kuchennego. Zapatrzony nieruchomo przed siebie, pochylał się w fotelu śród okalających, stłoczonych, wielkich zwałów mroku. Nogi miał skrzyżowane, policzek, oparty na dłoni, i wytloną fajkę w kąciku ust. Zdawało się, iż minęły długie godziny, zanim zdążył odwrócić twarz. Tejże samej chwili zapałka zgasła i znikł, przytłoczony mrokiem, jakby ściany i dach opustoszałego domu zwaliły się śród upiornej głuszy na jego białą głowę.

Nostromo usłyszał, że starzec się poruszył i wyrzekł spokojnie słowa:

— To zapewne zwidzenie.

— Nie — rzekł łagodnie — to nie zwidzenie, ojcze.

Silny głos, dobyty z głębi piersi, zapytał w ciemności:

— Czy to ty mówisz, Giovann' Battista?

— *Si, viejo.* Jużcić. Nie tak głośno.

Wypuszczonego przez Sotilla Giorgia Violę odprowadził aż do samych drzwi dobrotliwy inżynier naczelny i starzec powrócił do domu, który zmuszono go opuścić niemal w chwili zgonu jego żony. Zalegała cisza. Na górze paliła się lampa. Omal że nie zawołał jej po imieniu. Lecz myśl, że na żadne wołanie nie odpowie już brzmienie jej głosu, zwaliła go ciężko na krzesło. Załkał głośno z bólu, co jak ostry brzeszczot ugrząźł w jego piersi.

Później, przez całą noc, nie odezwał się ani razu. Ciemność przedzierzgnęła się w szarzyznę i na tle bezbarwnego, jasnego, szklistego brzasku szczerbata *Sierra* kreśliła się płasko i nieprzejrzyście, niby wycięta z papieru.

Entuzjastyczna i surowa dusza Giorgia Violi, marynarza, bojownika uciśnionej ludzkości, wroga królów i dzięki łaskawości Mrs. Gould, hotelarza u przystani w Sulaco, zstąpiła w rozwartą otchłań rozpaczy śród podruzgotanych szczętów swej przeszłości. Wspomniał swe zaloty między jedną wyprawą wojenną a drugą, jedyny krótki tydzień w porze zrywania oliwek. Tragicznemu uniesieniu z tego czasu dorównywało tylko głębokie, namiętne poczucie poniesionej straty. Uświadomił sobie ogrom swej zależności od uciszonego głosu tej kobiety. Dolegała mu nieobecność jej głosu. Roztargniony, zaprzątnięty, pogrążony w wnętrznych rozpamiętywaniach, rzadko spoglądał na swą żonę w ostatnich latach. Myśl o dziewczynkach była dla niego troską, nie pocieszeniem. Odczuwał dotkliwie nieobecność jej głosu. I przypomniało się mu jeszcze inne dziecko — synek, co zmarł na morzu. Ach, mężczyzna, to istota, na której można się oprzeć. I niestety! nawet Gian' Battista — o którym zarówno jak o Lindzie

z taką troską mówiła jego żona, zanim zapadła w swój ostatni sen na ziemi, którego przed samą śmiercią wzywała na cały głos, by ratował dzieci, — nawet on nie żył!

I starzec, pochyliwszy głowę w dłonie, przesiedział cały dzień w nieruchomości i osamotnieniu. Nie zwrócił nawet uwagi na spiżowy poryk dzwonów miejskich. Gdy poryk ten ustał, woda w glinianym filtrze, co stał w rogu kuchni, wszczęła znów swe śpieszne, melodyjne szmery, sącząc się do podstawionego, wielkiego dzbana.

Pod wieczór wstał i powolnemi ruchami jął wstępować na schody, niknąc w wąskiej klatce schodowej. Wypełnił ją swą postacią, a ocieranie się jego ramion wywoływało nikły szmer, podobny do chrobotania myszy pod tynkiem ściany. Gdy przebywał na piętrze, dom nurzał się w głuszy i zasępieniu. Następnie z tem samem nikłem chrobotaniem zeszedł nadół. Musiał się chwytać krzeseł i stołów, by powrócić na swe miejsce. Zdjął swą fajkę z wysokiego przymurku pieca kuchennego, lecz nie próbował sięgnąć po tytoń. Włożywszy ją, nienapełnioną, w kącik swych ust, usiadł znów w tej samej, zapatrzonej postawie. Słońce, co widziało wjazd Pedrita do Sulaca, co po raz ostatni przyświecało *seniorowi* Hirschowi za jego życia i po raz pierwszy zwiastowało Decoudowi osamotnienie na Wielkiej Izabeli, przeszło ponad *Albergo d'Italia Una*, chyląc się ku zachodowi. Słodkie kapanie wody z filtra ustało, lampa na piętrze zgasła i noc spowiła Giorgia Violę z jego martwą żoną w swe milczenie i ciemność, co zdały się niepokonanemi do chwili, kiedy *Capataz de Cargadores*, uszedłszy śmierci, zmusił je do ucieczki potarciem i zamigotaniem zapałki.

— *Si, viejo*. To ja. Poczekajcie.

Nostromo, zabarykadowawszy drzwi i zamknąwszy starannie okiennice, znalazł omackiem na półce świecę i zapalił ją.

Stary Viola powstał z krzesła. Podążał oczyma śród ciemności za szmerami, wywoływanemi przez Nostroma. Swiatło ukazało go, stojącego bez oparcia, jakgdyby sama obecność człowieka wiernego, dzielnego, nieskazitelnego, który był tem, czem mógł być jego syn, starczyła za podporę jego zanikającej krzepkości. Wyciągnął rękę, ujął swą drewnianą fajkę, zwęgloną na skrajach, i zmarszczył mocno swe krzaczaste brwi przed światłem.

— Powróciłeś — odezwał się z chropowatą godnością. — Ach, to bardzo dobrze! Ja...

Urwał. Nostromo, który, oparłszy się o stół, stał z ramionami, skrzyżowanemi na piersiach, skinął ku niemu zlekka.

— Myślicie, żem się utopił! Nie! Najlepszy pies bogaczy, arystokratów, tych jasnych panów, co umieją tylko gadać i okłamywać lud, jeszcze nie zdechł.

Garibaldino, stojąc nieruchomo, zdawał się poić brzmieniem tego dobrze znanego głosu. Głowa jego poruszyła się raz zlekka, jakby przytakując; ale Nostromo widział dobrze, że starzec nie rozumiał żadnego z jego słów. Żadnego też nie można było zrozumieć; żadne z nich nie zwierzało losu Decouda, jego własnej doli, tajemnicy srebra. Ów doktór był wrogiem ludu — kusicielem...

Potężna postać starego Giorgia drgnęła od stóp do głowy z wysiłku, by opanować wzruszenie, wywołane widokiem człowieka, który tak znał tajemnice jego rodzinnego życia, jakby był rodzonym synem.

— Ufała, że powrócisz — rzekł uroczyście.

Nostromo podniósł głowę.

— Mądra z niej była kobieta. Jakżem mógł nie powrócić?... — Dokończył w myśli: — Skoro mi przepowiedziała ubóstwo, niedolę i nędzę. — Te gniewne słowa Teresy ze względu na okoliczności, w jakich były wyrzeczone, niby krzyk duszy, której nie pozwolono pojednać się z Bogiem, rozbudziły drzemiący zabobon powodzenia osobistego, od którego nawet najwięksi genjusze śród awanturników i ludzi czynu rzadko kiedy są wolni. Oddziaływały one na umysł Nostroma z potęgą przemożnej klątwy. I jakiemże brzemieniem przekleństwa obarczyły go te słowa! Osierociał w tak wczesnym wieku, iż nie pamiętał żadnej innej kobiety, którą zwał matką. Nie poszczęści mu się odtąd w żadnem przedsięwzięciu. Czar już działał. Nawet śmierć będzie go omijała...

Przemówił porywczo:

— Nuże, *viejo!* Dajcie mi coś do zjedzenia. Jestem głodny! *Sangre de Dios!* Od czczości w brzuchu kręci mi się w głowie.

Opuściwszy znów głowę na nagą pierś powyżej skrzyżowanych ramion, stał bosy, podążając z podełba chmurnem spojrzeniem za ruchami starego Violi, co szperał w stołach gospodnich. Wyglądał, jakgdyby istotnie był obarczony przekleństwem — ten odarty ze szczęścia i złowrogi *Capataz.*

Stary Viola wyszedł z ciemnego kąta i nie mówiąc ani słowa, wysypał na stół z swych stulonych garści kilka zeschłych skórek z chleba i połówkę nadwiędłej cebuli.

Z unieruchomionemi z żarłoczności oczyma jął chłonąć *Capataz* tę żebraczą strawę, biorąc kawałek po kawałku. Tymczasem *garibaldino* oddalił się znowu

i przykucnąwszy w innym kącie, napełnił gliniany dzbanek czerwonem winem z oplecionego sitowiem gąsiora. Swobodnym gestem, jak kiedy usługiwał swym gościom w kawiarni, włożył fajkę do ust, by mieć ręce wolne.

Capataz pił chciwie. Lekki nalot rumieńca pogłębił bronzowość jego policzków. Stojąc przed nim, odwrócił Viola swą białą, potężną głowę ku klatce schodowej, wyjął fajkę z ust i przemówił zwolna:

— Kiedy na dole padł strzał, co zabił ją odrazu niby kula, godząca w jej stroskane serce, wzywała ciebie, żebyś ratował dzieci. Ciebie, Gian' Battisto!

Capataz podniósł oczy.

— Czy naprawdę tak wołała, *Padrone?* Żebym ratował dzieci? Są one u angielskiej *seniory*, swej bogatej dobrodziejki. Ej, stary robociarzu! Twa dobrodziejka...

— Jużcić stary — zamamrotał Giorgo Viola. — Pewna Angielka postarała się, iż dano łóżko Garibaldiemu, który był wtedy ranny i znajdował się w więzieniu. Był to największy człowiek wszystkich czasów. Także pochodził z ludu — no, i był marynarzem. Inna Angielka zapewniła mi dach nad głową. *Si*... jestem stary. Trzeba było się zgodzić. Życie trwa niekiedy za długo.

— Ale też ona sama nie miałaby za kilka dni dachu nad głową, gdybym... Co wy na to? Czy powinienem utrzymać dach nad jej głową? Czy powinienem spróbować — i wraz z nią ocalić wszystkich *blanców?*

— Powinieneś — odparł stary Viola mocnym głosem. — Powinieneś, podobnie jak powinienby był mój syn...

— Wasz syn, *viejo!*... Nie będzie nigdy takiego człowieka, jakimby był twój syn. Ha, trzeba spróbować... Ale co będzie, jeśli okaże się to tylko cząstką przekleństwa, żeby mnie zwabić?... No, wzywała mnie, żebym ratował — a potem co?...

— Nie powiedziała już nic więcej. — Bohaterski towarzysz Garibaldiego na myśl o wiekuistej cichości i milczeniu, co spowiły postać, otuloną w całuny na śmiertelnem łożu, odwrócił oblicze i podniósł dłoń do zbróżdżonego czoła. — Umarła, zanim zdążyłem ująć ją za ręce — zabełkotał żałośnie.

Przed rozszerzonemi źrenicami *Capataza*, zapatrzonemi w mrok klatki schodowej, majaczył kształt Wielkiej Izabeli, podobny jakiemuś dziwnemu, skołatanemu okrętowi, co wiezie niezmierzone skarby i jedno samotne życie ludzkie. Niepodobieństwem było dla niego cokolwiek uczynić. Nie można było nikomu zaufać, więc mógł tylko trzymać język za zębami. Skarb prawdopodobnieby przepadł — gdyby Decoud... I myśl jego znagła dobiegła do końca. Pojął, iż nie jest zdolny wyobrazić sobie, co Decoud może uczynić.

Stary Viola nie drgnął. A nieruchomy *Capataz* opuścił swe długie, miękkie rzęsy, co górnej części jego zuchwałej, okolonej czarnym zarostem twarzy nadawały rys kobiecego wdzięku. Milczenie trwało długo.

— Boże, bądź miłościw jej duszy! — szepnął posępnie.

ROZDZIAŁ X

Ranek następnego dnia upłynął spokojnie. Tylko z północy, hen, od strony Los Hatos, dolatywały głuche odgłosy strzelaniny. Kapitan Mitschell przysłuchiwał się im trwożnie ze swego balkonu. „W mem drażliwem położeniu jedynego podówczas agenta konsularnego w tym porcie wszystko, panie, wszystko dawało powód do uzasadnionych obaw“; zwrot ten miał swe miejsce w mniej lub więcej stereotypowej relacji o „historycznych wypadkach“, którą przez parę następnych lat miewał stale na usługi wybitniejszych cudzoziemców, odwiedzających Sulaco. Zkolei następowała wzmianka o godności i neutralności flagi, której tak trudno było ustrzec na jego stanowisku, „w samem sednie tych wydarzeń, między bezprawiem rozbójniczego opryszka, Sotilla, a prawidłowiej zorganizowaną, lecz niemniej okrutną tyranią jego ekscelencji, Dona Pedra Montera“. Kapitan Mitschell nie lubił zbytnio się rozwodzić nad niebezpieczeństwami. Natomiast kładł nacisk na to, że był to dzień pamiętny. Pod wieczór owego dnia zobaczył „tego mojego, biednego chłopca — Nostroma. Był to marynarz, którego odkryłem i który poprostu był mojem dziełem, panie. Wsławił się swą jazdą do Cayty, panie. Dalibóg, historyczne zdarzenie, panie!“

Ceniony w Towarzystwie Oceanicznej Żeglugi Parowej jako stary i oddany urzędnik, kapitan Mitschell osiągnął godnie i wygodnie kres swej użyteczności, stojąc na czele niezmiernie rozwiniętego ruchu służbowego. Rozrost urządzeń, całe zastępy urzędników, biuro w mieście, dawne biuro w porcie, podział na departamenty — podróżniczy, ładowniczy, przewozowy i t. d. — wszystko to pozwoliło mu pod koniec życia spokojniej odetchnąć w odrodzonem Sulaco, stolicy Rzeczypospolitej Zachodniej. Lubiony przez ludność miejscową dla swej dobrotliwości i godności w obejściu, prostoduszny i pełen rozumienia o sobie, znany od lat jako „przyjaciel naszego kraju" — uważał się za niepoślednią osobistość w tem mieście. Wstawał wcześnie, by przejść się po placu targowym, kiedy olbrzymi cień Higueroty padał jeszcze na barwny przepych kwiatów i owoców, piętrzących się stertami na kramach; brał udział sprawach bieżących; utrzymywał stosunki towarzyskie; witał się z paniami na *Alamedzie;* miał wstęp do wszystkich klubów i bywał stale w *Casie Gould* — słowem nader dostojnie i wygodnie wiódł życie starego kawalera, człowieka, rozrywanego w towarzystwach. Zato w dnie, kiedy przybywały pocztowce, już wczesnym rankiem płynął do Biura Portowego swym własnym *gigem*, którego załoga przybrana była w barwy białe i błękitne, by przyjąć i odprawić okręt, skoro tylko pojawiał się we wrotach przystani.

Biuro Portowe bywało tem miejscem, do którego miał zwyczaj prowadzić uprzywilejowanego podróżnego. Przywiózł go swą łodzią i zapraszał, by spoczął na chwilę, zanim nie podpisze kilku papierów. Siedząc

u swego pulpitu, kapitan Mitschell nie przerywał uprzejmej pogawędki:

— Niewiele mamy czasu, jeżeli pan chce zobaczyć wszystko w jeden dzień. Wyjdziemy za chwilę. Zjemy śniadanie w *Klubie Amarilli* — chociaż należę także do Anglo-Amerykańskiego Klubu inżynierów górniczych i *businessmenów*, który pan zna — i do wszelakich klubów angielskich, francuskich i włoskich: — przeważnie mili, młodzi chłopcy, którzy zechcieli uczcić starego rezydenta, panie. Ale śniadanie zjemy w *Amarilli*. Sądzę, że zajmie pana. Osobliwość tego kraju! Ludzie z najznakomitszych rodzin. Bywa tam nawet prezydent Rzeczypospolitej Zachodniej. Na *patio* starożytny, piękny biskup z obłamanym nosem. Mojem zdaniem, cenny zabytek sztuki rzeźbiarskiej. *Cavaliere* Parochetti — pan zna Parochettiego, słynnego rzeźbiarza włoskiego? — pracował tu dwa lata — cenił wielce naszego starego biskupa. No! Jestem już w zupełności do pańskich usług.

Dumny ze swej znajomości rzeczy, przeniknięty poczuciem historycznej ważności ludzi, zdarzeń i budynków, mówił z namaszczeniem, urywanemi okresami, wymachując zlekka swem krótkiem, grubem ramieniem, by nic „nie uszło uwagi“ jego uprzywilejowanego jeńca.

— Jak pan widzi, buduje się mnóstwo. Przed odpadnięciem była to płaszczyzna, porośnięta zeschłą trawą i nurzająca się w obłokach kurzu. Przecinała ją drożyna, którą zaprzągnięte wołami wozy jeździły do naszej przystani. Nic więcej. Oto brama Portowa. Malownicza, nieprawdaż? Dawniej urywało się tu miasto. Wyjeżdżamy teraz na *Calle de la Constitution.* Proszę przyjrzeć się starym, hiszpańskim domom. Co za do-

stojność. Eh? Sądzę, iż wygląda obecnie tak samo, jak za czasów wicekrólów, z wyjątkiem bruku. Mamy teraz drewniany. Tam — Narodowy Bank Sulacki z budkami strażniczemi po obu stronach bramy. Po tej stronie *Casa Avellanos.* Wszystkie okiennice na dole pozamykane. Mieszka w niej przedziwna kobieta — panna Avellanos — piękna Antonja. Co to za charakter, panie! Historyczna kobieta! Naprzeciw — *Casa Gould.* Szlachetna brama wjazdowa. Tak, to ci Gouldowie z koncesji Gouldów, znanej obecnie całemu światu. Mam siedmnaście akcyj, po tysiąc dolarów każda, Zjednoczonych Kopalń San Tomé. Drobne to oszczędności całego mojego życia, ale wystarczą na wygodne utrzymanie, gdy trzeba będzie ustąpić z urzędu. Jak pan widzi, urządziłem już sobie mieszkanie na parterze. Don Carlos, to mój wielki przyjaciel. Siedmnaście akcyj — wcale ładny spadek pozostanie po mnie! Mam siostrzenicę — poślubiła duchownego — bardzo godny człowiek, proboszcz małej parafji w Sussex; dzieci bezliku! Nigdy nie byłem żonaty. Marynarz powinien zaprzeć się siebie. Stojąc pod tą oto bramą z kilkoma młodymi inżynierami, co gotowali się do obrony domu, w którym nie szczędzono im nigdy łaskawości i gościnności, widziałem pierwszy i ostatni atak jeźdźców Pedrita na wojska Barriosa. Zdobyły już one Bramę Portową. Monteryści nie zdołali się oprzeć nowym karabinom, sprowadzonym przez tego biednego Decouda. Ogień był zabójczy. W okamgnieniu zawaliły ulicę stosy trupów ludzkich i końskich. Nie uderzyli już po raz drugi.

I przez cały dzień rozwodził się kapitan Mitschell w podobny sposób przed swą mniej lub więcej chętną ofiarą:

— *Plaza.* Uważam ją za wspaniałą. Dwa razy większa od *Trafalgar Square.*

Stojąc pośrodku w pałających blaskach słonecznych, pokazywał budowle:

— *Intendencia*, obecnie pałac prezydenta — *Cabildo*, miejsce obrad Niższej Izby Parlamentu. Widzi pan te nowe domy po tamtej stronie *Plazy?* To *Compania Anzani*, wielkie składy, coś w rodzaju naszych kooperatyw. Stary Anzani zginął z rąk gwardzistów narodowych, zasłaniając własnem ciałem swą ogniotrwałą kasę. Za tę to właśnie zbrodnię poseł Gamacho, komendant gwardzistów, dzikie i krwiożercze bydlę, został publicznie stracony na zasadzie wyroku sądu doraźnego, utworzonego przez Barriosa. Siostrzeńcy Anzaniego zamienili to przedsiębiorstwo w spółkę akcyjną. Cała ta strona *Plazy* spaliła się; miała dawniej kolumnadę. Ogień był straszliwy. Widziałem przy jego łunie ostatek walki; *llanerosowie* pierzchali, gwardziści rzucali broń, a górnicy z San Tomé, wszyscy Indjanie ze *Sierry*, walili niby odmęt przy dźwiękach piszczałek i cymbałów. Wiały zielone chorągwie nad tą dziką tłuszczą ludzi w białych *ponchach* i zielonych kapeluszach. Szli pieszo, gnali na osłach i mułach. Czegoś podobnego nie widziałem, jak żyję. Górnicy ruszyli na miasto pod wodzą Dona Pépégo, który wiódł ich, siedząc na swej karej szkapie. Baby ich śród poryku osłów dodawały im krzykiem otuchy i biły w tamburyna. Pamiętam, że jedna z tych kobiet miała na ramieniu zieloną papugę, co siedziała tak spokojnie, jakby była wykuta z kamienia. Zdążyli jeszcze ocalić swego *seniora Administradora;* bowiem Barrios, aczkolwiek odrazu, jeszcze w nocy, zarządził atak, byłby przybył za późno. Pedrito Montero kazał

już wyprowadzić Dona Carlosa na miejsce rozstrzelania — to samo, na którem przed laty padł jego wuj — i omal — jak później wyraził się Barrios — „Sulaco nie było warte, żeby bić się o nie“. Sulaco bez koncesji byłoby niczem. I oto po całym obszarze gór rozmieszczono mnóstwo beczek dynamitu, połączonych przewodnikami, a stary ksiądz, ojciec Roman, stał wpogotowiu, by unicestwić kopalnię San Tomé na pierwszą wieść o klęsce. Don Carlos uwziął się, by nie pozostawić nic po sobie, i umiał sobie dobrać odpowiednich ludzi.

Tak mawiał kapitan Mitschell pośrodku *Plazy*, trzymając nad głową białą parasolkę o zielonem podszyciu; natomiast wewnątrz katdery, gdzie w chłodnej atmosferze mroku unosiły się nikłe wyziewy kadzideł i klęczały w bieli lub czerni postacie kobiece z zasłoniętemi twarzami, przyciszony jego głos stawał się uroczystym i przenikliwym.

— Tu — mówił, pokazując wnękę w ścianie mrocznej nawy — widzi pan popiersie Dona Josego Avellanosa, „patrjoty i męża stanu“, jak powiada napis, „ministra pełnomocnego przy dworach angielskim, hiszpańskim i t. d., i t. d., który zmarł w borach Los Hatos, złamany długoletnią walką o Prawo i Sprawiedliwość, w przededniu Nowej Ery“. Ogromne podobieństwo! Dzieło Parochettiego wedle kilku starych fotografij i szkicu ołówkowego Mrs. Gould. Znałem dobrze tego znakomitego Hiszpano-Amerykanina dawnego pokoju, prawdziwego *Hidalga*, kochanego przez wszystkich, którzy z nim się zetknęli. Medaljon marmurowy w stylu antycznym, przedstawiający kobietę w siedzącej postawie, z zasłoniętą twarzą i załamanemi na kolanach rękami, wmurowano na pamiątkę tego nieszczęśliwego

młodego gentlemana, co wypłynął z Nostromem owej fatalnej nocy. Niech pan popatrzy! „Pamięci Martina Decouda jego narzeczona, Antonja Avellanos". Prosto, skromnie, szlachetnie. Oto ona we własnej osobie! Wyjątkowa kobieta. Mylili się ci, którzy myśleli, że podda się rozpaczy. Ganiono ją gdzie niegdzie, iż nie przyoblokła szaty zakonnej. Spodziewano się tego po niej. Ale *Donia* Antonja nie jest z tej gliny, z której lepi się zakonnice. Biskup, Corbelàn, jej wuj, mieszka wraz z nią w rodowym pałacu Corbelànów. Zawzięty z niego kapłan; użera się nieustannie z rządem o dawne, kościelne włości i klasztory. Sądzę, że w Rzymie mają go na oku. Przejdziemy teraz *Plazę* i pójdziemy do *Klubu Amarilli*, żeby coś przekąsić.

Tuż za obrębem katedry, jeszcze u szczytu szlachetnie zbiegających wdół schodów, głos jego wzbierał pompatycznie, a ramię rozpoczynało swe huśtające ruchy.

— Tam, nad temi francuskiemi sklepami o wielkich oknach wystawowych, mieszczą się na pierwszem piętrze biura *Porvenira*; jest to największy nasz dziennik. Konserwatywny, lub jeśli tak rzec można, parlamentarny. Mamy stronnictwo parlamentarne, na którego czele stoi obecny prezydent państwa, Don Juste Lopez; mojem zdaniem, bardzo rozumny człowiek. Pierwszorzędny intelekt, panie! Opozycyjne stronnictwo demokratyczne opiera się — co muszę zaznaczyć ze smutkiem — na socjalistach włoskich, na ich tajnych stowarzyszeniach, *camorach* i tym podobnych organizacjach. Osiedliło się tu mnóstwo Włochów na gruntach kolejowych — odprawionych palaczy, maszynistów, a wszyscy skupili się wzdłuż głównej linji kolejowej. Mamy całe wsie włoskie na *Campo*. A ludność miej-

scowa wchodzi również na te same drogi... *American bar?* Tak jest. A tam dalej zobaczy pan drugi. Głównie uczęszczany przez przybyszów z New Yorku... No, jesteśmy w *Klubie Amarilli.* Niech pan przyjrzy się temu biskupowi u podnóża schodów, na prawo od wejścia.

Śniadanie odbywało się sutym i swobodnym trybem przy małym stoliku na galerji. Kapitan Mitschell rozdzielał skinienia głowy i ukłony. Wstawał co chwila, by pomówić z różnymi urzędnikami w czerni, kupcami w żakietach, oficerami w mundurach, *caballerami z Campa* — z których jedni byli bladzi, drobni i nerwowi, drudzy spokojni, otyli i śniadzi — z Europejczykami i Amerykanami z Północy, których twarze odznaczały się mocno swą białością od większości ciemnych cer i skrzących oczu.

Kapitan Mitschell rozpierał się następnie w swem krześle, wodził dokoła zadowolonem spojrzeniem i podawał przez stół szkatułkę, napełnioną grubemi cygarami.

— Proszę spróbować tego zielska przy kawie. Miejscowy tytoń. Takiej czarnej kawy, jaką podają w *Klubie Amarilli*, nie dostanie pan nigdzie na świecie. Ziarno otrzymujemy z słynnej *cafeterii* u podnóża wzgórz. Właściciel jej przysyła co roku swym kolegom z Klubu trzy worki w darze na pamiątkę walki, którą z tych oto okien toczyli *caballeros* przeciwko gwardzistom Gamacha. Był on wtedy w mieście i brał w niej udział do samego końca. Przywożą ją trzema mułami — nie zaś, jak zwykle, koleją — wprost na *patio*, pod eskortą konnych *peonów.* Prowadzi ich *Mayoral* [1]) jego majętności, który wchodzi na schody w butach i z ostro-

---

[1]) Rządca.

gami, poczem doręcza formalnie ten dar naszemu zarządowi, wymawiając słowa: — Na pamiątkę tych, którzy padli trzeciego maja. — Nazywamy ją kawą *Trés de Mayo*. Proszę jej skosztować.

Kapitan Mitschell z takim wyrazem twarzy, jakby gotował się do wysłuchania kazania w kościele, podnosił małą filiżankę do ust. W błogiem milczeniu wysączał nektar do dna, pogrążony w obłokach dymu ze swego cygara.

— Niech pan spojrzy na tego pana w czerni, co właśnie wychodzi! — zaczynał, pochylając się śpiesznie. — To słynny Hernandez, minister wojny. Umyślny korespondent *Timesów*, który napisał szereg nadzwyczaj zajmujących listów o Rzeczypospolitej Zachodniej, nazywając ją „skarbcem świata", poświęcił cały artykuł jemu i utworzonej przezeń formacji wojskowej. Są to wznowieni karabinierzy *Campa*.

Gość kapitana Mitschella, spoglądając ciekawie, dostrzegał postać w długim, czarnym surducie, co kroczyła z powagą, opuściwszy powieki. Twarz miała podłużną i spokojną, brwi, zarysowane poziomo, i śpiczastą głowę, której siwe włosy, przerzedzone u czuba i przyczesane ze wszystkich stron starannie, spadały zafryzowane na kark i ramiona. Więc to był ów słynny bandyta, który zaciekawiał Europę! Gdy wkładał na głowę *sombrero* o wysokiem denku i płaskiej, szerokiej kresie, widać było różaniec z drewnianych pereł, co okręcał przegub jego prawej ręki. A kapitan Mitschell mówił dalej:

— To opiekun zbiegów, co uszli z Sulaca przed wściekłością Pedrita. Jako generał kawalerji pod dowództwem Barriosa wsławił się zdobyciem Tonora, gdzie padł trupem *senior* Fuentes i wyginęły ostatnie

resztki monterystów. Jest on przyjacielem i pokornym sługą biskupa Corbelàna. Bywa na trzech mszach codziennie. Zakładam się z panem, iż idąc do domu, wstąpi po drodze do kościoła, by odmówić modlitwę.

Milknął i zaciągał się kilka razy dymem ze swego cygara; poczem w właściwy sobie sposób, pełen powagi, oświadczał:

— Rasa hiszpańska jest płodna i wyróżnia się swym charakterem we wszystkich dziedzinach życia. Możebyśmy przeszli teraz do sali bilardowej, gdzie jest chłodno i można gawędzić spokojnie? Nie bywa tam nikt przed piątą. Mogę panu opowiedzieć zdumiewające epizody z rewolucji, która zakończyła się utworzeniem nowego państwa. Gdy największy skwar minie, wybierzemy się na *Alamedę*.

Program dokonywał się dalej z nieodmiennością prawa przyrody. Przechadzka po *Alamedzie* odbywała się zwolna i dawała sposobność do pompatycznych spostrzeżeń.

— Bywa tu cały, wielki świat. — Kapitan Mitschell poczynał się kłaniać bez końca w prawo i w lewo, poczem odzywał się z ożywieniem: — *Donia* Emilja. Powóz Mrs. Gould. Niech pan spojrzy! Zawsze białe muły. Najmilsza i najbardziej urocza kobieta, jaka kiedykolwiek żyła na ziemi. Wielkie stanowisko, panie! Wielkie stanowisko. Najpierwsza dama w Sulaco — nawet małżonka prezydenta jej nie dorównywa. I warta tego! — Zdejmował kapelusz, poczem, zmieniając umiejętnie ton głosu, dorzucał niedbale, iż siedzący obok niej pan w czerni, w wysokim, białym kołnierzyku i z obliźnioną, chmurną twarzą, to dr. Monygham, inspektor szpitali państwowych i lekarz główny Zjednoczonych Kopalń San Tomé. — Przyjaciel domu. Wiecznie

tam przesiaduje. Nic dziwnego. Wszystko zawdzięcza Gouldom. Bardzo mądry człowiek, lecz nie lubiłem go nigdy. I nikt go nie lubi. Pamiętam, jak sztykutał po ulicach w kraciastej koszuli i chłopskich kierpciach z melonem pod pachą. Było to jedyne jego całodzienne pożywienie. Teraz gruba ryba, panie, a wstrętny jak dawniej. Coprawda... Niepopobna zaprzeczyć, iż spisał się świetnie w swoim czasie. Ocalił nas wszystkich od tej śmiertelnej zmory, od Sotilla, co innemu nie byłoby się udało...

Podniósł ramię.

— Posąg konny, który stał dawniej na tym piedestale, usunięto. Był anachronizmem — tłumaczył kapitan Mitschell zagadkowo. — Istnieje zamiar, by go zastąpić pamiatkową kolumną z marmuru, z aniołami pokoju po czterech rogach i bronzowym, pozłacanym posągiem Sprawiedliwości, dzierżącej wagę, u szczytu. Uproszono *Cavaliera* Parochettiego, iż sporządził rysunek, który może pan obejrzeć pod szkłem w sali posiedzeń rady miejskiej. Dokoła podstawy mają być wyryte nazwiska. Ano, należałoby zacząć przedewszystkiem od nazwiska Nostroma. Uczynił on dla sprawy separacji więcej niż kto inny i — dodawał kapitan Mitschell — otrzymał za to mniej od wielu innych. — Siadał na ławie kamiennej pod drzewem i zapraszał skinieniem gościa, by zechciał zająć obok niego miejsce. — Zawiózł on Barriosowi listy ze Sulaca. Skłoniły one tego generała do opuszczenia Cayty i do przybycia nam na pomoc morzem. Na szczęście, transportowce znajdowały się jeszcze w przystani. Panie, nie wiedziałem wcale, iż mój *Capataz de Cargadores* żyje. Nie miałem o tem pojęcia. Dr. Monygham spotkał go przypadkiem w Urzędzie Cłowym, opuszczonym na jaką godzinę przedtem przez tego przeklętego Sotilla. Nikt mi nic nie powiedział — nie uczynił żadnej

przede mną wzmianki jakbym był niegodny zaufania. Monygham zajął się wszystkiem. Poszedł do remiz kolejowych i uzyskał dostęp do inżyniera naczelnego, który raczej ze względu na Gouldów, niż na kogo innego, zgodził się wypuścić lokomotywę, wiozącą Nostroma. Był to jedyny sposób, by go wyprawić z miasta. Pędząc po torze kolejowym, ujechał sto ośmdziesiąt mil. W obozowisku robotniczem u końca linji kolejowej zaopatrzono go w konia, broń i nieco odzieży. Sam wybrał się w drogę. Ujechał czterysta mil w przeciągu sześciu dni, pędząc, co koń wyskoczy, przez zawichrzony kraj, i uwieńczył swe dzieło, przedzierając się przez szeregi monterystowskie, osaczające Caytę. Dzieje tej wyprawy mogłyby utworzyć niezmiernie zajmującą książkę. Wiózł istnienie nas wszystkich w swej kieszeni. Nie mam słów na oddanie jego poświęcenia, odwagi, wierności i inteligencji. Był przytem nieprzekupny i nieustraszony. Trzeba było człowieka, któryby wiedział, w jaki sposób dać sobie radę. I oto on był tym człowiekiem. Piątego maja, będąc w istocie rzeczy uwięzionym w Biurze Portowem mojego Towarzystwa, z remiz kolejowych, oddalonych o jakie ćwierć mili, usłyszałem nagle świst lokomotywy. Nie wierzyłem własnym uszom. Wybiegłem na balkon i ujrzałem, iż z wrót remizy wytacza się lokomotywa, ziejąca pióropuszem pary, skwiercząca przeraźliwie i spowita białym obłokiem. Zatrzymała się tuż obok gospody starego Violi. Jakiś człowiek, którego nie mogłem rozróżnić, wybiegł z *Albergo d'Italia Una* i wpadł do wnętrza parowozu, który jakby odskoczył od tego domostwa i zwiał w okamgnieniu. Jakby ktoś świecę zgasił, panie! Lokomotywą kierował widocznie pierwszorzędny maszynista. Gwardziści narodowi ostrzeli-

wali ją rzęsiście w Rincon oraz innych miejscowościach. Na szczęście szyn nie pozrywano. W cztery godziny dotarli do obozowiska robotników, budujących tor kolejowy. Nostromo postawił na swojem... Resztę pan wie. Proszę rzucić okiem dokoła siebie. Oto na tej *Alamedzie* widzi pan ludzi, co jeżdżą powozami i są jeszcze żywi tylko dzięki temu, iż przed laty na przodownika naszej ładowni przyjąłem zbiegłego marynarza włoskiego poprostu z powodu bystrości jego spojrzenia. Proszę to zważyć. Pominąć tego nie można. Siedmnastego maja, to znaczy w dwanaście dni potem, jak ujrzałem owego człowieka, co wybiegł z *Casy Viola* i wpadł do lokomotywy, transportowce Barriosa wpływały do tutejszego portu i „skarbiec świata", jak korespondent *Times'ów* nazywa Sulaco w swej książce, ocalał nietknięty dla cywilizacji i dla jej przyszłości. Pedrito, naciskany przez Hernandeza od zachodu, a przez górników z kopalni San Tomé od bramy lądowej, nie mógł przeszkodzić wylądowaniu. Przez tydzień posyłał do Sotilla, żeby się z nim połączył. Gdyby Sotillo był to uczynił, byłyby nastąpiły rzezie i prześladowania, co nie oszczędziłyby nikogo z pośród osób, zajmujących w społeczeństwie wybitniejsze stanowiska. Ale w tej chwili dr. Monygham pojawił się na widowni. Sotillo, ślepy i głuchy na wszystko, nie ruszał się z pokładu swego parowca, poszukując srebra, które w jego mniemaniu spoczywało na dnie przystani. Opowiadano mi, że przez ostatnie trzy doby był poprostu nieprzytomny, szalał i pienił się z rozczarowania, że nic nie znajduje, latał po pokładzie i miotał przekleństwami ku szukającym łodziom, raz każąc im powracać, to znów nagle tupiąc nogą i wykrzykując: — A jednak ono jest tam! Widzę je! Czuję je!

Poczynił już przygotowania, by powiesić dr. Monyghama (którego miał na pokładzie), gdy wtem nadpłynął pełną parą transportowiec Barriosa, należący do naszej floty, i ocierając się niemal swym bokiem o jego okręt, jął ziać bez powitania i układów ogniem karabinowym. Była to niespodzianka, wprost niesłychana. Zbyt narazie potracili głowy, by się opierać. Ludzie walili się na prawo i na lewo jak kręgle. Jakimś istnym cudem dr. Monygham, który stał już pod masztem z powrozem na szyi, uszedł cało, chociaż miał odzież na sobie podziurawioną jak reszoto. Opowiadał mi później, iż uważał siebie za straconego i wrzeszczał, co sił mu starczyło: — Wywiesić białą flagę! Wywiesić białą flagę! — Wtem jakiś stary major z pułku Esmeraldy, co stał obok, dobył szabli i z krzykiem: — Giń, wiarołomny zdrajco! — przebił Sotilla nawylot, lecz tejże samej chwili padł, ugodzony kulą w głowę.

Kapitan Mitschell milkł na chwilę.

— Ej, panie! Mógłbym jeszcze opowiadać panu całemi godzinami. Ale czas już, żebyśmy pojechali do Rincon. Nie wypada, żeby pan był w Sulaco i nie widzial świateł z kopalni San Tomé. Cała góra pała niby oświecony pałac nad ciemnem *Campem*. To bardzo modna przejażdżka... Ale opowiem panu pewną, niewielką anegdotkę; ot, żeby dać wyobrażenie panu. W jakieś dwa tygodnie potem, jak Barrios, mianowany *generalissimusem*, podążył za Pedritem w pościg na południe, jak tymczasowa *Junta* z Donem Justem Lopezem na czele ogłosiła nową konstytucję, zaś nasz Don Carlos Gould pakował kufry, wysłany w poselstwie do San Francisco i Waszyngtonu (Stany Zjednoczone, panie, były pierwszem, wielkiem mocarstwem,

które uznało Rzeczpospolitą Zachodnią) — otóż w jakieś dwa tygodnie po tem wszystkiem, gdyśmy już poczynali czuć, że głowy nasze są bezpieczne na naszych karkach — zaszedł do mnie w interesie pewien wybitny przedsiębiorca okrętowy i na samym wstępie powiada: — Kapitanie Mitschellu, czy ten hultaj (miał na myśli Nostroma) jest jeszcze *Capatazem* pańskich *Cargadorów*, czy nie? — O cóż chodzi? — pytam. — Bo jeżeli nim jest, to już niczego nie rozumiem. Nieraz już wysyłałem i odbierałam ładunki za pośrednictwem pańskich okrętów. Otóż zauważyłem, iż już od kilku dni wałęsa się on jak żebrak dokoła ładowni i co tylko najspokojniej zaczepił mnie, prosząc o cygaro. Trzeba panu wiedzieć, że palę cygara tylko w najlepszym gatunku i nie przychodzą mi one tak łatwo, jakby się komuś zdawało. — Sądzę, że znalazł się pan w kropce? — rzekłem bardzo łagodnie. — Jużcić. Lecz jest to zawstydzające natręctwo. Wiecznie ci hultaje, naprzykrzający się o coś do palenia! — Panie, odwróciłem oczy, a potem spytałem: Czy nie był pan więziony w *Cabildo*? — Przecież pan wie bardzo dobrze, że byłem więziony i nawet zakuty — odpowiada. — I musiał pan złożyć kaucję piętnastu tysięcy dolarów? — Poczerwieniał panie, ponieważ się okazało, iż mdlał ze strachu, kiedy przyszli go aresztować, a przed Fuentesem zachowywał się w ten sposób, że z jego uniżoności uśmiechał się nawet *policianos*, który go zawlókł tam za kark. — Tak jest — rzekł jakby onieśmielony. — No, i cóż? — Oh, nic. — Omal, że pan nie stracił tłustego połcia, nawet gdyby pan był uszedł cało... Ale czem mogę służyć panu? — Nie zdołał połapać się do ostatka, o co mi chodziło. Ani dudu! Jakiemi to drogami świat chodzi, panie!

Podnosił się z miejsca nieco sztywnie. Podczas przejażdżki do Rincon nieubłagany *cicerone* zdobywał się tylko na jedno spostrzeżenie filozoficzne, wygłaszane z oczyma, utkwionemi w światła kopalni San Tomé, co wyglądała niby zawieszona śród ciemnej nocy między ziemią a niebem.

— Wielka to potęga, panie! Może zrobić dużo dobrego i dużo złego. Ogromna potęga!

I zajeżdżało się do Klubu *Mirliflores*, słynnego z doskonałej kuchni. W umyśle przejezdnego pozostawało wrażenie, iż w Sulaco musi być dużo wesołej, zamożnej młodzieży, która ma za wiele pieniędzy do wyrzucenia, i że śród niej są i tacy Anglo-Saksonowie, co to umieją od swego lubego gościa „wykręcić się sianem“, jeśli tak rzec można.

Na zakończenie jechało się do przystani szybko i hałaśliwie dwukolną powózką (którą kapitan Mitschell nazywał biedką), zaprzężoną w chudego i rączego muła, którego nieustannie batożył gorliwy woźnica, neapolitańczyk. Biedka zatrzymywała się przed oświeconemi biurami Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej, których nie zamykano do późna, czekając na odjazd parowca, Bywało to zakończeniem — acz jeszcze niezupełnem.

— Jest dziesiąta. Okręt pański nie odpłynie wcześniej, niż o wpół do dwunastej, jeśli zdąży. Proszę do mnie na *brandy-and-soda* i jeszcze jedno cygaro.

W prywatnem mieszkaniu dostojnika portowego uprzywilejowany podróżny *Cerery*, *Junony* lub *Pallady* słupiał i, jeśli tak rzec można, nicestwiał duchowo pod nagłym nawałem poglądów, brzmień, nazwisk i faktów. Nieprzetrawionym należycie, a niezmiernie zawiłym wiadomościom przysłuchiwał się niby znu-

żone dziecko czarownej bajce. Słyszał głos, poufały i zastanawiający swą pompatycznością, co brzmiał jakby z innego świata, opowiadając mu, iż „w tej oto przystani“ odbyła się międzynarodowa demonstracja morska, co położyła kres wojnie między Costaguaną a Sulaco. Krążownik Stanów Zjednoczonych, *Powhattan*, pierwszy oddał honory fladze Państwa Zachodniego — białej, z oplotem zielonych laurów pośród kul, co okalały żółty kwiat amaryli. Generał Montero, który ogłosił się cesarzem Costaguany, zginął niespełna miesiąc później (podczas publicznej uroczystości rozdawnictwa krzyży i odznaczeń) od kuli pewnego młodego oficera artylerji, brata swej utrzymanki.

— Przemierzły Pedrito, panie, uciekł z kraju — brzmiał głos. I mówił w dalszym ciągu: — Pewien kapitan jednego z naszych statków opowiadał mi niedawno, iż widział Pedrita, *Guerrillera*. Przystrojony w purpurowe papucie i welwetową czapeczkę ze złotym chwastem, pełnił on obowiązki gospodarza w publicznym domu, znajdującym się w jednem z południowych miast portowych.

— Przemierzły Pedrito? U licha, któż to taki? — dziwił się ptak przelotny, ważąc się między snem a jawą z niejakiem, lecz uprzejmem skrzywieniem ust, z których wysterczał niedopałek ośmnastego czy dwudziestego cygara, święcącego ten pamiętny dzień.

— Ukazał mi się w tym oto pokoju niby jakiś upiór — opowiadał kapitan Mitschell o swym Nostromie ze szczerą tkliwością uczucia i odcieniem wiele mówiącej dumy. — Może pan sobie wyobrazić, jakiego doznałem wrażenia. Oczywiście przybył tu z Barriosem okrężną drogą, morzem. Pierwszą zaś rzeczą, której od niego się dowiedziałem, było, iż zdołał po-

chwycić łódź przewozowca, unoszącą się na falach zatoki. Był wstrząśnięty do głębi tym wypadkiem. I był to wypadek istotnie niezwyczajny, jeżeli się zważy, że upłynęło już szesnaście dni od zatopienia srebra. Zauważyłem odrazu, że stał się innym człowiekiem. Patrzał tak na ścianę, jakby po niej łaził pająk, lub coś podobnego. Strata srebra wywołała zaburzenia w jego umyśle. Zapytał mnie odrazu, czy *Donia* Antonja wie już o śmierci Decouda. Głos jego drżał. Odpowiedziałem na to, iż *Donia* Antonja nie zdążyła jeszcze powrócić do miasta. Biedna dziewczyna! I właśnie chciałem go zagadnąć o tysiące różnych rzeczy, gdy z nagłem: — Przepraszam, *senior*! — drapnął mi z biura. Nie widziałem go potem ze trzy dni. Trzeba panu wiedzieć, że byłem ogromnie zajęty. Jak się zdaje, wałęsał się po mieście, a nocami sypiał w barakach kolejarzy. Okazywał najzupełniejszą obojętność na to, co się działo. Zapytałem go raz na pomoście: — Kiedyż pan znowu zabierze się do pracy, Nostromo? *Cargadorzy* mają obecnie dużo do czynienia.

— *Senior* — powiedział, patrząc na mnie ospałym, badawczym wzrokiem — czy to pana zdziwi, gdy powiem, że czuję się jeszcze nazbyt znużonym, by zabierać się do pracy? I co ja mogę teraz robić? Czy będę śmiał spojrzeć moim *Cargadorom* w oczy po stracie przewozowca?

Prosiłem go, by już nie myślał o srebrze; uśmiechnął się. Uśmiech ten przeniknął mi do serca, panie! — To nie było zaniedbanie — powiedziałem mu. — To była fatalność, a na nią niema rady. — *Si, si* — odparł i odwrócił się. Pomyślałem, iż będzie najlepiej pozostawić go samego, żeby z tem się uporał. Byłem obecny przy jego rozmowie z Donem Carlosem. Trzeba

panu wiedzieć, iż Gould jest człowiekiem raczej oziębłym. Przez tyle lat musiał trzymać w karbach swe uczucia, mając do czynienia z łotrami i złodziejami, narażony nieustannie na zgubę własną i swej żony, iż chłód stał się drugą jego naturą. Patrzyli wzajem na siebie długo. Don Carlos w właściwy sobie, spokojny i oględny sposób spytał go, co może uczynić dla niego.

— Moje nazwisko jest znane od jednego krańca Sulaca do drugiego — odparł z równym spokojem. — Cóż więcej może pan uczynić dla mnie? — I na tem narazie się skończyło. Coprawda, kiedy później nadarzyła się sposobność nabycia bardzo pięknego *schoonera* przybrzeżnego, porozumiałem się z Mrs. Gould; kupiliśmy ten statek i ofiarowaliśmy mu go. Ale spłacił go nam w całości w przeciągu trzech lat. Począł nim krążyć, robiąc interesa wzdłuż całego, tutejszego wybrzeża. Nadomiar temu człowiekowi szczęściło się zawsze we wszystkiem, prócz ocalenia tego srebra. Biedna *Donia* Antonja rozmawiała z nim również, mając jeszcze w pamięci straszliwe przejścia w borach Los Hatos. Chciała się dowiedzieć wszystkiego o Decoudzie: co mówili, co robili, co myśleli do ostatniej chwili tej nieszczęsnej nocy. Mrs. Gould mówiła mi, że jego zachowanie się było ogromnie spokojne i sympatyczne. Panna Avellanos zalała się łzami, gdy dowiedziała się od niego, jakoby Decoud miał się wyrazić, iż jego plan będzie uwieńczony chlubnem powodzeniem... I nie ulega już wątpliwości, że trafnie przewidywał. Powodzenie jest zupełne.

Program był wreszcie bliski końca. I kiedy uprzywilejowany podróżnik, drżąc z rozkosznego przeczucia swego wyraju, zapominał zadać sobie pytanie: — Na

czemże polegał ów plan Decouda? — kapitan Mitschell dopowiadał słowa: — Żałuję, że tak rychło rozstać się musimy. Dzięki pańskiemu, inteligentnemu zainteresowaniu przeżyłem miły dzień. Zobaczymy się jeszcze przy stole. Poznał pan potroszę „skarbiec świata". Bardzo udatna nazwa. — Głos *coxswaina*, który oznajmiał ode drzwi, że *gig* jest gotów, zwiastował ostateczne zakończenie całodziennego programu.

Nostromo znalazł istotnie łódź przewozowca, która pozostała z Decoudem na Wielkiej Izabeli. Unosiła się pusta na wodach zatoki. Znajdował się on podówczas na pomoście pierwszego transportowca Barriosa; statek ten był oddalony o jaką godzinę drogi od Sulaca. Barrios, który miał zawsze upodobanie do zuchwałych czynów i oceniał trafnie odwagę, polubił wielce *Capataza*. Płynąc dokoła wybrzeża, generał nie puszczał Nostroma od siebie i zwracał się do niego często w nagły i nieuskromiony sposób, co bywało u niego oznaką wielkiej łaskawości.

Oczy Nostroma dostrzegły pierwsze zdala od dziobu okrętowego nikłą, pierzchliwą, ciemną plamę, co mając za sobą zwały trzech Izabel, ukazała się samotnie na wygładzonem, rozmigotanem pustkowiu zatoki. Bywają chwile, kiedy nie można zbywać lekceważeniem żadnego, bodaj najdrobniejszego szczegółu; warto zatem było zbadać, co oznaczała ta łódka, błąkająca się zdala od brzegu. Na skinienie Barriosa transportowiec zboczył z swej drogi i podpłynął dość blisko, by można było zobaczyć, iż niema nikogo w tej małej łupinie. Było to najzwyczajniejsze czółno, puszczone luzem, z wiosłami we środku. Ale Nostromo, który całemi dniami miał nieustannie przed oczyma duszy postać

Decouda, zapłonął podnieceniem, gdyż poznał odrazu łódź przewozowca.

Nie mogło być mowy o zatrzymaniu się dla wyłowienia takiej drobnostki. Żadna minuta nie była bez znaczenia dla istnienia i przyszłości całego miasta. Komendant przodującego okrętu, z generałem na pokładzie, nawrócił znów na pierwotną drogę. Za nim podążyła pośpiesznie flota transportowców, rozwleczona na przestrzeni jakiej mili niby ogon morskiego dziwotworu, czerniąc się i dymiąc na tle zachodniego nieba.

— *Mi general* — zabrzmiał donośny, lecz spokojny głos Nostroma z poza gromadki oficerów. — Chciałbym uratować tę łódkę. *Por Dios*, znam ją. Należy do Towarzystwa, w którego jestem służbie.

— A pan, *por Dios*, należy do mnie — burczał Barrios hałaśliwym i rozbawionym głosem. — Mam zamiar mianować pana kapitanem kawalerji, skoro tylko dorwiemy się jakich takich koni.

— Lepiej pływam niż jeżdżę konno, *mi general* — wołał Nostromo, przeciskając się ku poręczy z ciemnemi błyskami w oczach. — Chciałbym...

— Chciałbyś pan? Dowcipny z pana cacaniec! — pokpiwał jowjalnie generał, nie patrząc nawet na niego. — Chciałby mi dać do zrozumienia, że nie zdobędziemy Sulaca bez niego! Ha, ha, ha! A możeby pan puścił się do niej wpław, mój chłopcze?

Okrzyk przerażenia, co przewiał od jednego krańcu do drugiego, powściągnął jego zrzędzenie. Nostromo skoczył przez poręcz w morze; czarna jego głowa chybotała się na toni już daleko od okrętu. Generał mruknął struchlałym ze zgrozy głosem: — *Cielo!* Co ja grzeszny zrobiłem! — Dość jednak było jednego, trwoż-

nego spojrzenia, by zdał sobie sprawę, iż Nostromo płynie bez żadnego wysiłku. Huknął zatem groźnym głosem: — Nie, nie! Nie będziemy się zatrzymywali, by wyłowić tego zuchwalca. Niech idzie na dno ten zbzikowany *Capataz!*

Żadna siła ludzka nie byłaby wstrzymała Nostroma od tego skoku w morze. Ta pusta łódź, co tak tajemniczo wypłynęła na jego spotkanie, jakby nią kierowała dłoń jakiego niewidzialnego widma, wywierała opętańcze wrażenie jakiegoś znaku, jakiegoś ostrzeżenia, była jakby osłupiającą i zagadkową odpowiedzią na upartą myśl o skarbie i o losie pewnego człowieka. Byłby skoczył, gdyby go nawet czekała niechybna śmierć na tej półmilowej przestrzeni wodnej. Toń była wygładzona jak zwierciadło stawu, a ludożercze potwory morskie są dla jakiegoś powodu nieznane w Zatoce Cichej, acz roi się od nich wzdłuż wybrzeża, po drugiej stronie *Punta Mala.*

Capataz uchwycił się rękojeści steru i parsknął z całej siły. Płynąc, doznawał jakiegoś dziwacznego, mdłego uczucia. Obuwia i odzieży zdołał się pozbyć w wodzie. Wisiał czas jakiś u steru, odzyskując oddech. Niknące w oddali transportowce podążały wprost do Sulaca i wywoływały wrażenie, jakby brały udział w pokojowych wyścigach, ćwiczeniach nautycznych lub jakiejś *regacie.* Połączone dymy ich kominów, niby jakaś zwiewna, siarczana mgławica, unosiły się tuż nad jego głową. Dzięki jego męstwu, dzięki jego śmiałości, dzięki jego odwadze wypłynęły te okręty na morze, by ocalić życie i mienie *blaneów*, tych ciemiężycieli ludu; by przyjść z pomocą kopalni San Tomé; by ratować dzieci!

Mocnym i zręcznym podrzutem wśliznął się przez

ster do łodzi. Ta sama! Bez najmniejszej wątpliwości; bez jakiejkolwiek wątpliwości. Było to czółno przewozowca nr. 3, czółno, pozostawione na Wielkiej Izabeli Martinowi Decoudowi, żeby mógł sam sobie radzić, gdyby z wybrzeża niepodobna było przyjść mu z pomocą. I oto wypłynęła na jego spotkanie, pusta i nieodgadniona. Co stało się z Decoudem? *Capataz* dokonał drobiazgowego badania. Rozglądał się za jakąś rysą, za jakąś pozostałością, za jakimś znakiem. Jedyną rzeczą, którą odkrył, była rdzawa plama na żebrowaniu wewnątrz łodzi. Pochylił się nad nią twarzą i potarł mocno palcem. Potem usiadł na obłęku steru, bezwolny, ze stulonemi kolanami i odchylonemi wbok stopami.

Ociekający wodą od głowy do stóp, z mokrym, obwisłym zarostem i włosami, z przygasłem spojrzeniem, utkwionem w żebrowaniu czółna, *Capataz Cargodorów* sulackich był podobny do topielca, co wynurzył się z toni, by spędzić odwieczerz w łodzi. Podniecenie, wywołane awanturniczą wyprawą i koniecznością powrotu wporę, podniecenie wytężenia i powodzenia, ześrodkowane dokoła skojarzonych myśli o skarbie i jedynym człowieku, który o nim wiedział, przeminęło. Do ostatniej chwili biedził się myślą, jak wybrać się na Wielką Izabelę niepostrzeżenie i bez straty czasu. Bowiem poczucie konieczności zachowania tajemnicy zrosło się z skarbem tak ściśle, że nawet Barriosowi wzdragał się wspomnieć o obecności Decouda i srebra na wyspie. Listy, które zawiózł do generała, nadmieniały tylko pokrótce o stracie srebra, jako o czynniku, mającym wpływ na stosunki w Sulaco. Jednooki pogromca tygrysów, węsząc bitwę zdaleka, nie uważał za właściwe marnować czasu na wy-

pytywanie posłańca. Jakoż rozmawiając z Nostromem, Barrios wychodził z założenia, że Don Martin Decoud poszedł na dno wraz z drogocennym kruszcem, zaś Nostromo, nie zapytywany wprost, milczał pod wpływem jakiejś nieokreślonej niechęci i niewiary. — Niech Don Martin mówi sam za siebie — powiedział sobie w duszy.

I oto, kiedy na swej drodze znalazł sposób możliwie najrychlejszego przedostania się na Wielką Izabelę, podniecenie jego minęło, jak kiedy dusza pierzcha, pozostawiając w bezwładzie ciało na ziemi, której już nie zna. Nostromo jakby nie poznawał zatoki. Przez dłuższy czas nawet jego powieki nie drgnęły nad czczością szklistego jego spojrzenia. Następnie zwolna, bez najlżejszego ruchu, bez drgnienia mięśnia lub mgnienia powieki, wyraz życia przemknął po zakrzepłych jego rysach, głęboka myśl błysnęła w czczości źrenicy — jakgdyby jakaś zatracona dusza, zadumana spokojnie dusza, spotkawszy na swej drodze to opuszczone ciało, wzięła je ukradkiem w posiadanie.

Capataz zmarszczył brwi. Śród niezmiernej cichości wód, wysp i wybrzeża, śród skłębionych chmur na niebie i smug światła na toni zmarszczenie to miało potęgę możnego gestu. Przez długi czas wszystko było bez ruchu. Następnie *Capataz* potrząsnął głową i znów pogrążył się w wszechspokojności widzialnych rzeczy. Nagle podchwycił wiosła i jednym ruchem wykręcił czółno dziobem ku Wielkiej Izabeli. Zanim jednak zaczął wiosłować, pochylił się raz jeszcze nad rdzawą plamą na żebrowaniu.

— Wiem, co to jest — zamamrotał do siebie, potrząsając przemyślnie głową. — To krew!

Jego uderzenia wiosłem były pociągłe, krzepkie

i równomierne. Od czasu do czasu zerkał przez ramię na Wielką Izabelę, której przypłaszczony wiszar miał dla jego trwożnych spojrzeń nieodgadniony wygląd. Wkońcu dziób dotknął brzegu. Wpędził raczej, niż wepchnął łódź na miałkie wybrzeże. Znagła, odwróciwszy się plecami do zachodzącego słońca, podążył wielkiemi krokami w głąb rozpadliny, roztrącając i rozpryskując za każdym krokiem wodę strumienia, jakgdyby deptał jej ciche, przejrzyste, szemrzące bóstwo swą stopą. Pragnął skorzystać z każdej chwili dziennego światła.

Zwał ziemi, murawy i połamanych chaszczy obsunął się z góry bardzo naturalnie na zagłębienie pod pochyłem drzewem. Decoud zajął się wedle otrzymanych wskazówek ukryciem srebra, posługując się łopatą z niejaką zręcznością. Ale niepozbawiony uznania półuśmiech Nostroma zmienił się w pogardliwe ściągnięcie ust, gdy ujrzał łopatę, porzuconą tuż przed oczyma, jakby z ostatecznem niedbalstwem nagłego popłochu, co już przestaje dbać o wszystko. Ach, wszyscy oni są jednacy w swej głupocie, ci *hombres finos*, co wynaleźli prawa, rządy i jałowe obowiązki dla ludu!

Capataz podniósł z ziemi łopatę, kiedy zaś uczuł jej rękojeść w dłoni, odezwało się w nim nagłe pragnienie obejrzenia skórzanych skrzynek, co zawierały skarb. Kilku zamachami łopaty odsłonił ich krańce i narożniki; poczem, odwalając dalej ziemię, zauważył, iż jedna ze skrzynek była rozpruta nożem.

Krzyknął na ten widok zdławionym głosem i rzucił się na kolana, oglądając się poza siebie przez jedno to przez drugie ramię z nierozumną podejrzliwością. Twardy rzemień zwarł się w miejscu rozcięcia znowu.

Z ociąganiem wetknął rękę przez długi rozporek i wyczuł wewnątrz sztaby kruszcu. Były tam. Jedna, dwie, trzy. Tak, cztere ubyły. Wyjęto je. Cztery sztaby. Lecz kto wyjął? Decoud? Nikt inny. I dlaczego? W jakim celu? Dla jakiego zatraconego bzika? Niech się wytłumaczy! Cztery sztaby zabrano do łodzi, i — krew!

W obliczu otworzystej zatoki, w obliczu słońca, jasnego, bezchmurnego, niezmienionego, co nurzało się w toni z surową i niezamąconą tajemniczością czynionej ze siebie ofiary, odbywającej się zdala od śmiertelnych oczu śród nieskończonego majestatu ciszy i spokoju — te cztery sztaby srebra... i krew!

Capataz podniósł się zwolna.

— Być może, iż zaciął się poprostu w rękę — mruknął — Ale w takim razie...

Usiadł na rozpulchnionej ziemi, bezwładnie, jakby przykuty do tego skarbu, i objął dłońmi kolana z wyrazem beznadziejnej uległości niby niewolnik, siedzący na straży. Raz tylko poderwał głowę; grzechot silnego ognia karabinowego dotarł do jego uszu, spływając zwysoka niby grad suchego grochu, spadającego na bęben. Posłuchawszy chwilę, rzekł półgłosem:

— Nie powróci już nigdy, żeby się wytłumaczyć. —

I zwiesił głowę znowu.

— Niepodobna! — mruczał posępnie.

Odgłosy strzelaniny zamarły. Łuna wielkiego pożaru w Sulaco rozokoliła się czerwono nad wybrzeżem, igrała na obłokach u wylotu zatoki, muskała swą rdzawą i złowieszczą poświetlą kształty trzech Izabel. Nie widział jej, chociaż podniósł głowę.

— Ale w takim razie nie mogę wiedzieć — odezwał się na cały głos i siedział znowu nieruchomo, milczący i zapatrzony przed siebie.

Nie mógł wiedzieć. Nie było nikogo, ktoby wiedział. O ile można przypuszczać, koniec Dona Martina Decouda nie stał się przedmiotem rozmyślań dla nikogo prócz Nostroma. Gdyby znano istotną prawdę faktów, zawsze pozostawałoby jeszcze pytanie: dlaczego? Natomiast pogłoska o jego zgonie z powodu zatopienia przewozowca nie przedstawiała tej niepewności pobudek. Młody apostoł utworzenia oddzielnego państwa zginął z powodu nieodżałowanego wypadku, walcząc za swą ideę. Ale po prawdzie umarł on skutkiem samotności, tego wroga, znanego tylko bardzo niewielu śmiertelnikom, któremu stawić opór są zdolni tylko najpośledniejsi z prostaczków. Świetny *Costaguanero* bulwarowy zginął skutkiem samotności oraz niewiary w siebie i w innych.

Dla jakiegoś słusznego i ważnego powodu, niedostępnego pojmowaniu ludzkiemu, morskie ptactwo zatoki unika Izabel. Skalista głowica Azuery jest jego przybytkiem; jej kamieniste upłazy i rozpadliny rozbrzmiewają od ich dzikich i gwarnych pokrzyków, jakby od wiekuistych poswarek o legendarne skarby.

Pod koniec pierwszego dnia pobytu na Wielkiej Izabeli, Decoud, przewracając się na swem legowisku, które usłał sobie pod drzewem z ostrej trawy, rzekł do siebie:

— Nie widziałem przez cały dzień ani jednego ptaka.

Nie słyszał też przez cały dzień żadnego szmeru prócz mamrotania własnego głosu. Był to dzień bezwzględnego milczenia — pierwszy, jakiego zaznał w życiu. I nie zasnął ani na jedno mgnienie. Mimo tylu bezsennych nocy i tylu dni walk, rozmyślań, nawoływań, przedewszystkiem zaś mimo ubiegłej nocy,

pełnej niebezpieczeństw i twardego, fiizycznego znoju na wodach zatoki, nie był zdolny zmrużyć oczu ani na chwilę. Nie mógł zasnąć, aczkolwiek od wschodu do zachodu słońca leżał, złakniony snu, na ziemi bądźto nawznak bądź też twarzą do swego posłania.

Przeciągnął się i powolnymi krokami zeszedł do rozpadliny, by spędzić noc obok srebra. Odrazu zobaczyłby stamtąd Nostroma, gdyby tenże powrócił — co mogło nastąpić lada chwila, zwłaszcza że noc była najodpowiedniejszą porą do wejścia z nim w porozumienie. Z ogromną obojętnością przypomniał sobie, iż nie miał nic w ustach, odkąd pozostał sam na wyspie.

Przepędził noc z otwartemi oczyma, zaś kiedy dzień zaświtał, pożywił się nieco z tą samą obojętnością. Świetny „potomek Decoudów“, popsuty pieszczoch rodziny, wielbiciel Antonji i publicysta ze Sulaca nie był stworzony do zmagania się oburącz z samym sobą. Samotność, wynikająca tylko z zewnętrznych warunków istnienia, staje się nader rychło stanem duszy, w którym niema miejsca dla komedjanckich błazeństw ironji i sceptycyzmu. Bierze w posiadanie umysł i pędzi myśl w wygnańcze pustkowie ostatecznej niewiary. Po trzech dniach oczekiwania na widok ludzkiej twarzy, Decoud przychwycił siebie na monologu, pełnym powątpiewania o swej własnej osobowości. Roztopiła się w świecie obłoków i wód, sił naturalnych i kształtów przyrody. Tylko w naszej działalności znajdujemy krzepiące złudzenie istnienia, niezależnego od wszechładu rzeczy, którego jesteśmy bezradną cząstką. Decoud postradał zupełnie wiarę w rzeczywistość swych czynów przeszłych i przyszłych. Piątego dnia bezmierna melancholja zstąpiła na niego dotykalnie. Postanowił

nie rzucać siebie na pastwę tym ludziom ze Sulaca, którzy opętali go niby jakieś szydercze i ohydne widma. Widział siebie, pasującego się niedołężnie pośrodku nich; Antonja, olbrzymia i wdzięczna niby posąg alegoryczny, spoglądała pogardliwie na jego słabość.

Żadna żywa istota, żadna plamka dalekiego żagla nie jawiła się w zasięgu jego widzenia; więc jakby chcąc uniknąć tej samotności, pogrążył się w swej melancholji. Niejasne poczucie chybionego życia, ulegającego popędom, których wspomnienie pozostawiło mu gorzki posmak w ustach, było pierwszym przejawem moralnym jego męskości. Równocześnie nie doznawał jednak skruchy. Czegóż miał żałować? Nie uznawał innej cnoty prócz inteligencji, a namiętności podźwignął do poziomu obowiązków. Zarówno jego inteligencja jak jego namiętności roztopiły się łacno w ogromie nieprzerwanej samotności niewiernego oczekiwania. Bezsenność wyzuła jego wolę z wszelkiej energji, bowiem przez siedm dni nie spał nawet siedmiu godzin. Smutek jego był smutkiem sceptycznego umysłu. Zapatrywał się na wszechświat niby na kolejność niepojętych obrazów. Nostromo zginął. Wszystko zawiodło nikczemnie. Nie śmiał już myśleć o Antonji. Nie przeżyła tego wszystkiego. Jeżeli jednak przeżyła, to nie będzie mógł spojrzeć jej w twarz. Wszelkie dążenia wydawały się mu niedorzecznością.

Dziesiątego dnia, po nocy, spędzonej bez zmrużenia oka (majaczyło mu się, iż Antonja najprawdopodobniej nie kochała nigdy istoty tak nieuchwytnej, jak on), samotność jęła mu się wydawać jakby wielką czczością, a głusza zatoki niby napiętą, cienką liną, na której wisiał, uczepiony obiema rękami, bez lęku, bez zdumienia, próżen wszelkich odczuwań. Dopiero pod

wieczór, pod wpływem względnego ukojenia chłodem, zapragnął, by ta lina się zerwała. Wyobrażał sobie, żę to zerwanie nastąpi niby wystrzał z pistoletu — z ostrym, suchym trzaskiem. I to będzie jego koniec. Rozmyślał o tej możliwości z rozkoszą, ponieważ przerażały go bezsenne noce; ich głusza, nieprzerwana na podobieństwo liny, u której wisiał, uczepiony obiema rękami, drgała niedorzecznemi frazesami, zawsze temi samemi, lecz najzupełniej niepojętemi, o Nostromie o Antonji, o Barriosie i proklamacjach. Frazesy te zlewały się w ironiczne, bezsensowne brzęczenie. Za dnia odczuwał tę głuszę niby linę w bezruchu, napiętą do pęknięcia ku jego życiu, jego płonnemu życiu, co wisiało u jej końca niby ciężarek.

— Ciekaw jestem, czy usłyszę, jak się zrywa, zanim upadnę — zadawał sobie pytanie.

Słońce już od dwu godzin widniało na widnokręgu, gdy powstał, wychudły, brudny, pobladły, i spojrzał na nie czerwono obwiedzionemi oczami. Członki dawały się powodować jego woli ociężale, jakby były pełne ołowiu, ale bez drżenia. Pod wpływem tych warunków fizycznych ruchy jego nabrały nie ociągającej się, rozważnej godności. Działał, jakgdyby dokonywał jakiegoś obrzędu. Zeszedł do rozpadliny, bowiem zaklęcie srebra było jedyną, czynną mocą, co pozostała przy życiu poza obrębem jego istoty. Podniósł z ziemi pas, przy którym wisiał rewolwer, i włożył go na siebie. Lina głuszy nie zerwie się przenigdy na wyspie. Trzeba, by wpadła do morza i zatonęła w jego głębiach — myślał. — I zatonęła!... — Rzucił okiem na luźną ziemię, pokrywającą skarb. — Zatonęła w morzu! — Wyglądał jak lunatyk. Przykucnął nisko i jął grzebać przemyślnie cierpliwemi palcami, aż odsłonił

jedną ze skrzynek. Bez namysłu, jakgdyby czynił coś, co już nieraz czynić mu się zdarzało, rozpruł ją i wyjął z niej cztery sztaby, które włożył do swych kieszeń. Przykrył znów ziemią odsłoniętą skrzynkę i idąc krok za krokiem, wyszedł z rozpadliny. Chaszcze zamknęły się za nim z szelestem.

Jeszcze trzeciego dnia swej samotności przywlókł czółno w pobliże strumienia, mając zamiar odpłynąć kędyś. Odstąpił jednak od tego zamiaru w części za poszeptem chwiejnej nadziei, iż Nostromo powróci, w części zaś pod wpływem przeświadczenia o zupełnej bezwartościowości wszelkich usiłowań. Teraz trzeba było tylko pchnąć zlekka, by zakołysało się na toni. Jadał codziennie nieco i zachował jeszcze trochę siły w mięśniach. Ujął zwolna wiosła i odbił od wiszaru Wielkiej Izabeli, co wznosił się za nim, rozgrzany słońcem niby ciepłem życia, skąpany w szczodrem świetle od podnóża do szczytu jakby w światłości wesela i nadziei. Wiosłował wprost ku zachodzącemu słońcu. Gdy zatoka okryła się mrokiem, przestał wiosłować i rzucił wiosła na dno łodzi. Czczy łoskot, jaki wydały padając, był dlań najdonośniejszym zgiełkiem, zasłyszanym w życiu. Podziałał jak objawienie. Zdawał się jakby przywoływać go z bardzo daleka. Myśl: — Może będę mógł usnąć dzisiejszej nocy — przemknęła mu w mózgu. Ale nie dał jej wiary. Nie wierzył w nic. Nie ruszył się z poprzeczki.

Błysnęła z poza gór jutrzenka w jego nie mrużące się oczy. Po jasnym brzasku słońce wzeszło wspaniale nad szczytami krzesanic. Rozmigotał się przestwór zatoki dokoła łodzi. W tej chwale bezlitosnej samotności głusza objawiła się mu znowu, napięta niby ciemna, cienka struna.

Oczy jego patrzyły na nią opieszale, gdy przesiadał się z poprzeczki na skraj łodzi. Patrzyły na nią uporczywie, a tymczasem jego ręka sięgnęła do pasa, odpięła klapę skórzanego futerału, wyjęła zeń rewolwer, skierowała go ku jego piersi, pociągnęła kurek i z kurczowym rozmachem cisnęła jeszcze dymiącą broń w powietrze. Oczy jego patrzyły na nią, gdy walił się przed siebie i runął piersią na skraj łodzi, zaciskając palce prawej ręki pod poprzeczką. Patrzyły...

— Dokonało się — wyjąkał śród nagłego krwotoku. Ostatnia jego myśl była: — Ciekaw jestem, w jaki sposób zginął *Capataz.* — Rozluźnił się skurcz jego palców i kochanek Antonji Avellanos stoczył się w morze, nie usłyszawszy, jak zrywa się struna głuszy śród samotności Zatoki Cichej, której migotliwa roztocz nie zmąciła się od padającego jego ciała.

Ofiara odartego ze złudzeń znużenia, które jest odwetem za zuchwalstwo intelektualne, wytworny Don Martin Decoud, obciążony bryłami srebra z kopalni San Tomé, przepadł bez śladu, pochłonięty przez niezmierną obojętność wszechrzeczy. Jego bezsenna, skulona postać opuściła kruszec z kopalni San Tomé; zaś duchy dobra i zła, co czają się wpobliżu każdego ukrytego skarbu doczesnego, mogły mniemać przez czas jakiś, iż o skarbie ukrytym na tej wysepce zapomnieli wszyscy ludzie. Wszelako po niewielu dniach inna postać wyłoniła się z poświat zachodzącego słońca, by spędzić noc na czuwaniu śród mroków ciasnej rozpadliny niemal w takiej samej, nieruchomej postaci i w tem samem miejscu, gdzie zwykł był siadywać inny, bezsenny człowiek, co tak spokojnie odpłynął na zawsze w małem czółnie czasu zórz wieczornych. A duchy dobra i zła, co zwykły się czaić koło zaklę-

tych skarbów, pojęły wlot, iż srebro z kopalni San Tomé pozyskało oto wiernego i dożywotniego niewolnika.

Świetny *Capataz de Cargadores*, ofiara zawiedzionej próżności, która jest odwetem za zuchwalstwo czynu, przesiedział całą noc w znużonej postawie szczutego wyrzutka, dręczony bezsennością, niemniej dotkliwą od bezsenności swego towarzysza, Decouda, w najrozpaczliwszej chwili jego życia. On również był ciekaw, w jaki sposób Decoud zginął. Wszelako wiedział, w jaki sposób do jego śmierci się przyczynił. Najpierw kobietę, a potem mężczyznę porzucił w najostateczniejszej ich obojga potrzebie dla tego przeklętego skarbu. Zapłacił go zgubą jednej duszy i zatratą jednego życia. Odruch bezmiernej pychy nastąpił po czarnej cichości grozy. W całym świecie tylko Gian' Battista Fidanza, *Capataz de Cargadores*, nieprzekupny i wierny Nostromo, był zdolny zapłacić taką cenę.

Postanowił w swej duszy, iż nic nie zdoła już mu wydrzeć jego łupu. Nic. Decoud zginął. Ale jak? Nie było ani cienia wątpliwości, że zginął. Wszelako te cztery sztaby?... Poco? Czy miał zamiar przybyć po więcej — kiedy indziej?

Skarb wywierał dalej swą tajemną potęgę. Mącił jasność umysłu człowieka, który za niego zapłacił. Był pewien, że Decoud nie żyje. Swemi poszmerami zdawała się mówić o tem cała wyspa. Umarł! Odszedł! I przychwycił siebie na przysłuchiwaniu się szelestom chaszczy i rozpryskom wody w łożysku strumienia. Zginął! Ten gaduła, *novio Donii* Antonji!

— Ha! — mruknął, nie podnosząc głowy z kolan pod sinością zamglonego brzasku, świtającego nad wyzwolonem Sulaciem i nad zatoką, szarą jak perzyna. — Do niej on podąży. Podąży do niej!

A owe cztery sztaby! Zabrałże je z zemsty, by rzucić czar, jak ta zagniewana kobieta, co przepowiedziała mu zgryzotę i niepowodzenia, a jednak obarczyła go obowiązkiem ocalenia dzieci? Ano, ocalił je. Pokonał zaklęcie ubóstwa i nędzy. Uczynił to sam — a może wspomagany przez djabła. Co komu do tego? Dokonał tego mimo, że go oszukano, i ocalił zarazem kopalnię San Tomé, co wydawała się mu nienawistną i niezmierzoną, władającą przy pomocy swych ogromnych bogactw nad wartością, znojem, wiernością biedaków, nad wojną i pokojem, nad działalnością miasta, *Campa* i morza.

Słońce spłomieniło niebiosa za krzesanicami Kordyljerów. *Capataz* nie odwracał przez chwilę oczu od luźnej ziemi, głazów i pogruchotanych chaszczy, co przysłaniały kryjówkę ze srebrem.

— Trzeba będzie bogacić się bardzo wolno — rozmyślał głośno.

ROZDZIAŁ XI.

Sulaco wyprzedziło przezorność Nostroma, bogacąc się szybko skarbami, ukrytemi w ziemi, których strzegą czujne duchy dobra i zła, wygrzebywane pracowitemi rękami ludu. Była to jakby wtóra młodość, niby nowe życie, pełne obietnic, niepokojów i trudu, rozsiewające szczodrze swe bogactwa na cztery strony roznamiętnionego świata. Zmiany materjalne podążały śladem interesów materjalnych. Zaś inne zmiany, bardziej subtelne i od zewnątrz niedostrzegalne, dokonywały się w umysłach i sercach pracowników. Kapitan Mitschell powrócił do swych pieleszy, by żyć z oszczędności, umieszczonych w kopalni San Tomé. Dr. Monygham postarzał się, głowę przyprószyła mu siwizna, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się. Żył on z niewyczerpanego skarbu swej ofiarnej tkliwości, dobywanej z kryjówek jego serca, co było niby schowkiem bezprawnych bogactw.

Inspektor naczelny szpitali państwowych (których utrzymanie obciążało koncesję Gouldów), urzędowy doradca władz sanitarnych miejskich, lekarz główny Zjednoczonych Kopalń San Tomé (których obszary, zawierające złoto, srebro, miedź, ołów i kobalt, roz-

pościerają się całemi milami wzdłuż podnóży Kordyljerów) uczuł się zubożonym, skrzywdzonym i nędznym, kiedy Gouldowie po raz wtóry wyjechali na czas dłuższy do Europy i Stanów Zjednoczonych. Zżył się z domem, złożył dowody przyjaźni, był starym kawalerem, co nie miał zobowiązań i sprzętów (prócz zawodowych), więc zaproszono go, by zamieszkał w *Casie Gould*. Jedenastego miesiąca ich nieobecności obmierzła mu zaciszność pokoi, przypominających mu wszędy kobietę, której oddał skarb swego zaparcia. Gdy jął się przybliżać dzień przybycia pocztowego *Hermesa* (co był najświeższym nabytkiem wspaniałej floty T. O. Ż. P.), doktór sztykutał żwawiej i parskał zgryźliwiej poprostu z samej tylko nerwowości.

Pakował swe skromne manatki z pośpiechem, z zaciekłością, z entuzjazmem. Z iście rozpętaną lubością patrzał, jak stary odźwierny wywlekał je za bramę *Casy Gould*. Kiedy zaś nadeszła godzina, wsiadł sam do wielkiej landary, zaprzężonej białemi mułami, skrzywił wprost jadowicie twarz, by nie postradać panowania nad sobą, i trzymając parę nowych rękawiczek w lewej ręce, pojechał do przystani.

Kiedy ujrzał Gouldów, stojących na pokładzie *Hermesa*, serce wezbrało mu tak w piersi, iż jego powitania ograniczyły się do posępnego pomruku. Jadąc do miasta, wszyscy troje zachowywali milczenie. Na *patio* odezwał się doktór naturalniejszym tonem:

— Pozostawię teraz państwa samych. Zajdę jutro, jeśli mi będzie wolno.

— Proszę przyjść na śniadanie, drogi drze Monyghamie, i przyjść wcześniej — rzekła Mrs. Gould i odwróciwszy się, spojrzała na niego u podnóża schodów. Miała na sobie suknię podróżną. Twarz jej przysła-

niała woalka. Stojąca we wnęce Madonna w błękitnych szatach i z Dzieciątkiem na ramieniu zdawała się pozdrawiać ją z wyrazem współczującej słodyczy.

— A niech pan nie sądzi, że zastanie mnie pan w domu — ostrzegł go Charles Gould. — Wybieram się wczesnym rankiem do kopalni.

Po śniadaniu *Donia* Emilja i *senior Doctor* wyszli zwolna przez wnętrzną bramę *patia*. Obszerne ogrody *Casy Gould*, otoczone wysokiemi murami i pokrytemi czerwoną dachówką zboczami sąsiednich dachów, roztaczały się przed nimi. Było pełno cienia pod drzewami i roztoczy słonecznej na trawnikach. Potrójny rząd starych drzew pomarańczowych okalał wnętrze ogrodu. Śniadzi, bosi ogrodnicy w śnieżnobiałych koszulach i sutych *calzonerach* pielili, przykucnąwszy nad grzędami kwietnemi, lub przemykali się śród drzew, grabiąc ścieżki. Nikłe smużki rozpryśniętej wody krzyżowały się wdzięcznemi krzywiznami i migotały w słońcu, spadając z cichym, pluszczącym szmerem na krzewy lub mżąc pyłem diamentów na trawniki.

Donia Emilja w powłóczystej, jasnej sukni szła obok dra Monyghama, odzianego w długi, czarny surdut; surowa czerń krawata odrzynała się na nieskazitelnej białości jego koszuli. Pod cienistą kępą drzew, gdzie stały małe stoliki i plecione z łoziny, wygodne krzesełka, Mrs. Gould usiadła w niskim, obszernym fotelu.

— Niech pan jeszcze nie odchodzi — rzekła do dra Monyghama, który nie był zdolny ruszyć się z miejsca. Wcisnąwszy brodę w głąb swego kołnierza, pożerał ją ukradkiem oczyma, które, na szczęście, były krągłe i twarde niby marmurowe gałki i nie umiały wyrażać jego uczuć. Znamiona czasu na licach tej kobiety, wątłość i mdłość wyczerpania, co zaciążyły na

oczach i skroniach „nigdy nieznużonej *seniory*“ (jak zwykły był z podziwem nazywać ją przed laty Don Pépé) wzruszyły go niemal do łez.

— Niech pan jeszcze nie odchodzi. Dzień dzisiejszy należy do mnie — nalegała Mrs. Gould łagodnie. — Nie powróciliśmy jeszcze oficjalnie. Dopiero jutro okna *Casy Gould* będą oświetlone na znak, iż odbywa się przyjęcie.

Doktór obsunął się w krzesło.

— Chce pani wydać *tertulję*[1])? — zapytał z roztargnieniem.

— Zwykłe przyjęcie powitalne dla wszystkich łaskawych przyjaciół, którzy zechcą przyjść.

— I dopiero jutro?

— Tak jest. Charles będzie znużony po powrocie z kopalni, ja zaś... chciałabym go mieć dla siebie przez jeden wieczór po powrocie do naszego domu, który lubię. Widział całe moje życie.

— No, tak! — zaskrzeczał doktór nagle. — Kobiety liczą czas od swego wesela. Czyż nie żyła pani nieco przedtem?

— Zapewne; ale czyż o tem się pamięta? Wtedy nie było trosk.

Mrs. Gould westchnęła. I zaczęli mówić o rewolucji w Sulaco zwyczajem dwojga przyjaciół, co po długiej rozłące rozpamiętywają najburzliwszy okres swego życia. Wydawało się rzeczą dziwną Mrs. Gould, iż ludzie, którzy brali w niej udział, już zdają się zapominać o niej i o jej nauczce.

— A jednak — wtrącił doktór — my wszyscy, którzy braliśmy w niej udział, nie pozostaliśmy bez na-

---

[1]) Uroczyste przyjęcie wieczorne

grody. Don Pépé, aczkolwiek obarczony wiekiem, wciąż jeszcze może siedzieć na koniu. Barrios zapija się na śmierć w wesołem towarzystwie gdzieś tam w swej majętności za Bolson de Tonoro. Zaś bohaterski ojciec Roman — wyobrażam sobie tego starego *padra*, wysadzającego systematycznie kopalnię San Tomé i zażywającego całemi garściami, śród pobożnych zaklęć po każdym wybuchu, tabakę — otóż bohaterski ojciec Roman powiada, iż nie obawia się, żeby misjonarze Holroyda wyrządzili śród jego owieczek jakiekolwiek szkody, dopóki *on* żyje.

Mrs. Gould wzdrygnęła się zlekka na przypomnienie zguby, której tak blisko była kopalnia San Tomé.

— A pan, drogi przyjacielu?

— Dokonałem dzieła, do którego się nadawałem.

— Zajrzał pan w oczy najokropniejszemu niebezpieczeństwu. Straszliwszemu od śmierci.

— Nie, Mrs. Gould! Tylko śmierci przez powieszenie. I zostałem nagrodzony ponad mą zasługę.

Zauważywszy, iż spojrzenia Mrs. Gould spoczywają na nim spuścił oczy.

— Zrobiłem karjerę — jak pani widzi — rzekł naczelny inspektor szpitali państwowych, poprawiając zlekka poły swego przewytwornego, czarnego surduta. Poczucie własnej godności u doktora, zaznaczające się wnętrznie zupełnem zniknięciem z jego snów ojca Berona, objawiło się widomie w tem, iż wbrew swemu dawniejszemu niedbalstwu jął uprawiać niepomierny kult zewnętrznego wyglądu. Zamknięta w surowych granicach kształtu i barwy, lecz zawsze świeża, zmiana ta stroju nadawała drowi Monyghamowi pozory zawodowe i razem uroczyste. Jednakże jego chód i nie-

zmienny, cierpki wyraz twarzy pozostawały z niemi w jaskrawej sprzeczności.

— Tak jest — mówił dalej. — Wszyscy zostaliśmy nagrodzeni — inżynier naczelny, kapitan Mitschell...

— Widzieliśmy go — podchwyciła Mrs. Gould swym wdzięcznym głosem. — Poczciwiec przyjechał z prowincji, żeby nas odwiedzić w hotelu w Londynie. Zachowywał się z wielką godnością, ale coś mi się zdaje, że żal mu Sulaca. Ględził tak o „historycznych wypadkach", iż zdawało się mi już, że krzyknę.

— Hm — chrząknął doktór — pewno się zestarzał. Nawet Nostromo postarzał się, chociaż się nie zmienił. Skoro o nim mówimy, chciałbym opowiedzieć pani coś...

Już od pewnego czasu dom był pełen pomruków i rozgwarów. Nagle dwaj ogrodnicy, co krzątali się dokoła róż, upadli na kolana i pochylili głowy przed Antonją Avellanos, która weszła w towarzystwie swego wuja.

Otrzymawszy czerwony kapelusz po krótkim pobycie w Rzymie, dokąd go zaproszono z Propagandy, ojciec Corbelàn, misjonarz dzikich Indjan, spiskowiec, przyjaciel i opiekun rozbójnika Hernandeza, stąpał wielkiemi, powolnemi krokami, szczupły i pochylony. Swe potężne dłonie założył wtył. Pierwszy kardynał-arcybiskup Sulaca zachował swój fanatyczny i posępny wygląd kapelana bandytów. Powiadano, iż niespodziewane jego wyniesienie do godności purpurata było odruchem przeciw protestanckiemu naporowi na Sulaco, zorganizowanemu przez Fundację Misyjną Holroyda. Antonja, której uroda nieco przygasła a kształty zlekka się zaokrągliły, szła z właściwym sobie, pogodnym spokojem, uśmiechając się zdaleka do Mrs. Gould.

Przyprowadziła swego wuja, by odwiedzić drogą Emilję tuż przed samą *siestą*.

Gdy wszyscy znów zajęli miejsca, dr. Monygham usiadł na uboczu, udając, iż jest pogrążony w głębokiej zadumie, gdyż jął serdecznie niecierpieć każdego, kto zbliżał się do Mrs. Gould z niejaką zażyłością. Głośniejsze słowa Antonji sprawiły, iż podniósł głowę.

— Jakżeż możemy opuścić jęczących pod uciskiem, którzy zaledwie przed kilku laty byli naszymi ziomkami, którzy są jeszcze nimi? — mówiła panna Avellanos. — Jakże możemy być ślepi, głusi i bezlitośni na straszliwe krzywdy naszych braci? Jest na to sposób.

— Przyłączyć resztę Costaguany do ładu i pomyślności Sulaca — parsknął doktór. — Niema innego sposobu.

— Jestem pewna, *senior doctor* — rzekła Antonja z powagą niezłomnego przekonania — iż takie były od początku zamierzenia biednego Martina.

— Zapewne; lecz interesa materjalne nie pozwolą narażać swego rozwoju dla czystej idei sprawiedliwości i zmiłowania — mamrotał doktór zgryźliwie. — I być może, iż tak jest dobrze.

Kardynał-arcybiskup wyprostował swą chudą, kościstą postać.

— Pracowaliśmy dla nich; stworzyliśmy te interesa materjalne dla cudzoziemców — odezwał się głębokim, oskarżającym tonem.

— A bez nich jesteście niczem — zawołał doktór z odległości. — Nie puszczą was one.

— Niechże się mają na baczności, aby lud, uprzedzony o ich dążnościach, nie powstał i nie upomniał się o udział w bogactwach i udział we władzy — oświadczył popularny kardynał-arcybiskup ze znaczącą pogróżką.

Nastąpiło milczenie podczas którego jego Eminencja utkwił chmurne spojrzenie w ziemię, a Antonja z wdziękiem siedziała wyprostowana na krześle i oddychała spokojnie w poczuciu mocy swych przekonań. Rozmowa przybrała następnie obrót towarzyski. Gawędzono o pobycie Gouldów w Europie. Kardynał-arcybiskup, przebywając podówczas w Rzymie, cierpiał na nieustanne bóle głowy. Było to następstwem klimatu — niesprzyjającego powietrza.

Gdy wuj i siostrzenica odchodzili, służba upadła znowu na kolana, a stary odźwierny, co znał Henryka Goulda, zupełnie już ślepy i bezsilny, przypełzł, by ucałować wyciągniętą rękę Eminencji. Dr. Monygham, patrząc za odchodzącymi, wyrzekł jedno słowo:

— Niepoprawni.

Mrs. Gould podniosła oczy wgórę i opuściła bezwładnie na kolana swe białe ręce, migocące złotem i drogocennemi kamieniami licznych pierścionków.

— Spiskują. Ano! — rzekł doktór. — Ostatni z Avellanosów i ostatni z Corbelánów spiskują ze zbiegami z Santy Marty, którzy napływają tu po każdej rewolucji. Pełno ich jest w *Café Lambroso* na rogu *Plazy*. Może pani usłyszeć ich rozgwar poprzez ulicę, niby gęganie z kojca. Spiskują, by wtargnąć do Costaguany. A wie pani, gdzie szukają potrzebnych sił? W tajnych stowarzyszeniach, śród zbiegów i ludności miejscowej, gdzie Nostromo — chciałem powiedzieć, kapitan Fidanza — jest wielkim człowiekiem. Czemu zawdzięcza to swoje stanowisko? Któż może powiedzieć? Genjuszowi? Jest genjalny. Ma obecnie większe znaczenie śród ludu niż miał je kiedykolwiek. Zdaje się, jakby rozporządzał jakąś skrytą potęgą, jakiemiś tajemnemi środkami dla podtrzymania swych wpływów. Naradza

się z arcybiskupem jak za dawnych czasów, które pani pamięta. Barrios jest bezużyteczny. Ale za zwierzchnika wojskowego wzięli sobie pobożnego Hernandeza. I mogą wzburzyć kraj nowem hasłem: bogactwa dla ludu!

— Nie będzież nigdy spokoju? Nie będzież nigdy wytchnienia? — szepnęła Mrs. Gould. — Myślałam, że...

— Nie! — przerwał doktór. — Niema spokoju i niema wytchnienia w rozwoju interesów materjalnych. Mają one swe prawa i swą sprawiedliwość. Ale opierają się na pozorach i są nieludzkie. Są pozbawione prawości, ciągłości i siły, które można znaleźć tylko w zasadzie moralnej. Nadchodzi czas, że wszystko to, co przedstawia koncesja Gouldów, zaciąży na ludzie równie nieznośnie, jak barbarzyństwo, okrucieństwo i nierząd z przed kilku lat.

— Jak pan może to mówić, doktorze Monyghamie? — krzyknęła, jakby urażona w najtkliwsze miejsce swej duszy.

— Mogę mówić, co jest prawdą — upierał się doktór zawzięcie. — Zaciąży na ludzie tak samo nieznośnie i wywoła niechęć, rozlew krwi i mściwość, ponieważ ludzie stali się innymi. Czy pani sądzi, że górnicy poszliby teraz na miasto, by ratować swego *seniora Administradora*? Sądzi pani?

Przycisnęła załamane ręce do swych oczu i szepnęła beznadziejnie:

— Potożeśmy pracowali?

Doktór pochylił głowę. Mógł podążyć za jej niemą myślą. Potóż to pozbawiono jej życie wszelkiej cichej szczęśliwości powszedniego uczucia, którego jej czułość potrzebowała, jak ciało ludzkie potrzebuje powietrza do oddychania? I doktór, oburzony na zaślepienie Charles'a Goulda, zmienił pośpiesznie przedmiot rozmowy.

— Chciałem pomówić z panią o Nostromie. Niepodobna mu odmówić niejakiej wytrzymałości i siły. Nic go nie łamie. Lecz mniejsza o to. Dzieje się z nim coś niejasnego — lub może aż nadto jasnego. Wie pani zapewne, iż Linda jest w rzeczywistości strażniczką latarni morskiej na Wielkiej Izabeli. *Garibaldino* jest już za stary. Należy do niego czyszczenie lamp i przyrządzanie strawy; po schodach chodzić już nie może. Czarnooka Linda sypia za dnia i czuwa nad latarnią całemi nocami. Nie spędza jednakże całego dnia na spaniu. Wstaje około piątej po południu, zaś Nostromo, ilekroć jego *schooner* zawinie do przystani, odwiedza ją, podpływając do wyspy łodzią.

— Czyż jeszcze się nie pobrali? — spytała Mrs. Gould. — O ile mogłam wyrozumieć, życzyła sobie tego jej matka, gdy Linda była jeszcze dzieckiem. Kiedy obie dziewczęta były jeszcze rok u mnie, ta osobliwsza Linda powiadała bez ogródek, iż zostanie żoną Giana Battisty.

— Nie, jeszcze się nie pobrali — odparł doktór krótko. — Zajmowałem się nieco nimi.

— Dziękuję panu, drogi doktorze — rzekła Mrs. Gould i w cieniu wielkich drzew jej drobne, równe ząbki błysnęły dziewczęcym uśmiechem łagodnej przekory. — Doprawdy, ludzie nie wiedzą, jaki pan jest dobry. Nie daje im pan poznać tego po sobie, jedynie by mi dokuczyć; ale ja już oddawna zawierzyłam pańskiemu dobremu sercu.

Doktór drgnął górną wargą, jakby chciał ugryźć, i skłonił się sztywnie w swym fotelu. W bezgranicznem zapamiętaniu człowieka, do którego miłość przyszła późno, nie jako najprzedziwniejsza ze złudzeń lecz jako rozwidniająca i bezcenna niedola, doznawał na widok

tej kobiety (której nie było niemal przez cały rok) odruchów uwielbienia, co pragnęłoby całować rąbek jej sukni. Ten nadmiar uczuć przejawiał się oczywiście wzmożoną zgryźliwością mowy.

— Obawiam się, że spotyka mnie za wiele łaski. Ci ludzie interesują mnie. Byłem kilka razy w latarni na Wielkiej Izabeli, by zajrzeć do starego Giorgia.

Nie przyznał się, że bywał tam, gdyż podczas jej nieobecności doznawał ulgi w atmosferze podzielanego uczucia, z jakiem surowe uwielbienie starego Giorgia wyrażało się o „dobrodziejce — angielskiej *seniorze*“; że miło mu było spotykać się z nawałnicowem, namiętnem przywiązaniem czarnookiej Lindy do „naszej anielskiej *Donii* Emilji“; że lubił, kiedy białoszyja, jasnowłosa Gizela wznosiła wgórę z zachwytem oczy, co później błyskały ku niemu ukradkowem, napoły filuternem a napoły szczerem spojrzeniem i sprawiały, iż doktór mówił w duchu do siebie: — Gdybym nie był stary i brzydki, myślałbym, że ten trzpiot robi oko do mnie. I może robi. Ona pewno robi oko do każdego. — Dr. Monygham nie wspomniał nic o tem Mrs. Gould, która była opatrznością rodziny Violów, lecz powrócił do „naszego wielkiego Nostroma“.

— Proszę posłuchać, co chciałem powiedzieć: Nasz wielki Nostromo nie troszczył się zbytnio o starca i dzieci przez niejeden rok. Coprawda, iż z dwunastu miesięcy spędzał wtedy dziesięć na podróżach wzdłuż wybrzeża. Robił pieniądze, jak raz powiedział kapitanowi Mitschellowi. Jak się zdaje, zabrał się do tego nadzwyczaj zręcznie. Jużcić należało tego się spodziewać. Jest człowiekiem pomysłowym, ufnym w siebie, gotowym do przyjęcia odpowiedzialności i niebezpieczeństw wszelkiego rodzaju. Pamiętam, iż byłem właśnie

w biurze Mitschella pewnego dnia, gdy wszedł tam z właściwą sobie, spokojną powagą, którą okazuje wszędzie. Patrząc swym zwyczajem ponad naszemi głowami na ścianę, opowiadał, iż był za interesami w zatoce Kalifornijskiej i ucieszył się, gdy po swym powrocie zobaczył, że buduje się latarnię morską na wiszarze Wielkiej Izabeli. — Bardzo się ucieszyłem — powtórzył. Mitschell objaśnił, iż buduje ją Towarzystwo Oceanicznej Żeglugi Parowej dla udogodnienia ruchu pocztowców wedle jego zarządzeń. Kapitan Fidanza raczył dać do zrozumienia, iż zarządzenia te są doskonałe. Pamiętam, iż długo podkręcał wąsa i oglądał wszystkie gzemsy w pokoju, zanim podał myśl, by nadzór nad tą latarnią powierzono staremu Giorgiowi.

— Słyszałem o tem. Zasięgano mego zdania w swym czasie — rzekła Mrs. Gould. — Nie byłam pewna, czy będzie to dobrze dla tych dziewcząt, że będą odosobnione na tej wyspie niby w jakiemś więzieniu.

— Pomysł ten przypada do upodobań starego *garibaldina*. Zaś dla Lindy każde miejsce było miłe i dobre, o ile zostało wybrane przez Nostroma. Mogła tam oczekiwać pieszczot swego Gian'a Battisty równie dobrze, jak gdzie indziej. Myślę, iż kochała się już oddawna w tym nieskazitelnym *Capatazie*. Przytem zarówno ojciec jak siostra pragnęli usunąć Gizelę przed natrętnemi umizgami niejakiego Ramireza.

— Ach! — rzekła Mrs. Gould z zaciekawieniem. — Ramirez? Co to za człowiek?

— Taki sobie *mozo* miejski. Ojciec jego był *Cargadorem*. Jako wątły dzieciak wałęsał się obdarty po wybrzeżu, aż Nostromo zajął się nim i zrobił z niego człowieka. Wziął go na przewozowiec, zaś kiedy był nieco starszy, oddał pod jego kierownictwo łódź nr. 3.

Była to łódź, którą wywieziono srebro. Nostromo wybrał ten przewozowiec, gdyż był to najmocniejszy i najobrotniejszy statek z całej floty T. O. Ż. P. Młody Ramirez był jednym z owych pięciu *Cargadorów*, którym poruczono zabranie skarbu z Urzędu Cłowego owej pamiętnej nocy. Gdy statek, który pozostawał pod jego kierownictwem zatonął, Nostromo podziękował za służbę i polecił kapitanowi Mitschellowi na swe miejsce Ramireza. Obeznał go z swym zawodem doskonale i w ten sposób Ramirez z wygłodzonego włóczęgi został człowiekiem i *Capatazem* sulackich *Cargadorów*.

— Dzięki Nostromowi — rzekła Mrs. Gould z gorącem uznaniem.

— Dzięki Nostromowi — powtórzył dr. Monygham. — Daję słowo, iż przeraża mnie potęga tego człowieka, gdy myślę o niej. Nie było niczem dziwnem, iż nasz zacny, stary Mitschell był ogromnie rad, gdy polecono mu człowieka, wyszkolonego w portowem rzemiośle i oszczędzającego mu kłopotów. Natomiast wprost niepojętem wydaje się, iż *Cargadorzy* sulaccy uznali Ramireza za swego zwierzchnika jedynie dlatego, że taka była wola Nostroma. Nie jest on jużcić drugim Nostromem, jak sobie w swej zarozumiałości wyobrażał; lecz mimo wszystko jest na doskonałem stanowisku. Uzuchwaliło go to do tego stopnia, iż jął się umizgać do Gizeli Viola, która, jak pani wie, uchodzi w mieście za piękność. Wszelako stary *garibaldino* powziął do niego stanowczą odrazę. Nie wiem, dlaczego. Może dlatego, że nie jest on wzorem doskonałości jak Gian' Battista, uosobieniem męstwa, wierności i honoru „ludu". *Signor* Viola nie ma zbyt pochlebnego wyobrażenia o ludności Sulaca. Oboje zatem, ten stary Spartanin i ta białolica Linda o pur-

purowych ustach i czarnych jak węgiel oczach, rozglądali się dumnie za jakimś jasnowłosym przybyszem. Ramirez dostał ostrzeżenie. Ojciec Viola, jak mi opowiadano, pogroził mu raz swą strzelbą.

— Cóż na to Gizela? — spytała Mrs. Gould.

— Jak mi się zdaje, jest nieco kokietką — odrzekł doktor. — Nie przebiera. Lubi hołdy mężczyzn. Niechaj mi będzie wolno powiedzieć, że Ramirez nie był jedyny. Prócz niego miał być tam jeszcze jakiś inżynier ze sztabu kolejowego. Pogrożono mu również strzelbą. Stary Viola nie pozwala na kpiny ze swego honoru. Od śmierci żony stał się bardzo zgryźliwym i podejrzliwym. Ucieszył się bardzo, że będzie mógł swą młodszą córkę zabrać z miasta. I cóż się stało? Ramirez, uczciwy chłopak, pozbawiony swej ukochanej, nie może bywać na wyspie. Niema na to rady. Stosuje się do tego zakazu, ale rzecz prosta, iż zwraca często spojrzenia ku Wielkiej Izabeli. Należy przypuścić, iż miewał zwyczaj patrzeć późną nocą na światło latarni. Otóż podczas tych sentymentalnych czuwań udało się mu dostrzec, iż Nostromo, inaczej kapitan Fidanza, zwykł powracać bardzo późno ze swych odwiedzin u Violów. Niekiedy aż po północy.

Doktór zatrzymał się i spojrzał znacząco na Mrs. Gould.

— No, tak. Ale nie rozumiem — zaczęła zakłopotana.

— Teraz następuje to, co najdziwniejsze — mówił dalej dr. Monygham. — Viola, który jest królem na swej wyspie, nie pozwala nikomu bywać na niej po zmierzchu. Nawet kapitan Fidanza musiał odjeżdżać po zachodzie słońca, gdy Linda szła pilnować latarni. Jakoż Nostromo oddalał się posłusznie. Cóż jednak działo się potem? Co porabiał na zatoce między wpół

do siódmej a północą? Widywano go nieraz o tej późnej godzinie, jak zawijał spokojnie do przystani. Ramireza trawiła zazdrość. Nie śmiał się zbliżyć do starego Violi; zdobył się jednakowoż na odwagę, by zaczepić Lindę pewnego niedzielnego poranku, gdy przybyła na ląd, by wysłuchać mszy i odwiedzić grób swej. matki. Byłem świadkiem sceny, która rozegrała się na wybrzeżu. Było to wczesnym rankiem. Czekał na nią widocznie w tym celu. Znalazłem się tam najzupełniej przypadkiem, gdyż lekarz kanonierki niemieckiej, stojącej w porcie, wezwał mnie do siebie na nagłą konsultację. Parskała płomieniami gniewu i pogardy na Ramireza, który wyglądał jak nieprzytomny. Było to osobliwsze widowisko, Mrs. Gould! Długi pomost z tym oszalałym *Cargadorem*, co miał na sobie szkarłatny pas, i z tą dziewczyną w czerni; wczesny poranek niedzielny nad przystanią, drzemiącą w cieniu gór; zaledwie jedna czy dwie łódki, snujące się między okrętami, stojącemi na kotwicy, i nadpływający po mnie *gig* kanonierki niemieckiej. Linda przeszła tuż obok mnie. Podchwyciłem dzikie spojrzenie jej oczu. Zawołałem za nią po imieniu. Nie usłyszała mnie. Nie widziała mnie. Zdążyłem jednak spojrzeć w jej twarz; zatrważała gniewem i zgryzotą.

Mrs. Gould wyprostowała się i rozwarła szeroko oczy.

— Co pan ma na myśli drze Monyghamie? Czy to znaczy, że pan podejrzewa młodszą siostrę?

— *Quien sabe?* Kto wie? — odpowiedział doktór, ruszając ramionami, jak rodowity *Costaguanero*. — Ramirez podszedł ku mnie na wybrzeżu. Słaniał się na nogach — wyraz twarzy miał obłąkany. Chwytał się za głowę rękami. Czuł potrzebę wyskarżyć się

przed kimś — poprostu czuł potrzebę. Mimo swych obłąkanych oczu, poznał mnie. Ludzie znają mnie tu dobrze. Za długo żyłem wśród nich, żebym nie miał zostać doktorem o uroczych oczach, co leczy wszystkie niedomagania cielesne i rzuca urok spojrzeniem. Podszedł do mnie. Usiłował zachować spokój. Starał się dać do zrozumienia, iż pragnie tylko ostrzedz mnie przed Nostromem. Widocznie kapitan Fidanza wymienił mnie na jakiemś tajnem zebraniu jako najzacieklejszego wzgardziciela wszystkich biedaków — ludu. Jest to bardzo możliwe. Zaszczyca mnie niewygasającą niechęcią. A dość jest jednego słowa wielkiego Fidanzy, żeby ten lub ów narwaniec żgnął mnie nożem w plecy. Komisja Sanitarna, której jestem przewodniczącym, nie jest lubiona przez ludność. — Niech pan ma się przed nim na baczności, *senior doctor*. Niech go pan usunie z swej drogi! — syknął mi Ramirez w twarz. A potem wybuchnął: — Ten człowiek oczarował obie te dziewczęta! — O sobie powiedział aż za wiele. Musi teraz uciec — uciec i skryć się gdzie bądź. Wyrażał się czule o Gizeli, a potem obrzucał ją wyzwiskami, których niepodobna powtórzyć. Gdyby wiedział, że można ją skłonić, aby go pokochała, porwałby ją z wyspy. Hen w lasy! Ale to na nic... Odszedł, wymachując rękami dokoła głowy. Dostrzegłem potem jakiegoś starego murzyna, który łowił ryby, siedząc za piramidą skrzyń. Zwinął nagle wędkę i czmychnął kędyś. Ale musiał coś podsłuchać i zapewne z tem się wygadał, gdyż, jak mi się zdaje, kilku starych przyjaciół *garibaldina* ostrzegło go przed Ramirezem. Może było inaczej, ale to pewna, że ojca ostrzeżono. Lecz Ramirez znikł z miasta.

— Czuję, iż mam obowiązki względem tych dziew-

cząt — rzekła Mrs. Gould zaniepokojona. — Czy Nostromo jest obecnie w Sulaco?

— Jest od ubiegłej niedzieli.

— Trzeba będzie pomówić z nim zaraz.

— Któż ośmieli się z nim mówić? Nawet zwarjowany z miłości Ramirez czmycha na widok samego tylko cienia kapitana Fidanzy.

— Ja pomówię, chcę pomówić — oświadczyła Mrs. Gould. — Dość jednego słowa człowiekowi takiemu, jak Nostromo.

Doktór uśmiechnął się kwaśno.

— Musi zakończyć z tą sprawą, która prowadzi do... Nie chce mi się wierzyć w to, co pan mówi o tem dziecku — mówiła dalej Mrs. Gould.

— Jest bardzo ujmujący — mamrotał doktór posępnie.

— Jestem pewna, że on to pojmie. Musi skończyć z tem wszystkiem i ożenić się niezwłocznie z Lindą — zawyrokowała najznakomitsza dama z Sulaca z ogromną stanowczością.

Z bramy ogrodowej wynurzył się Basilio. Utył i zaokrąglił się. Postarzała się jego twarz bez zarostu. Pojawiły się zmarszczki w kątach oczu. Kruczo czarne, oporne włosy miał przyczesane gładko. Przystanąwszy za kępą krzewów, umieścił pieczołowicie na ziemi małe dzieciątko, które niósł na ramieniu. Był to najmłodszy potomek jego i Leonardy. Rozdąsana, przekwitła *Camerista* i główny *mozo Casy Gould* byli małżeństwem już od kilku lat.

Siedział przez jakiś czas przykucnięty, patrząc pieszczotliwie na swą latorośl, co odwzajemniała mu się pełnem powagi spojrzeniem. Następnie z namaszczeniem i czołobitnością ukazał się na ścieżce.

— O co chodzi, Basilio? — spytała Mrs. Gould.

— Telefonowano z biura kopalni, że wielmożny pan zanocuje dziś w górach.

Dr. Monygham powstał i jął rozglądać się dokoła. Głębokie milczenie zalegało czas jakiś w cieniu ogromnych drzew rozkosznego ogrodu *Casy Gould*.

— Dobrze, Basilio — rzekła Mrs. Gould. Śledziła go spojrzeniem, gdy szedł ścieżką, zatrzymał się na chwilę za kwitnącemi krzewami i ukazał się znów z dziecięciem na ramieniu. Miarowym krokiem minął bramę między ogrodem a *patio*, niosąc troskliwie swe lekkie brzemię.

Doktór odwróciwszy się od Mrs. Gould, przyglądał się grzędzie kwietnej, co pałała w słońcu. Ludzie uważali go za człowieka zgorzkniałego, który pomiata innymi. Wszelako istota jego natury polegała na popędzie do namiętności i na przewrażliwieniu jego usposobienia. Zbywało mu ogładzonej gruboskórności człowieka towarzyskiego, gruboskórności, z której wynika skore pobłażanie dla siebie i innych; tolerancja znajduje się na przeciwległym biegunie szczerej życzliwości i ludzkiego współczucia. Z tego niedostatku gruboskórności brała początek zgryźliwość jego umysłu i jadowitość jego powiedzeń.

Zapatrzony w zaciekłem milczeniu na barwną grzędę kwietną, dr. Monygham miotał w duszy złorzeczenia na głowę Charles'a Goulda. Za nim siedziała nieruchomo Mrs. Gould, która wdzięk postaci łączyła z urokiem arcydzieła, co podpatrzone w okamgnieniu, uwiecznia się na zawsze. Doktór odwrócił się znagła i pożegnał się z nią.

Mrs. Gould siedziała w cieniu wielkich drzew, tworzących zakole. Siedziała z oczyma przymkniętemi,

opuściwszy bezwładnie białe ręce na poręcze krzesła. Półmrok, zalegający pod gęstwą listowia, uwydatniał młodzieńczą urodę jej lic; wydobywał świetlistą jasność jej lekkiej sukni i białe rąbki jej stroju. Drobna i wdzięczna, jakgdyby promieniejąca własną jaśnią w głębokiem zamroczu splątanych gałęzi, podobna była do dobrej wróżki, znużonej długotrwałością swych dobrych uczynków, tkniętej przejmującem poczuciem nieużyteczności swych trudów, niemocy swego czarodziejstwa.

Gdyby kto ją był zapytał, o czem rozmyśla samotnie w ogrodzie, podczas gdy mąż jej przebywa w kopalni, a dom jest zamknięty od ulicy niby puste mieszkanie, jej szczerość byłaby zbyła wymijająco to pytanie. Przyszło jej na myśl, że życie tylko o tyle bywa pełne i szczodre, o ile zawiera w sobie troskę o przeszłość i przyszłość w każdej przelotnej chwili teraźniejszości. Nasze czynności codzienne winny być wykonywane ku chwale zmarłych i ku pożytkowi tych, co po nas przyjdą. Myślała o tem i wzdychała, nie otwierając oczu — nie ruszając się wcale. Lico Mrs. Gould stężało i zakrzepło na jedno mgnienie, jakby bez zadrżenia chciało przyjąć wielką falę osamotnienia, co spływała na jej głowę. I zaświtało jej również w myśli, że nikt nie spyta jej nigdy z przejęciem, o czem ona myśli. Nikt. Nikt, prócz może człowieka, który co tylko odszedł. Nie, nie spyta nikt, któremuby można odpowiedzieć z bezwzględną szczerością, jaką daje doskonała ufność.

Słowo „niepoprawny" — słowo, wyrzeczone przed chwilą przez dra Monyghama, zatrzepotało w jej smętnej i cichej nieruchomości. Niepoprawny w swem zapamiętaniu dla wielkiej kopalni srebra był *senior Administrador!* Niepoprawny w swej twardej, nieustępliwej

służbie interesom materjalnym, z któremi zespolił swą wiarę w triumf ładu i sprawiedliwości. Biedak! Widziała już wyraźnie siwe włosy na jego skroniach. Był bez zarzutu — bez zarzutu. Czegoż więcej mogła się spodziewać? Powodzenie było trwałe i niesłychane, zaś miłość była tylko krótkiem mgnieniem zapamiętania się, przemijającem upojeniem, którego słodycz wspomina się z uczuciem smutku, niby jakąś, boleśnie odczutą chwilę w życiu. Było coś swoistego w koniecznościach pomyślnego działania, co pociągało za sobą moralne obniżenie idei. Widziała górę San Tomé, która zawisła nad *Campo*, nad całym krajem, bogata, siejąca postrach, znienawidzona; bezduszniejsza od każdego tyrana, bezlitośniejsza i samowładniejsza od najgorszego rządu, gotowa do zmiażdżenia nieprzeliczonych istnień dla rozprzestrzenienia swej potęgi. On tego nie widział. Nie mógł tego widzieć. Nie było to jego winą. Był bez zarzutu, bez zarzutu! Ale ona nigdy nie będzie go miała dla siebie. Nigdy. Nawet na godzinkę nie będzie go miała wyłącznie dla siebie w tym starym, hiszpańskim domu, który tak lubiła! Niepoprawny jest ostatni z Corbelánów i niepoprawna ostatnia z Avellanosów — powiedział doktór; ale ona zdawała sobie jasno sprawę, że kopalnia San Tomé trawi i wypala życie ostatniego z costaguańskich Gouldów, że owładnęła czynnym duchem syna, podobnie jak władała żałosną słabością ojca. Straszliwy, zaiste, triumf dla ostatniego z Gouldów. Ostatniego! Spodziewała się długo, długo, że może... Ale nie! Nic już z tego nie będzie. Niezmierna żałość, lęk przed dalszym ciągiem własnego życia zwalił się na najznakomitszą damę z Sulaca. W proroczem jasnowidzeniu uświadomiła sobie, iż przeżyje sponiewieranie swego

młodzieńczego ideału życia, miłości i twórczości — przeżyje go sama, samiuteńka w skarbcu świata. Głębokie, głuche cierpienie bolesnego snu pojawiło się na jej twarzy i na powiekach przymkniętych oczu. Niewyraźnym głosem człowieka uśpionego, co spoczywa biernie w uścisku bezlitosnej zmory, wyjęknęła bezwiednie słowa:

— Interesa materjalne.

ROZDZIAŁ XII.

Nostromo bogacił się bardzo wolno. Było to następstwem jego przezorności. Umiał rozkazywać sobie, chociaż wytrącony był z równowagi. Zostać niewolnikiem skarbu z pełną świadomością jest zdarzeniem rzadkiem, co rozstraja ducha. Rozstrój ten wynikał w znacznej mierze także z trudności, jakie się nastręczały przy urabianiu tego kruszcu w kształty, które mogły nadawać się do zużytkowania. Już sama czynność zabierania go zwolna i częściowo z wyspy napotykała na trudności, najeżona była niebezpieczeństwami niezwłocznego odkrycia. Musiał bywać na Wielkiej Izabeli potajemnie, między podróżami wzdłuż wybrzeża, co rzekomo były źródłem jego mienia. Musiał się mieć na baczności przed załogą swego własnego *schoonera*, jakgdyby ona składała się ze szpiegów, czyhających na groźnego kapitana. Nie śmiał zbyt długo przebywać w porcie. Gdy jego statek był bez ładunku, wyruszał śpiesznie na inną wyprawę, bowiem obawiał się, iż każdy dzień zwłoki może rozbudzić podejrzenia. Niekiedy podczas tygodniowego lub nawet dłuższego postoju udawało się mu raz tylko odwiedzić skarb. I to było wszystko. Zaledwie parę sztab! Dolegała mu zarówno obawa jak przezorność. Upokarzało go, iż działa

ukradkiem. Zaś najwięcej cierpiał skutkiem skupienia swej myśli na tym skarbie.

Przestępstwo czy zbrodnia, gdy wtargną w istnienie człowieka, przeżerając je niby złośliwy nowotwór, trawią niby gorączka. Nostromo postradał spokój; zanikła czystość wszystkich jego zalet. Czuł to sam i często przeklinał srebro z kopalni San Tomé. Jego męstwo, jego wspaniałomyślność, jego niedbałość — słowem wszystko było, jak przedtem, ale było tylko złudą. Natomiast skarb był rzeczywistością. Przylgnął do niego jeszcze zawziętszym, duchowym chwytem. Ale wzdrygał się przed dotknięciem sztab. Niekiedy, zaniósłszy kilka do swej kabiny — po ukradkowej, nocnej wyprawie do Wielkiej Izabeli — spoglądał uparcie na swe dłonie, jakby zdziwiony, iż nie pozostawiły plam na jego skórze.

Znalazł sposoby umieszczania brył srebrnych w odległych portach. Konieczność tych dalekich wyjazdów była przyczyną, iż jego podróże przybrzeżne trwały długo i że jego odwiedziny w domostwie Violów bywały nieczęste i dorywcze. Przeznaczeniem jego było poślubić stamtąd żonę. Wyraził się w ten sposób raz do starego Giorgia. Ale *garibaldino* zbył go majestatycznem skinieniem ręki, w której trzymał zakopconą, czarną fajkę. Dość jeszcze było na to czasu; nie chce narzucać nikomu swych córek.

Z biegiem czasu Nostromo nabrał przekonania, że woli młodszą. Zachodziło między nimi głębokie powinowactwo natur, bez którego niema zupełnego zrozumienia i wzajemnego zaufania, istniały przytem powierzchowne różnice usposobień, co wywierały właściwy sobie urok kontrastu. Żona jego musiała znać jego tajemnicę, gdyż inaczej życie byłoby niemożliwe. Pociągała go słodkooka, białoszyja Gizela, uległa, mil-

cząca, płonąca żądzą pieszczot pod pokrywką gnuśnej spokojności. Natomiast Linda o wyrazistej, namiętnej, bladej twarzy, energiczna, ognista w słowach, dysząca żarem i wzgardą, nieodrodna córka surowego republikanina, acz obdarzona głosem Teresy, budziła w nim głęboką nieufność. Ponadto ta biedna dziewczyna nie umiała ukrywać swej miłości do Giana Battisty. Zdawał sobie sprawę, że miłość ta jest porywcza, wymagająca, podejrzliwa, nieprzejednana — jak jej dusza. Gizella swą jasną i pieściwą urodą, powierzchowną spokojnością swej natury, zapowiadającej uległość, urokiem swej dziewczęcej tajemniczości rozniecała jego uczucie i koiła jego obawy o przyszłość.

Nie bywał w Sulaco długo. Powracając raz z takiej dalekiej wyprawy, zauważył u wiszaru Wielkiej Izabeli przewozowce, naładowane ciosowym kamieniem. Leżały na nim żórawie i rusztowania, robotnicy mrowili się dokoła i niewielka latarnia morska dźwigała się już z podwalin na skraju wiszaru.

Na ten nieoczekiwany, nieśniony, przerażający widok wydało się mu, że jest zgubiony nieodwołalnie. Cóż mogło obecnie ocalić go od odkrycia? Nic! Był struchlały tym obrotem rzeczy, co miał rozwidnić daleko sięgającem światłem jedyną, skrytą zmazę jego życia, którego najistotniejsza treść, wartość i rzeczywistość polegała na odzwierciedlaniu się w pełnych podziwu oczach ludzkich. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta rzecz, nieogarniona zwyczajnem pojmowaniem, co stała między nim a tą potęgą, która słucha wyrzeczonych w złej wierze przekleństw i daje im moc dokonania. Było ciemno. Nie każdy człowiek doznał takiej ciemności. I oto zamierzano uczynić tam światło. Światło! Widział, jak padnie ono na niesławę, na ubóstwo, na pogardę. Ktoś już pewno... Może ktoś już...

Nieporównany *Capataz*, Nostromo, groźny i wielbiony kapitan Fidanza, niezaprzeczony orędownik tajnych stowarzyszeń, republikanin jak stary Giorgio, rewolucjonista w głębi duszy (ale na inny sposób), omal że nie rzucił się w morze z pokładu swego własnego *schoonera*. Ten człowiek, subjektywny do szaleństwa, patrzył samobójstwu trzeźwo w twarz. Ani na chwilę nie stracił głowy. Krępowała go myśl, że oto niema wyjścia. Wyobrażał sobie, że jest martwy, a niesława i hańba trwa. A raczej nie mógł sobie wyobrazić, że może umrzeć. Nazbyt silne miał poczucie własnego istnienia, przejawiającego nieskończoną trwałość w swej zmienności, by zawładnąć pojęciem skończoności. Ziemia puszczona jest w ruch raz na zawsze.

Przytem był odważny. Była to odwaga zdrożna, ale równie dobrze nadająca się do jego celów jak każda inna. Podpłynął aż pod wiszar Wielkiej Izabeli, rzucając z pokładu badawcze spojrzenie ku wylotowi rozpadliny, zasnutej nietkniętą gęstwą chaszczy. Podpłynął tak blisko, iż wymienił pozdrowienia z robotnikami, co przysłaniali oczy dłońmi, stojąc na skraju przepaścistego zbocza wiszaru, z którego zwieszało się ramię potężnego żórawia. Zdał sobie sprawę, iż żaden z nich nie miał sposobności bodaj zbliżyć się do wąwozu, w którym spoczywało ukryte srebro, że w tej kryjówce bywał tylko on sam. W przystani dowiedział się, iż nikt nie sypiał na wyspie. Robotnicy powracali co wieczora do przystani, śpiewając chóralnie pieśni w pustych przewozowcach, holowanych linami ku wybrzeżu. Narazie nie miał czego się obawiać.

Ale potem? — zadawał sobie pytanie. Później, gdy latarnik zamieszka w chacie, którą miano wybudować o sto pięćdziesiąt yardów poniżej niewysokiej wieży

strażniczej, a o jakieś czterysta jardów od mrocznej, cienistej, dzikiej rozpadliny, co zawierała tajemnicę jego bezpieczeństwa, jego wpływów, jego wspaniałości, jego przewagi nad przyszłością, jego urągania niedoli oraz wszelkiemu, możliwemu oszukaństwu zarówno bogaczy jak biedaków — co będzie później? Nie otrząśnie się jużcić nigdy z tego skarbu. Jego śmiałość, większa niż u innych ludzi, wszczepiła tę żyłę srebra w jego życie. A poczucie straszliwego i płomiennego uciemiężenia, poczucie swej niewolniczości — tak dalece głębokiej i niecofnionej, iż nieraz w myślach przyrównywał siebie do legendarnych *Gringów*, co nito żywi nito martwi, przykuci są do swych, nieprawnie zdobytych bogactw na Azuerze — obarczało ciężko niezależnego kapitana Fidanzę, właściciela i pana przybrzeżnego *schoonera*, którego chwacka powierzchowność (i bajeczne do handlu szczęście) znane były powszechnie wzdłuż zachodniego wybrzeża rozległego kontynentu.

Widywano kapitana Fidanzę, jak chodził swym zwyczajem za interesami po ulicach Sulaca. Nastroszywszy z powagą bujne wąsy, stąpał nieco mniej gibkim krokiem, kryjąc siłę i umiar swych potężnych członków w pospolitości brunatnego, tandetnego ubrania, sporządzonego przez Żydów w zaułkach londyńskich, a nabytego w oddziale konfekcyjnym *Companii Anzani*. Jak zazwyczaj pozwalał się domyślać, iż sprzedał z ogromnym zyskiem swój ładunek. Był to ładunek solonej ryby, a wielki post się zbliżał. Krążył tramwajem między miastem a przystanią, rozmawiał ze znajomymi w kawiarni miarowym, statecznym głosem. Kapitan Fidanza był na oczach ludzkich. Pokolenie, które nie słyszało nic o słynnej jeździe do Cayty, jeszcze na świat nie przyszło.

Capataz de Cargadores, przezwany niesłusznie Nostromem, zdobył sobie pod swem właściwem nazwiskiem inne stanowisko publiczne, ale zmienione skutkiem odmiennych warunków, mniej malownicze i trudniejsze do utrzymania śród pomnażającej się i różnorodnej ludności Sulaca, postępowej stolicy Rzeczypospolitej Zachodniej.

Kapitan Fidanza, już nie malowniczy, lecz zawsze nieco tajemniczy, był doskonale znany pod wysokim, oszklonym dachem stacji kolejowej w Sulaco. Zwykł był tam wsiadać do pociągu lokalnego i wysiadać w Rincon, gdzie odwiedzał wdowę po *Cargadorze*, co zmarł z ran (u świtu nowej ery jak Don José Avellanos) na *patio Casy Gould*. Raczył usiadać na ławie i wypijać szklankę chłodnej limonjady w chacie tej kobiety, co stojąc przed nim, zalewała go istną powodzią słów, których nie słuchał. Doręczał jej, jak zwykle, nieco pieniędzy. Osierocone dzieci, w już podrastały i uczęszczały do szkoły, nazywały go wujem i błogosławiły krzykliwie. Pozwalał na to. Wychodząc, zatrzymywał się na chwilę w drzwiach, by z lekkiem zmarszczeniem brwi spojrzeć na spłaszczone oblicze góry San Tomé. To przelotne zmarszczenie, rzucające cień surowości na nieuskromiony zazwyczaj wyraz jego bronzowego czoła, dostrzegano także w Loży, do której uczęszczał — ale którą opuszczał przed ucztą. Brał w niej jednakże czasem udział, by spotkać się z kilku dobrymi towarzyszami, Włochami i krajowcami, co zbierali się ku jego czci pod przewodnictwem szmatławego, chorowitego, nieco garbatego fotografa o bladej twarzy, zabarwionej rumieńcem krwiożerczej nienawiści do wszystkich kapitalistów i ciemiężycieli

obu półkul ziemskich. Stary rewolucjonista, bohaterski Giorgio Viola, nie byłby nic rozumiał z jego zagajeń, zaś kapitan Fidanza, rozrzutnie hojny w stosunku do biednych towarzyszy, nie przemawiał wcale. Słuchał namarszczony i roztargniony, poczem wychodził niedostępny i milczący jak człowiek, obarczony troskami.

Zmarszczki jego pogłębiały się, gdy wczesnym rankiem widywał kamieniarzy, wyruszających na Wielką Izabelę przewozowcami, naładowanemi ciosanym kamieniem, wystarczającym do ułożenia jednej warstwy muru.

Była to praca jednego dnia. Codziennie jedna warstwa.

To też kapitan Fidanza rozmyślał. Obecność tych natrętów na wyspie mogła mu uniemożliwić dostęp do skarbu. Już przedtem bywał on niebezpieczny i trudny. Był zatrwożony i zły. Rozmyślał ze stanowczością władcy i chytrością zalęknionego niewolnika. Poczem poszedł na wybrzeże.

Był człowiekiem pomysłowym i rzutkim. Wybieg, który znalazł w krytycznej chwili, okazał się dość skutecznym, by zmienić położenie doszczętnie. Nieporównany Nostromo posiadał dar wysnuwania bezpieczeństwa nawet z niebezpieczeństw. Gdyby się osadziło Giorgia na Wielkiej Izabeli, nie byłoby potrzeba się ukrywać. Mógłby bywać tam jawnie, za dnia, odwiedzać jego córki — jedną z jego córek — i pozostawać do późna, gawędząc ze starym *garibaldinem.* Następnie pociemku... Noc po nocy... Miałby wówczas odwagę bogacić się szybciej. Pragnął ogarnąć, objąć, pochłonąć, podbić w swe niezaprzeczone posiadanie ten skarb, co gnębił jego duszę, jego czyny, nawet jego sen.

Poszedł odwiedzić swego przyjaciela, kapitana Mitschella — i rzecz udało się załatwić, jak dr. Monygham opowiadał poźniej Mrs. Gould. Gdy o projekcie tym napomknięto *garibaldinowi*, coś jakby przebłysk rozwagi, jakby nikła zjawa przepomnianego oddawna uśmiechu przemknęła pod białemi, ogromnemi wąsiskami starego wroga królów i ministrów. Córki były dlań przedmiotem pieczołowitej troski. Zwłaszcza starsza, Linda, co miała głos matki, zastępowała poniekąd jej miejsce. Jej głębokie, drgające pytanie: *Eh, Padre?* zdawało się, ze zmianą tylko jednego słowa, istnem echem namiętnego, nawołującego odzewu *Eh, Giorgio?* biednej *signory* Teresy. Nabrał głębokiego przeświadczenia, iż miasto nie jest odpowiedniem miejscem pobytu dla jego córek. Zadurzony, lecz prostoduszny Ramirez był dla niego odrażający, gdyż posiadał wszystkie wady tego kraju, którego ludność składała się ze ślepych, nikczemnych *esclavos*.

Powróciwszy z swej następnej podróży, kapitan Fidanza zastał już Violów w chacie, przeznaczonej dla latarnika. Nie zawiodła go znajomość uprzedzeń Giorgia. *Garibaldino* nie zgodził się, żeby mu dodano kogoś innego do pomocy prócz jego córek. Zaś kapitan Mitschell, chcąc przypodobać się swemu lubemu Nostromowi, z tą trafnością natchnienia, która bywa darem tylko szczerego przywiązania, mianował formalnie Lindę Viola pomocnicą latarnika na Wielkiej Izabeli.

— Latarnia ta jest własnością prywatną — mawiał. — Należy do naszego przedsiębiorstwa. Jest w mojej mocy mianować, kogo mi się podoba, więc zamianowałem Violę. Jest to bodaj jedyna rzecz, o którą

Nostromo — to złoty człowiek, proszę mi wierzyć! — nigdy mnie nie prosił.

Skoro tylko jego *schooner* stanął na kotwicy naprzeciw nowego Urzędu Cłowego, co ze swym płaskim dachem i kolumnadą wygląda niby grecka świątynia, kapitan Fidanza wypłynął w swej łódce z przystani, kierując się ku Wielkiej Izabeli. Uczynił to jawnie, w świetle kończącego się dnia, przed oczyma ludzkiemi, doznając wrażenia, iż udało się mu poskromić Przeznaczenie. Musi ustalić swe stanowisko. Poprosi Giorgia o rękę jego córki. Wiosłując, myślał o Gizeli. Linda może go kocha, ale starzec będzie rad, gdy pozostanie mu starsza córka, co ma głos jego żony.

Nie popłynął do wąskiej smugi, gdzie wylądował z Decoudem i gdzie przybił, gdy po raz pierwszy odwiedzał skarb. Zawinął do innego zbrzeża i szedł pod górę po łagodnem zboczu wyspy, co jest kształtu klina. Giorgio Viola, którego dojrzał zdaleka, siedzącego na ławie pod ścianą chaty, podniósł zlekka ramię na jego głośne pozdrowienie. Wyszedł na wzgórze. Nie pojawiła się żadna z dziewcząt.

— Dobrze tu — rzekł starzec z właściwą sobie, surową zadumą.

Nostromo skinął głową, poczem po krótkiem milczeniu odezwał się:

— Czy widzieliście, ojcze, jak mój *schooner* przepływał tędy przed niespełna dwiema godzinami? I czy wiecie, dlaczego tu jestem, zanim moja kotwica zdołała się mocniej wgryźć w dno sulackiego portu?

— Witam cię jak własnego syna — oświadczył starzec spokojnie, patrząc na morze.

— Ach, wasz syn! Wiem. Jestem tem, czem byłby

wasz syn. No, dobrze, *viejo*. To bardzo miłe powitanie. Posłuchajcie, przyszedłem prosić o...

Nagły lęk ogarnął nieustraszonego i nieskazitelnego Nostroma. Nie śmiał wymówić imienia w myśli. Krótka przerwa dodała tylko uroczystej wagi zmienionemu zakończeniu zaczętego zdania.

— O żonę!... — Serce biło mu mocno. — Czas już, abyście...

Garibaldino zatrzymał go podniesieniem ramienia.

— Pozostawiłem to do twojego uznania.

Podniósł się zwolna. Broda, nieprzystrzygana od śmierci Teresy, gęsta i śnieżnobiała, zakrywała jego potężną pierś. Zwrócił głowę ku drzwiom i zawołał mocnym głosem:

— Linda.

Odpowiedź jej zabrzmiała z wnętrza chaty przenikliwie i słabo. Przerażony Nostromo powstał również, ale nie odezwał się, patrząc na drzwi. Był pełen trwogi Nie lękał się odmowy dziewczyny, którą kochał — żadna odmowa nie mogła stanąć między nim a upragnioną kobietą — lecz oto zamajaczył przed nim lśniący zwid skarbu, domagając się jego milczącej uległości żądaniem, któremu niepodobna było się sprzeciwiać. Drżał, gdyż niby owi *Gringos* na Azuerze należał z ciałem i z duszą do bezprawia swego zuchwalstwa. Obawiał zię, żeby mu nie zabroniono bywać na wyspie. Był zatrwożony i nie przemówił ani słowa.

Widząc dwu mężczyzn, co stali obok siebie i czekali na nią, Linda zatrzymała się we drzwiach. Nic nie mogło odmienić namiętnej, stężałej białości jej lica; ale jej oczy zdawały się chłonąć i skupiać wszystką jaśń zachodzącego słońca w ognistych skrach, co mi-

gotały w ich czarnej głębi, przysłoniętej opuszczeniem ciężkich powiek.

— Oto twój małżonek, pan i dobroczyńca! — Głos starego Violi rozbrzmiewał z taką siłą, iż zdawał się wypełniać przestwór zatoki.

Postąpiła przed siebie z zamkniętemi niemal oczyma niby lunatyk, co błądzi w wniebowziętym śnie.

Nostromo uczynił nadludzki wysiłek. — Czas już, Lindo, żebyśmy się zaręczyli — rzekł stanowczo swym równym, niedbałym, nieuskromionym głosem.

Włożyła dłoń w wyciągniętą jego rękę, pochylając swą ciemną, o bronzowych poświatach głowę, na której spoczęła przez chwilę ręka jej ojca.

— Stanie się tedy zadość duszy nieboszczki.

Słowa te wyrzekł Giorgio Viola, który zaczął mówić o swej zmarłej żonie. Młodzi siedzieli obok siebie, nie podnosząc oczu. Gdy starzec skończył, Linda, nie ruszając się, jęła szczebiotać:

— Odkąd tylko uczułam, że żyję na świecie, żyłam tylko dla ciebie, Gianie Battisto. I ty wiesz o tem! Ty wiesz... Battistino.

Wymawiała jego imię zupełnie tak samo jak jej matka. Mrok grobu przysłonił serce Nostroma.

— Tak jest. Wiem — odezwał się.

Bohaterski *garibaldino* siedział na ławie, pochyliwszy swą sędziwą głowę. Dusza jego przebywała samotnie wśród wspomnień czułych i namiętnych, smutnych i straszliwych. Był sam śród mrowia ludzkiego na ziemi.

Zaś Linda, jego najmilsza córka, mówiła: — Byłam twoją, odkąd tylko pamiętam. Myślałam tylko o tobie, gdyż ziemia bez ciebie stawała się pustkowiem dla mych oczu. Gdyś był przy mnie, nie widziałam ni-

kogo innego. Byłam twoja. Nie zmieniło się nic. Świat należy do ciebie, a ty mi pozwalasz żyć na nim. — Przyciszyła jeszcze więcej swój niski, drgający głos i znalazła inny przedmiot rozmowy — co był udręką dla siedzącego obok niej mężczyzny. Zdawała się nie widzieć swej siostry, która wyszła z robótką w ręku i przeszła przed nimi milcząca, wdzięczna, świeża, by z przelotnem zerknięciem i nikłym uśmieszkiem usiąść opodal, po drugiej stronie Nostroma.

Wieczór był cichy. Słońce obniżyło się niemal do skraju purpurowego oceanu. Biała wieża, siniejąca na tle obłoków, wypełniających wnętrze zatoki, piastowała czerwono jarzącą się latarnię niby głownię, zapaloną przez ognie niebieskie. Gizela, gnuśna i układna, podnosiła co chwila do ust swą robótkę, by ukryć nerwowe ziewanie, podobne do poziewania młodej pantery.

Wtem Linda podbiegła do siostry i uchwyciwszy jej głowę w swe dłonie, jęła okrywać jej twarz pocałunkami. Nostromowi zaćmiło się w mózgu. Gdy ją wreszcie puściła, jakby odurzoną temi namiętnemi pieszczotami, niewolnik skarbu uczuł, że mógłby zastrzelić tę kobietę. Stary Giorgio podniósł swą lwią głowę.

— Dokąd idziesz, Lindo?

— Na górę, do latarni, *padre mio*.

— *Si*, *si* — do swego obowiązku.

Podniósł się również z miejsca, spoglądając za swą starszą córką; poczem rzekł głosem, którego pogodny ton zdawał się być echem wesołości, zatraconej w mroku wieku:

— Pójdę ugotować coś na wieczerzę. Aha, synku! Starzec wie także, gdzie znaleźć butelkę wina.

Zwrócił się do Gizeli z wyrazam surowej czułości.

— A ty, mała, nie módl się do Boga księży i niewolników, ale do Boga sierót, uciśnionych, biednych i niewiniątek, żebyś dostała również takiego męża.

Położył na chwilę swą ciężką dłoń na ramieniu Nostroma, poczem wyszedł. Beznadziejny niewolnik srebra z San Tomé uczuł przy tych słowach, że jadowite szpony zazdrości wpijają się mu głęboko w serce. Był przerażony nowością tego uczucia, jego siłą, fizyczną dotkliwością. Mąż! Mąż dla niej! A jednak było rzeczą naturalną, iż Gizela będzie miała męża wcześniej lub później. Nigdy przedtem nie było to dla niego bliskiem rzeczywistości. Uświadomiwszy sobie, że jej uroda może należeć do kogoś innego, uczuł, iż mógłby zabić również i tę córkę starego Giorgia. Odezwał się chmurnie:

— Powiadają ludzie, że kochasz Ramireza.

Potrząsnęła głową, nie patrząc na niego. Miedziane poświaty zamigotały na złocie jej szczodrych włosów. Jej gładkie czoło miało czystą, pieściwą krasę drogocennej perły, pałającej w chwale zachodu, co śród majestatu ciszy zlewał się z mżeniem przestworów gwiezdnych, z purpurą morza i szkarłatem obłoków.

— Nie — rzekła zwolna. — Nigdy go nie kochałam. Zdaje mi się, że nigdy... To może on — mnie kocha.

Pokusa jej miękkiego głosu zastygła w powietrzu, a jej podniesione oczy zapatrzyły się w próżnię, jakby bezmyślne i obojętne.

— Czy Ramirez mówił tobie, że cię kocha? — spytał Nostromo, powściągając się.

— Ach, raz — pewnego wieczora...

— Łajdak... Ha!

Zerwał się na równe nogi, jakby ugryziony przez osę, i stał przed nią gniewny.

— *Misericordia Divina!* I ty także, Gianie Battisto? Biednaż ja! — żaliła się serdecznym głosem. — Powiedziałam Lindzie i zrzędziła na mnie — zrzędziła. Mamże żyć jak ślepa, głucha i niema na tym świecie? Wygadała się ze wszystkiem przed ojcem, który zdjął swą strzelbę i oczyścił ją. Biedny Ramirez! Potem przyszedłeś ty, i powiedziała tobie.

Patrzał na nią. Utkwił oczy w dołku jej białej szyi, co miała nieodparty urok rzeczy młodych, tętniących, nadobnych i żywych. Byłaż tem samem, dobrze mu znanem dzieckiem? Byłoż to możliwe? Błysnęło mu w mózgu, iż w ostatnich latach widywał ją mało — prawie wcale. Wcale. Przyszła na świat jak coś nieznanego. Naszła go niepostrzeżenie. Była niebezpieczeństwem. Strasznem niebezpieczeństwem. Instynktowny poryw dzikiej stanowczości, co nie zawodziła go nigdy wobec niebezpieczeństw życia, zespolił swą krzepką siłę z ognistością jego namiętności. Zaś ona szczebiotem, co przypominał mu śpiew bieżącej wody i pobrzęk srebrnego dzwonka, mówiła dalej:

— Śród was trojga uwięziona jestem tu między niebem a morzem. Nic innego, tylko niebo i morze! Posiwieję na tej szkaradnej wyspie. Mogłabym cię znienawidzieć, Gianie Battisto!

Zaśmiał się głośno. Głos jej upowijał go niby pieszczota. Uskarżała się na swój los, roztaczając bezwiednie nieokreślony urok swej istoty niby kwiat, co rozprasza swe wonie w chłodzie wieczoru. Byłoż to jej winą, że nikt nigdy nie wielbił Lindy? Nawet kiedy jeszcze były małe i chodziły z matką na mszę, nikt nie zwracał uwagi na Lindę, która nie bała się

niczego, lecz wszyscy woleli patrzeć na nią, chociaż była zawsze zalękniona. Może to dlatego, że ma włosy niby złoto.

Wybuchnął:

— Twe włosy są nito złoto, twe oczy nito fiołki, a twe usta nito róże. Twe krągłe ramiona, twa biała szyja...

Nie zmieniając swej niedbałej postawy, zarumieniła się mocno aż po same włosy. Nie była zarozumiała. Nie więcej miała świadomości siebie od kwiatu. Ale była uradowana. A może nawet kwiat lubi, kiedy go chwalą. Spojrzał wdół i dodał porywczo:

— Twe drobne nóżki.

Opierając się o chropowate kamienie ściany, zdawała się kąpać w mdlejącej poświetli różanej czerwieni. Z pod spuszczonych powiek spojrzała na swe małe nóżki.

— Jak to dobrze, że pobierzecie się wkońcu z Lindą! Jest okropna. Niejedno teraz lepiej zrozumie, odkąd powiedzałeś jej, że ją kochasz. Nie będzie sroga.

— *Chica!* — odparł Nostromo. — Nic jej nie powiedziałem.

— To pośpiesz się. Przyjdź jutro. Przyjdź i powiedz jej, aby się uspokoiła i przestała na mnie zrzędzić, a może — kto wie...

— Będzie ci wolno gruchać z twoim Ramirezem, co? Czy nie tak? Ty...

— Na miłość Boską! Jakiś ty złośnik, Giovanni! — rzekła nieporuszona. — Ramirez... Ramirez... Kto to jest? — powtarzała sennie w głuszy i mroku mgławej zatoki. Od zachodu jarzyła się nisko czerwona smuga niby zawora z rozpalonego żelaza, co zamykała dostęp do posępnego jak jaskinia świata, w którym wspaniały

Capataz de Cargadores ukrył swą zdobycz miłości i bogactwa.

— Posłuchajno, Gizelo — rzekł miarowym głosem.— Nie powiem twojej siostrze, że ją kocham. A czy chcesz wiedzieć, dlaczego?

— Niestety! Może ja tego nie będę mogła zrozumieć, Giovanni. Ojciec powiada, że nie jesteś jak inni ludzie; że dotychczas nikt właściwie cię nie rozumiał; że bogacze jeszcze się zadziwią... O, święci Pańscy! Jakaż ja zmęczona!

Podniosła swą robótkę, by zasłonić dolną część twarzy, poczem opuściła ją na kolana. Latarnia od strony lądu była ślepa, ale wbok od ciemnej kolumny wieży mogli widzieć długą strzałę światła, strzeżonego przez Lindę, co wnikało w dogasające na widnokręgu żarze purpury i czerwieni.

Gizela Viola z głową, opartą o mur chaty, z napoły przymkniętemi oczyma, z skrzyżowanemi, drobnemi nóżkami w białych pończoszkach i czarnych pantofelkach, zdawała się oddawać z fatalistycznym spokojem nadlegającym mrokom. Urok jej ciała, obiecująca tajemniczość jej bezwładu roztaczały się śród oćmy Zatoki Cichej, rozpraszając się w cieniach i przepajając powietrze niby jakaś świeża i upajająca wonność. Nostromo wdychał jej przemożny czar burzliwie wezbraną piersią. Opuszczając przystań, zdjął z siebie tandetną odzież kapitana Fidanzy, żeby mu nie przeszkadzała w wiosłowaniu, i stał przed nią w pstrej koszuli i czerwonym pasie, jak zwykł był ukazywać się na wybrzeżu przystani, kiedy jako śródziemnomorski marynarz przybył, by szukać szczęścia w Costaguanie. Zmierzch purpury i czerwieni spowijał go również — mocno, miękko, głęboko, zaledwie o jakieś

pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie zapadał wieczór po wieczorze dokoła samobójczo namiętnego, bezwzględnego sceptyzmu Dona Martina Decouda, pałając zwidem śmierci śród pustkowia.

— Słyszałaś już, — zaczął wkońcu, nie tracąc panowania nad sobą — że nie powiem ani słowa miłości twojej siostrze, z którą jestem zaręczony od dzisiejszego wieczora, ponieważ kocham tylko ciebie. Tylko ciebie!...

Mimo mroku dostrzegł słodki i rozkoszny uśmiech, co instynktownie pojawił się na jej ustach, stworzonych do miłości i pocałunków, by zastygnąć w pociągłych, twardych linjach grozy. Nie mógł pohamować się dłużej. Targnęła się wstecz przed nim, ale jej ramiona wybiegły ku niemu, uległe i królewskie w godności jej tęsknego oddania. Ujął jej głowę w swe dłonie i śpiesznemi pocałunkami okrywał odwrócone lico, co majaczyło jeszcze w purpurowym zamierzchu. Władczy i czuły ogarniał ją zwolna w pełne swe posiadanie. Wtem zdał sobie sprawę, że ona krzyczy. Wtedy nieporównany *Capataz*, człowiek lekkomyślnych miłostek, stał się łagodnym i pieszczotliwym niby kobieta, co ucisza rozpłakane dziecię. Przemawiał do niej słodko, poczem usiadł obok niej i przytulił jej piękne rączki do swej piersi. Nazywał ją swą gwiazdką, swym kwiatuszkiem.

Ciemność zapadła. Z izby kuchennej domostwa, gdzie Giorgio, jeden z „nieśmiertelnego tysiąca", pochylał swą lwią, bohaterską głowę nad ogniskiem, dolatywał szmer smażenia i zapach artystycznej *frittury*.

W mętnej zamieszce zdarzenia, co spadło na nią niby nieszczęście, pozostała jej kobieciej główce jakby iskra rozumu. On zapomniał o świecie, trzymając ją w objęciach. Ale ona rzekła szeptem mu do ucha:—

Boże miłosierny! Co się stanie ze mną — tu — teraz — między tem niebem i tą wodą, której nienawidzę? Linda, Linda — widzę ją!... — Próbowała uwolnić się z jego ramion i nagle ustała na dźwięk tego imienia. Ale nikt nie zbliżał się do ich ciemnych postaci, splecionych i pasujących się na białem tle ściany. — Linda! Biedna Linda! Drżę! Umrę ze strachu przed moją biedną siostrą, Lindą, co zaręczyła się z Giovannim — moim kochankiem! Tyś musiał być niespełna zmysłów, Giovanni! Nie rozumiem ciebie! Nie jesteś jak inni ludzie. Nie oddam cię nikomu — nigdy — chyba Bogu samemu. Ale poco uczyniłeś tę ślepą, szaloną, okrutną, straszliwą rzecz?

Wyzwoliwszy się z objęcia, zwiesiła głowę i opuściła ręce. Robótka, jakby uniesiona przez mocny wiatr, leżała daleko od nich, majacząc bielą na czarnej ziemi.

— Bo bałem się, że utracę ciebie.

— Wiesz przecie, że posiadasz mą duszę! Wiesz wszystko! Dusza moja była stworzona dla ciebie. Cóż więc może stanąć między tobą a mną? Co? Powiedz! — powtarzała bez zniecierpliwienia, z przedziwną pewnością.

— Twa nieboszczka matka — odparł bardzo cicho.

— Ach... Biedna matka! Chciała zawsze... Jest teraz świętą w niebie, ale ja nie mogę jej ciebie odstąpić. Nie, Giovanni! Chyba Bogu samemu. Byłeś szalony — ale już się stało. Oh, coś ty uczynił? Giovanni, mój najmilszy, moje życie, mój panie, nie pozostawiaj mnie tu, w tej mogile z obłoków. Nie możesz mnie teraz pozostawić! Musisz mnie zabrać — odrazu — natychmiast — do swej łódki. Giovanni, zabierz mnie jeszcze dziś wieczorem, bo lękam się oczu Lindy.

Przytuliła się mocno do niego. Niewolnik srebra

z San Tomé uczuł jakgdyby brzemię kajdanów na swych członkach i wydało się mu, jakgdyby jakaś zimna dłoń spoczęła na jego ustach. Jął zmagać się z tem zaklęciem.

— Nie mogę — powiedział. — Jeszcze nie. Jest coś, co stoi między nami dwojga a wolnym światem.

Przycisnęła się całą swą postacią jeszcze mocniej do niego z naiwnym i subtelnym instynktem pokusy.

— Majaczysz, Giovanni — mój najmilszy — szeptała zachęcająco. — Cóż to takiego może być? Zabierz mnie — do siebie — do *Donii* Emilji — zabierz stąd! Nie jestem bardzo ciężka.

Zdawało się, jakgdyby oczekiwała, że uniesie ją w swych ramionach. Postradała poczucie niemożliwości. Wszystko mogło się stać tej cudownej nocy. Gdy się nie poruszył, krzyknęła niemal głośno:

— Mówię ci, że się boję Lindy. — Ale on stał dalej bez ruchu. Uspokoiła się przebiegle. — Cóż to takiego może być? — spytała pieszczotliwie.

Czuł ją żywą, ciepłą, oddychającą, zwieszoną w objęciu swych ramion. W rozradowanem poczuciu swej siły i w triumfującem podniesieniu umysłu wyłamał się na swobodę.

— Skarb — odrzekł. — Było cicho. Nie zrozumiała. — Skarb. Skarb srebra, za który kupię złotą koronę na twe czoło.

— Skarb? — powtórzyła słabym głosem, jakgdyby dobytym z bezdni marzenia. — Co ty mówisz?

Odsunęła się od niego łagodnie. Powstał z ławy i spojrzał na nią, szukając oczyma jej twarzy, jej włosów, jej ust, dołeczków na jej policzkach — widząc czarowność jej postaci śród oćmy zatoki, jakgdyby to była skwarna jaśń południa. Jej niedbały i urzekający głos

drżał z podniecenia zalęknionego podziwu i nieuskromionej ciekawości.

— Skarb srebra! — przemówiła. Poczem jęła nalegać usilniej: — Powiedz! Gdzie? W jaki sposób zdobyłeś go, Giovanni?

Pasował się z zaklęciem ujarzmienia. Był to jakby bohaterski odruch, gdy wybuchnął:

— Jak złodziej.

Doznał wrażenia, iż najgęstsza oćma Zatoki Cichej wali się mu na głowę. Już jej widzieć nie mógł. Zanikła w długiem, oślepłem, przepaścistem milczeniu, z którego po pewnym czasie doleciał go jej głos wraz z nikłem zamigotaniem, które było jej licem.

— Kocham ciebie! Kocham ciebie!

Te słowa wróciły mu zapomniane poczucie swobody; przełamały zaklęcie, silniejsze od potępieńczego zaklęcia skarbu; znużoną jego uległość względem tej martwej rzeczy zamieniły w radosne przeświadczenie o swej potędze. Jął mówić, iż może ją upieścić przepychem, równym przepychowi *Donii* Emilji. Bogacze żyją z bogactw, ukradzionych ludowi, ale on nie zabrał bogaczom niczego — niczego, coby nie było dla nich już i tak stracone skutkiem ich szaleństwa, ich oszukaństwa. Gdyż zdradzono go — zapewniał — oszukano, sponiewierano. Uwierzyła mu... Zagarnął ten skarb, żeby się zemścić, ale teraz nie dba już o zemstę. Dba tylko o nią. Chciałby, żeby jej uroda zajaśniała w pałacu na wzgórzu, uwieńczonem drzewami oliwnemi — w białym pałacu nad błękitnem morzem. Ukryje ją tam jak klejnot w szkatule. Zakupi dla niej majętność — podścieli pod jej drobne stopy ziemię, bogatą w winnice i zboża. Oto on stópki jej całuje... Zapłacił on już za to wszystko duszą pewnej kobiety i życiem

pewnego mężczyzny... *Capataz de Cargadores* osiągnął najwyższe upojenie swej szczodrobliwości. Rzucił zagarnięty skarb wspaniałomyślnie pod jej stopy w oćmie zatoki, w oćmie, urągającej — jak powiadają ludzie — wszechwiedzy Boskiej i chytrości djabelskiej. Ale najpierw — ostrzegał ją — niechaj pozwoli mu się wzbogacić.

Słuchała jak w zaśnieniu. Jej palce błądziły w jego włosach. Podniósł się z kolan chwiejny, słaby, wytlony, jakby postradał swą duszę.

— Śpieszże się — rzekła. — Śpiesz się, Giovanni, mój kochanku, mój panie, gdyż nie oddam ciebie nikomu, chyba tylko samemu Bogu. A boję się Lindy.

Odgadł jej trwogę i zaklął się, że uczyni, co tylko będzie w jego mocy. Zaufał odwadze jej miłości. Ona zaś przyrzekła, że wytrwa, bo chce być kochana zawsze — hen, w białym pałacu nad błękitnem morzem... Potem z trwożną, kusicielską pożądliwością szepnęła:

— Gdzie on jest? Gdzie? Powiedz mi, Giovanni.

Otworzył usta i zaniemiał — jak porażony gromem.

— Nie pytaj o to! Tylko nie o to! — żżymał się, przerażony zjawą tajemnicy, co kazała mu milczeć przed tylu ludźmi, rzucającymi się znów ku jego ustom z nieodpartą siłą. Nawet jej nie powie tego. Nawet jej! To nazbyt było niebezpieczne. — Zabraniam ci pytać — wołał, tłumiąc przezornie uniesienie swego głosu.

Nie odzyskał wolności. Pojawiło się widmo zdrożnego skarbu i stanęło obok niej niby posąg srebrny, bezlitosne i tajemnicze, z wzniesionym palcem na bladych ustach. Zamarła w nim dusza, gdyż zobaczył siebie, jak pełznie w głąb rozpadliny, mając wyziewy

ziemi i zgniłych liści w nozdrzach — jak wpełza tam dla celu, od którego lodowacieje mu pierś, i wypełza, obładowany srebrem, nadsłuchując czujnie, czy nie rozlegną się podejrzane szmery. Trzeba będzie dokonać jeszcze dzisiejszej nocy tej pracy podłego niewolnika.

Pochylił się nisko, przycisnął rąbek jej sukienki do swych ust i rozkazał jej szeptem:

— Powiedz mu, że nie chciałem pozostać — poczem odszedł od niej nagle, w milczeniu, a ciemna noc stłumiła szmer jego kroków.

Siedziała cicho, z głową, opartą bezwładnie o ścianę, skrzyżowawszy małe nóżki w białych pończoszkach i czarnych pantofelkach. Stary Giorgio, gdy wreszcie wyszedł z domu, nie wydawał się bynajmniej zdziwionym wiadomością o odejściu Nostroma, jak tego niejasno się lękała. Była bowiem obecnie pełna niepojętej trwogi — i lękała się wszystkiego i wszystkich prócz swego Giovanniego i jego skarbu. Nie wierzyła atoli w ten skarb.

Stary *garibaldino* przyjął wiadomość o nagłem odejściu Nostroma z mądrą pobłażliwością. Wspomniał swe własne odczuwania i okazał męską przenikliwość co do istotnego stanu rzeczy.

— *Va bene*. Niech idzie. Ha, ha! Jest markotno, chociażby kobieta była nie wiedzieć jak piękna. Swoboda, swoboda! Różnego bywa ona rodzaju! — I wyrzekł wielkie słowo, że „Giana Battisty nie należy krępować“. Zdawał się pouczać nieruchomą i zmieszaną Gizelę... Stojąc już we drzwiach, dorzucił dogmatycznie, iż „mężczyzn nie należy krępować“. Nie podobała się mu jej cichość i milczenie. — Nie zazdrość swej siostrze losu! — napominał ją z wielką powagą swym głębokim głosem.

Wnet potem powrócił znów do drzwi, by zawołać swą młodszą córkę. Było już późno. Trzy razy musiał powtórzyć jej imię, zanim podniosła głowę. Pozostawszy w samotności, stała się bezwolną igraszką osłupienia. Niby człowiek głęboko uśpiony weszła do izby, w której sypiała z Lindą. Było to tak zastanawiające, iż nawet stary Giorgio odwrócił oczy od Biblji i potrząsnął głową, gdy zamykała drzwi za sobą.

Przeszła przez pokój, nie patrząc na nic, i usiadła odrazu przy otwartem oknie. Linda, wymknąwszy się z wieży w wezbraniu swego szczęścia, zastała ją opodal zapalonej świecy, zapatrzoną w czarną noc, pełną łkających podmuchów wiatru i szmeru odległych ulew — noc, jaka bywa w tej zatoce, za głucha dla oczu Boskich i dla podstępów szatańskich. Nie odwróciła głowy, gdy skrzypnęły otwierane drzwi.

Było coś w tym bezruchu, co dosięgło Lindę w głębiach jej błogości. Starszej siostrze przyszła gniewna myśl do głowy, że to dziecko marzy o tym nicponiu, Ramirezie. Linda pragnęła rozmowy. Zawołała swym opryskliwym głosem: — Gizelo! — lecz nie otrzymała w odpowiedzi najlżejszego drgnięcia.

Dziewczyna, która miała mieszkać w pałacu i stąpać po własnych majętnościach, poprostu konała ze strachu. Za nic w świecie nie byłaby odwróciła głowy ku twarzy swej siostry. Serce biło jej szalenie. Odrzekła z powściąganym pośpiechem:

— Nie mów do mnie! Modlę się.

Linda rozczarowana wyszła spokojnie; Gizela siedziała niewierząca, zadumana, trwożna, cierpliwa, jakby czekając na potwierdzenie czegoś niepojętego. Beznadziejna czerń obłoków zdawała się również cząstką jej marzenia. Czekała.

Nie czekała napróżno. Człowiek, którego dusza zamarła, wypełzłszy z rozpadliny, obładowany srebrem, dostrzegł migotanie oświetlonego okna i nie mógł się wstrzymać, by nie wrócić z wybrzeża.

Śród nieprzejrzanej oćmy, co pochłonęła ogrom gór na lądzie, dostrzegła niewolnika srebra z San Tomé, niby jakiemś niesłychanem wysileniem cudu. Przyjęła jego powrót, jakgdyby świat nie miał już odtąd mieć dla niej tajemnic na całą wieczność.

Powstała skupiona i zdrętwiała i jęła mówić, zanim poświetl z wnętrza izby zdążyła paść na twarz nadchodzącego mężczyzny:

— Powróciłeś, by mnie zabrać. To dobrze. Otwórz ramiona, Giovanni, mój najmilszy! Idę.

Zatrzymał się w swem ostrożnem stąpaniu i z oczyma, błyskającemi dziko, rzekł szorstkim głosem:

— Jeszcze nie. Muszę bogacić się powoli... — W tonie jego głosu zadrgała groźba. — Pamiętaj, że masz złodzieja za kochanka.

— Wiem, wiem — szepnęła śpiesznie. — Podejdź bliżej! Słuchaj! Nie opuszczaj mnie, Giovanni! Nigdy, nigdy!... Będę cierpliwa!...

Jej postać wychyliła się z niskiego obramienia okna ku niewolnikowi bezprawnie nabytego skarbu. Światło w izbie zgasło. W oćmie zatoki, obładowany srebrem, wspaniały *Capataz* objął ramionami jej białą szyję, jak tonący chwyta się źdźbła trawy.

ROZDZIAŁ XIII.

Pewnego dnia, kiedy Mrs. Gould wedle słów dra Monyghama miała wydać „*tertulię*“, kapitan Fidanza spełzł po obłęku swego *schoonera*, stojącego na kotwicy w porcie sulackim; spokojny, nieuskromiony, rozważny, wsiadł do swego czółna i ujął wiosła. Było później niż zwykle. Miało się już dobrze pod wieczór, kiedy wylądował na poniżu Wielkiej Izabeli i mocnym krokiem jął wspinać się na zbocze wyspy.

Dostrzegł zdaleka Gizelę, siedzącą na krześle u krańca domu, pod oknem panieńskiego pokoju. Trzymała robótkę w rękach blisko oczu. Spokojność tej dziewczęcej postaci wzburzyła poczucie nieustannej waśni i walki, co rozpierało jego pierś. Ogarnął go gniew. Wydało się mu, iż powinna słyszeć zdaleka szczęk jego kajdan — jego srebrnych kajdan. Tem bardziej, że tego dnia spotkał na wybrzeżu doktora o złych oczach, który spojrzał na niego bardzo twardo.

Podniesienie jej oczu ułagodziło go. Kwietna świeżość ich uśmiechu przeniknęła mu wprost w serce. W tem namarszczyła się. Było to ostrzeżenie, żeby miał się na baczności. Zatrzymał się opodal i donośnym, obojętnym głosem zagadnął:

— Dzień dobry, Gizelo. Czy Linda jeszcze nie poszła na górę?

— Już poszła. Jest w dużym pokoju z ojcem.

Podszedł bliżej i zaglądając przez okno do sypialni z obawy, żeby nie był podsłuchany, gdyby Linda powróciła z jakiegoś powodu, odezwał się samem tylko poruszeniem ust:

— Kochasz mnie?

— Nad życie. — I kiedy on patrzył w zadumie na jej robótkę, mówiła dalej, nibyto nie odwracając uwagi od swej pracy: — Inaczej nie mogłabym żyć. Nie mogłabym. Gdyż to moje życie jest podobne do śmierci. Oh, Giovanni, zmarnieję, jeśli mnie stąd nie zabierzesz.

Uśmiechnął się niedbale. — Przyjdę pod okno, gdy się ściemni — powiedział.

— Nie, nie rób tego, Giovanni. Nie dzisiejszego wieczora. Linda rozmawiała dziś długo z ojcem.

— O czem?

— O ile dosłyszałam, o Ramirezie. Nie wiem. Boję się. Ja ciągle się boję. Jest to jak konanie po tysiąc razy na dzień. Twoja miłość jest dla mnie tem, czem dla ciebie twój skarb. Mam ją, a jednak nigdy nie mogę mieć jej dosyć.

Patrzał na nią bardzo spokojnie. Była piękna. Zawrzało w nim pożądanie. Miał teraz dwoje władców. Ale ona była niezdolna do ciągłego podniecenia. Była szczera w tem, co mówiła, lecz sypiała spokojnie w nocy. Rozpłomieniała się, ilekroć go widziała, poczem tylko wzmożona małomówność świadczyła, iż zaszła w niej zmiana. Bała się omamić siebie. Bała się męki, przykrości fizycznych, ostrych słów. Nie chciała się narażać na gniew i mieć do czynienia z przymusem.

Bowiem jej dusza była lekka, wiotka i posiadała pogańską szczerość w swych odruchach. Odezwała się półgłosem:

— Daj mi pałac, Giovanni, i winnicę na wzgórzach, dla której marnieje nasza miłość.

Zaniemówiła, ujrzawszy Lindę, stojącą w milczeniu u węgła domu.

Nostromo zwrócił się do swej narzeczonej z powitaniem i osłupiał na widok jej zapadniętych oczu, zaklęsłych policzków, udręki i niemocy na jej twarzy.

— Czy chorowałaś? — rzekł, starając się okazać niejaką troskliwość tem pytaniem.

Jej czarne oczy wionęły ku niemu płomieniem. — Czy schudłam? — zagadnęła.

— Zapewne — może — nieco.

— I postarzałam się.

— Każdy dzień nie mija bez śladu — na nas wszystkich.

— Obawiam się, że posiwieję, zanim będę miała pierścionek na palcu — rzekła zwolna, nie spuszczając z niego oczu.

Czekała, co powie, odwijając zakasane rękawy.

— Niema obawy — odparł z roztargnieniem.

Odwróciła się, jakgdyby to miało być zakończeniem, i zajęła się gospodarstwem. Nostromo tymczasem rozmawiał z jej ojcem. Rozmowa z starym *garibaldinem* nie była łatwa. Wiek nie uszczuplił jego władz umysłowych, ale zdawało się, jakby zapadły weń głębiej. Jego odpowiedzi dokonywały się zwolna i miały wyraz dostojnej powagi. Wszelako tego dnia był bardziej ożywiony i rześki; zdawało się, jakby było więcej życia w tym starym lwie. Kłopotał się o nieskazitelność swej czci. Dawał wiarę ostrzeżeniom Sido-

niego, iż Ramirez czyha na jego młodszą córkę. I nie dowierzał jej. Była płocha. Nie napomknął nic o swych troskach Gianowi Battiście. Był to przejaw starczej próżności. Chciał okazać, iż jest jeszcze zdolny strzec sam czci swego domu.

Nostromo oddalił się wcześnie. Skoro tylko zniknął, zmierzając ku poniżu, Linda przestąpiła próg i z wymuszonym uśmiechem usiadła obok swego ojca.

Już od owej niedzieli, kiedy zadurzony i zrozpaczony Ramirez czekał jej w porcie, nie miała żadnych wątpliwości. Zazdrosne majaczenia tego człowieka nie były dla niej objawieniem. Niby gwóźdź, wbity w serce, utwierdziły jeno to uczucie nierzeczywistości i omamu, który zamiast błogości i pewności znalazła w obcowaniu z swym przyszłym mężem. Odeszła, obrzucając Ramireza oburzeniem i wzgardą; ale owej niedzieli konała niemal z rozżalenia i wstydu, leżąc na rzeźbionym misternym napisem kamieniu grobowym Teresy, który ufundowali maszyniści i majstrowie z warsztatów kolejowych na znak swej czci dla bohatera zjednoczenia Włoch. Stary Viola nie mógł dać wyrazu swemu życzeniu, aby małżonkę jego pochowano w morzu, więc Linda zapłakiwała się na kamieniu.

Przerażała ją samowola tej zniewagi. Jeśli pragnął złamać jej serce — to niech się dzieje jego wola. Gianowi Battiście wszystko wolno. Lecz poco deptał jego szczęty, poco poniżał jej ducha? Aha! Nie mógł go złamać. Osuszyła łzy. A Gizela, Gizela! Ta mała, co odkąd tylko zaczęła chodzić, zawsze szukała opieki pod jej fartuszkiem. Co za dwoistość! Lecz może nie umiała temu zapobiec. Gdy chodziło o mężczyznę, ta biedna wietrznica nie umiała dać sobie rady.

Linda miała w sobie sporo ze stoicyzmu Violi. Po-

stanowiła nic nie mówić. Ale po kobiecemu wniosła zaciekłość do swego stoicyzmu. Krótkie odpowiedzi Gizeli, wywoływane trwożnem niedowierzaniem, wyprowadzały ją z równowagi swą zwięzłością, co podobna była do odrazy. Pewnego dnia podbiegła do krzesła, w którem spoczywała jej gnuśna siostra i wpiła się zębami w najbielszą szyję, jaka była w Sulaco. Gizela krzyknęła. Ale miała w sobie także cząstkę heroizmu Violi. Aczkolwiek mdlała niemal ze strachu, rzekła tylko ospałym głosem: — *Madre de Dios!* Czy chcesz zjeść mnie żywcem, Lindo? — I wybuch ten minął, nie pozostawiając śladu na ich wzajemnych stosunkach. — Nie wie nic. Nie może nic wiedzieć — rozumowała Gizela. — Może to nieprawda. To nie może być prawdą — starała się wmówić w siebie Linda.

Ale kiedy zobaczyła kapitana Fidanzę po raz pierwszy po swem spotkaniu z narwanym Ramirezem, pewność jej niedoli powróciła. Patrzyła za nim z drzwi, gdy odchodził do swej łodzi, i zadawała sobie stoicznie pytanie: — Czy spotkają się dzisiejszej nocy? — Postanowiła sobie ani na chwilę nie opuszczać wieży. Gdy znikł, wyszła na dwór i usiadła obok ojca.

Czcigodny *garibaldino* wedle swych własnych słów „węszył jakiegoś młodzika“. Pogłoski o Ramirezie różnemi drogami dotarły do niego już oddawna, zaś niechęć i odraza do tego człowieka, który żadną miarą nie mógł być tem, czem byłby jego syn, odebrały mu spokój. Sypiał bardzo mało. Od kilku nocy zamiast czytać, lub bodaj tylko siedzieć przed otwartą Bibliją z srebrnemi okularami Mrs. Gould na nosie, przetrząsał wyspę z swą starą flintą w ręku, czuwając nad swym honorem.

Linda, położywszy swą szczupłą, śniadą rękę na jego kolanie, starała się uśmierzyć jego wzburzenie. Ramireza nie było w Sulaco. Nikt nie wie, gdzie przebywa. Znikł. Jego gadanina o tem, co chciałby uczynić, jest bez znaczenia.

— Nie! — przerwał jej starzec. — Powiedział mi przy sposobności Gian' Battista, że ten tchórzliwy *esclavo* zapija się i zgrywa z łotrami z Zapigi hen, na północnem wybrzeżu zatoki. Mógłby zebrać najgorszą hołotę z tego podłego, murzyńskiego miasta, żeby mu pomogli porwać malutką... Ale ja nie jestem taki stary. Nie!

Z wielką usilnością wykazywała mu niemożliwość jakiegokolwiek zamachu. Starzec wkońcu umilkł, zagryzając swe białe wąsy. Kobiety mają swe upory, którym trzeba pobłażać. Była taką jego biedna żona, a Linda nie odrodziła się od swej matki. Mężczyźnie nie wypada wdawać się z niemi w spory. — Być może, być może — mamrotał.

Nie czuła się bynajmniej uspokojoną w głębi duszy. Kochała Nostroma. Z macierzyńską jakgdyby czułością i z zazdrosną przykrością rywalki, poniżonej swem niepowodzeniem, zwróciła oczy ku Gizeli, co siedziała opodal. Wstała i podeszła do niej.

— Słuchajno — ty — rzekła szorstko.

Nieodparta słodycz spojrzenia, co było niby rośne fiołki, rozbudziła jej gniew i podziw. Piękne miała oczy ta *Chica* — to niegodziwe stworzenie z białego ciała i czarnej obłudy. Nie wiedziała, czy wydrzeć je z okrzykiem zemsty, czy też okryć ich tajemniczą i bezwstydną niewinność pocałunkami żalu i miłości. I oto nagle te oczy przygasły i jęły patrzeć na nią czczem spojrzeniem, w którem przebijało zaledwie

nieco lęku, niedość głęboko ukrytego wraz z innemi odczuwaniami w sercu Gizeli.

Linda przemówiła: — Ramirez przechwala się w mieście, że zamierza cię uprowadzić z wyspy.

— Co za głupstwo! — odpowiedziała jej siostra i z przewrotnością, zrodzoną z długiego przymusu, dodała żartobliwym tonem z drżącą zuchowatością: — Nie stać go na to.

— Nie? — rzekła Linda przez zaciśnięte zęby. — Nie stać go? No, to uważaj, bo ojciec chodzi nocami z nabitą strzelbą.

— To niedobrze dla niego. Powinnabyś mu to odradzić, Lindo. Mnie nie posłucha.

— Nie powiem już nic — nigdy — nikomu — krzyknęła Linda porywczo.

Tak nie może być dłużej — myślała Gizela. Giovanni musi ją zaraz zabrać, skoro tylko przyjdzie za następnym razem. Nie zniesie tych lęków dłużej, chociażby nawet dla dwa razy większej ilości srebra. Od rozmów z siostrą jeszcze się rozchoruje. Nie zatrważała jej atoli czujność ojca. Prosiła Nostroma, by nie przychodził pod okno dzisiejszej nocy. Przyrzekł, że tym razem nie przyjdzie. A nie mogła wiedzieć, przeczuć, ni wyobrazić sobie, żeby inne powody sprowadziły go na wyspę.

Linda poszła prosto na wieżę. Był już czas zapalić latarnię. Otworzyła małe drzwiczki i szła ciężko po krętych schodach, wlokąc swą miłość do wspaniałego *Capataza de Cargadores* niby coraz cięższe brzemię haniebnych kajdan. Nie, nie mogła z nich się otrząsnąć. Nie; niechaj Bóg ma tych dwoje w swojej opiece. I krzątając się po latarni, wypełnionej pomro-

kiem i jaśnią księżyca, zapaliła lampę. Poczem opuściła ramiona wzdłuż ciała.

— A matka nasza patrzy na to — szeptała do siebie. — Własna siostra — *Chica*.

Cały aparat refrakcyjny wraz z mosiężnemi przyborami i kręgami soczewek skrzył się i migotał niby jakiś świątynny relikwjarz z djamentów, zawierający nie lampę, lecz święty ogień, górujący nad oceanem. Zaś strażniczka jego, Linda, cała w czerni, z bladą twarzą, siedziała na niskiem, drewnianem krzesełku, sama ze swą zazdrością, wyniesiona wysoko ponad hańby i namiętności ziemskie. Jakieś dziwne, szarpiące cierpienie, jakgdyby ktoś targał ją srogo za ciemne włosy o bronzowych poświatach, zmusiło ją, że podniosła dłonie do skroni. Spotkają się. Spotkają się. I wiedziała, gdzie. U okna. Znój udręki spływał kroplami po jej policzkach. Jaśń miesięczna na pełnem morzu zamykała niby olbrzymią, srebrną zaworą wylot Zatoki Cichej — tej posępnej jaskini, pełnej obłoków i głuszy, wykutej w opłókiwanem przypływami morskiemi wybrzeżu.

Linda Viola powstała nagle, przyłożywszy palec do ust. Nie kochała ani siebie ani swej siostry. Wszystko wydawało się zbyt bezcelowem, żeby mogło ją przerażać lub budzić jakąkolwiek nadzieję. Dlaczego jej nie zabiera? Co stoi mu na przeszkodzie? Niepodobna było go zrozumieć. Na co czekali? W jakim celu kłamali i oszukiwali? To nie chodziło o ich miłość. Nie o nią chodziło. Nadzieja, iż uda się jej odzyskać go dla siebie, zachwiała jej postanowieniem, że nie zejdzie z wieży dzisiejszej nocy. Musi zaraz pomówić z ojcem, który jest mądry i ją zrozumie. Zbiegła po krętych schodach. Kiedy otwierała drzwi na dole, rozległ się

huk pierwszego wystrzału, jaki kiedykolwiek padł na Wielkiej Izabeli.

Doznała wstrząsu, jakgdyby kula ugodziła ją w piersi. Biegła, nie zatrzymując się. W chacie było ciemno. Krzyknęła u drzwi: — Gizelo, Gizelo! — poczem skręciła dokoła węgła, nawołując swą siostrę u otwartego okna, ale nie otrzymała odpowiedzi. Kiedy jednak, pełna rozterki, jęła błądzić dokoła domu, Gizela wypadła z drzwi i przemknęła obok niej, biegnąc cicho z rozwianemi włosami i oczyma, utkwionemi przed siebie. Zdawała się zaledwie muskać stopami trawę i zniknęła.

Linda podążała zwolna, wyciągnąwszy ramiona przed siebie. Na wyspie zaległa cisza. Nie wiedziała, dokąd idzie. Drzewo, pod którem Martin Decoud spędził ostatnie swe dni, zapatrując się na życie jako na kolejność niepowiązanych obrazów, rzucało wielką plamę czarnego cienia na murawę. Nagle ujrzała ojca, stojącego spokojnie w poświacie księżycowej.

Garibaldino — ogromny, wyprostowany, z śnieżnobiałymi włosami i brodą — znieruchomiał w monumentalnej postawie, wsparty na karabinie. Zlekka położyła mu rękę na ramieniu.

— Co uczyniłeś, ojcze? — spytała swym zwykłym głosem.

— Zastrzeliłem tego podłego Ramireza — odparł, patrząc ku miejscu, gdzie cień był najczarniejszy. — Przyszedł jak złodziej i zginął jak złodziej. — Trzeba dziecko ochraniać.

Nie drgnął z miejsca, nie postąpił naprzód ani kroku. Stał zakrzepły i niewzruszony niby posąg starca, strzegącego czci swego domu. Linda zdjęła swą drżącą rękę z jego ramienia, krzepkiego i nieustępliwego, niby

ramię z kamienia, i nie mówiąc ani słowa, weszła w czarną oćmę cienia. Ujrzała na ziemi kłąb bezładnych kształtów i stanęła jak wryta. Szmer rozpaczliwych łkań dotarł do jej wytężonego słuchu.

— A błagałam cię, żebyś dzisiejszej nocy nie przychodził. Oh, mój Giovanni! I przyrzekłeś. Oh, dlaczegoż — dlaczegoż przyszedłeś, mój Giovanni?

Był to głos jej siostry. Urwał się rozdzierającym szlochem. Zaś głos pomysłowego *Capataza de Cargadores*, pana i niewolnika skarbu z San Tomé, co został przychwycony niepostrzeżenie przez starego Giorgia, gdy przekradał się ku rozpadlinie, by zabrać jeszcze więcej srebra, odpowiedział z ziemi niedbale i chłodno, lecz dziwnie jakoś słabo:

— Zdawało mi się, że nie przeżyję tej nocy, jeśli nie zobaczę ciebie — moja ty gwiazdko, mój ty kwiatuszku!

* * *

Świetna *tertulia* właśnie się skończyła, ostatni goście odjechali, a *senior Administrador* już odszedł do swego pokoju, gdy dr. Monygham, którego oczekiwano tego wieczora, ale który nie przybył, nadjechał przy świetle lamp elektrycznych po drewnianym bruku opustoszałej *Calle de la Constitution* i zastał wielką bramę *Casy* jeszcze otwartą.

Posztykutał do wnętrza, wspiął się na schody i wszedł, kiedy wypasiony i wymuskany Basilio gasił właśnie światła w sali. Kwitnący *major domus* rozdziawił gębę na widok przybysza.

— Nie gaś światła! — rozkazał doktór. — Chciałbym zobaczyć się z *seniorą*.

— *Seniora* jest w *cancillarii seniora Administradora* — rzekł namaszczonym głosem Basilio. — *Se-*

nior Administrador za godzinę odjeżdża w góry. Jak się zdaje, zachodzi obawa zaburzeń robotniczych. Bezwstydna hołota bez rozumu i wychowania. I leniwa, *senior!* Leniwa!

— Tyś sam bezwstydnie głupi i leniwy — burknął doktór z właściwą sobie zdolnością drażnienia ludzi, która czyniła go tak powszechnie lubionym. — Nie gaś światła!

Basilio odszedł z godnością. Dr. Monygham, czekając w rzęsiście oświetlonej sali, usłyszał, jak zamknęły się drzwi na drugim końcu domu. Zamarł szczęk ostróg. *Senior Administrador* pojechał w góry.

Szeleszcząc miarowo swą powłóczystą suknią, migocąc od klejnotów i połyskując od jedwabiu, szła oświetlonym korytarzem „najznakomitsza dama z Sulaca“, jak zwykł był wyrażać się o niej kapitan Mitschell. Szła, pochyliwszy swą subtelną głowę, jakby pod ciężarem jasnych włosów, w których gubiły się srebrne pasma, bogatsza nad wszelkie o bogactwach marzenia, szanowana, kochana, czczona, uwielbiana i tak samotna, jak może jeszcze nikt nie był na ziemi.

Na odezwanie się doktora: — Mrs. Gould! Jedną chwilkę!... — zatrzymała się u drzwi oświetlonej i pustej sali. Z podobieństwa zbiegu okoliczności widok doktora, stojącego samotnie śród porozstawianych mebli, przypomniał jej wrażliwej pamięci Martina Decouda. Wydało się jej, iż doleciał ją śród ciszy głos tego człowieka, zmarłego przed tylu laty, że wymawia on znów słowa: — Antonja zapomniała tu swego wachlarza. — Ale był to głos doktora, nieco zmieniony pod wpływem podniecenia. Zauważyła jego błyszczące oczy.

— Mrs. Gould, wzywa ktoś panią. Czy pani wie, co się stało? Pamięta pani, co mówiłem wczoraj o Nostromie? Otóż dzisiejszej nocy płynęła z Zapigi *lancha* czyli kryta łódź z czterema murzynami. Gdy mijali Wielką Izabelę, jakiś głos kobiecy — jak się okazało, głos Lindy — wezwał ich z wiszaru, żeby podpłynęli do poniża (noc była księżycowa) i zabrali do miasta rannego człowieka. *Patron lanchy* (od którego dowiedziałem się o tem wszystkiem) uczynił zadość wezwaniu. Opowiadał, iż kiedy okrążyli wiszar i przybili do poniża Wielkiej Izabeli, Linda Viola już ich oczekiwała. Poszli za nią; zaprowadziła ich pod drzewo, rosnące opodal chaty. Zastali tam Nostroma, leżącego na ziemi z głową, spoczywającą na kolanach młodszej dziewczyny, oraz starego Violę, stojącego opodal i opartego na karabinie. Na zarządzenie Lindy wynieśli stół z chaty i uczynili zeń nosze, obłamawszy nogi. Są tutaj, Mrs. Gould. To znaczy jest Nostromo i... i Gizela. Murzyni zanieśli go do portowego szpitala. Posłał po mnie służącego. Ale nie ze mną chciał się widzieć, lecz z panią, Mrs. Gould. Z panią!

— Ze mną? — szepnęła Mrs. Gould, wzdrygnąwszy się zlekka.

— Tak jest — parsknął doktór. — Błagał mnie — swego wroga, jak mu się zdaje — żebym panią zaraz do niego sprowadził. Jak się zdaje, ma coś do powiedzenia pani samej.

— Niepodobna! — zająknęła się Mrs. Gould.

— Powiedział do mnie: — „Proszę jej przypomnieć, iż przyczyniłem się nieco, że ma dach nad głową...“ Mrs. Gould — mówił dalej doktór z niewymownem podnieceniem. — Pamięta pani srebro? Srebro w przewozowcu — co zatonęło?

Mrs. Gould pamiętała. Ale nie wspomniała, iż nienawidzi nawet wzmianki o tem srebrze. Będąc uosobieniem szczerości, przypomniała sobie z niepohamowaną zgrozą, iż po raz pierwszy i ostatni w życiu nie powiedziała swemu mężowi prawdy o tem srebrze. Zbłądziła wówczas pod wpływem trwogi i nie mogła tego sobie przebaczyć. Co więcej, to srebro, które nie byłoby zatonęło, gdyby jej mąż wiedział o nowinach, przyniesionych przez Decouda, omal, że nie stało się pośrednią przyczyną śmierci dra Monyghama. Wszystko to wydawało się jej nader okropnem.

— Ale czy ono zatonęło? — zawołał doktór. — Zawsze doznawałem wrażenia, iż coś niejasnego działo się odtąd z Nostromem. Myślę, że chciałby teraz w obliczu śmierci...

— W obliczu śmierci? — powtórzyła Mrs. Gould.

— Tak jest... Chciałby może powiedzieć pani coś o tem srebrze, które....

— Oh, nie, nie! — odparła Mrs. Gould cichym głosem. — Czyliż już nie przepadło i nie poszło w niepamięć? Czyż i bez niego niema dość skarbów, żeby wszyscy na świecie byli nieszczęśliwi?

Doktór nie odzywał się, pogrążony w uległem, zawiedzionem milczeniu. Wkońcu napomknął bardzo cicho:

— Jest tam ta córka Violi, Gizela. Coś trzebaby zrobić. Zdaje się, iż chociaż jej ojciec i siostra...

Mrs. Gould oświadczyła, iż poczuwa się do obowiązku zajęcia się temi dziewczętami.

— Mam tu wolant — rzekł doktór. — Jeżeli pani nie zamierza jeszcze zajść do siebie, to...

Czekał, nie posiadając się z niecierpliwości, aż Mrs. Gould powróciła, zarzuciwszy na swą suknię szary płaszcz z obszernym kapturem.

W tym też zakonnym płaszczu i kapturze stanęła ta, pełna cierpliwości i współczucia kobieta obok łoża, na którem leżał nawznak świetny *Capataz de Cargadores*. Biel poduszek i prześcieradeł uwydatniała posępny i energiczny zarys jego bronzowej twarzy, oraz śniadych, nerwowych rąk, co doniedawna tak dobrze władały sterem, wędzidłem i karabinem, a teraz, otwarte i bezczynne, spoczywały na białej kołdrze.

— Ona jest niewinna — odezwał się *Capataz* głębokim i równym głosem, jakgdyby obawiał się, iż donośniejsze słowo może zerwać wątłą więź, co duszę jego łączyła z ciałem. — Ona jest niewinna. To tylko ja... Lecz mniejsza o to. Za te rzeczy nie będę za życia odpowiadał przed nikim.

Zatrzymał się. Twarz Mrs. Gould, bardzo biała w cieniu kaptura, pochylała się nad nim z przemożnym i nieukojonym smutkiem. Przytłumione łkania Gizeli Viola, co klęczała u nóg łóżka, okrywając swemi złotemi, o miedzianych poświatach włosami stopy *Capataza*, nie mąciły niemal szpitalnej ciszy.

— Ha! Ty stary Giorgio — stróżu swego honoru! Czyż mogłem przypuszczać, iż *Vecchio* podejdzie mnie tak cicho i weźmie na cel tak pewnie? Ja sam nie uczyniłbym tego lepiej. Widać, że bardzo oszczędzał prochu. I ocalił honor... *Seniora*, onaby poszła na kraj świata za złodziejem Nostromem... Powiedziałem, o co chodziło. Zaklęcie już mnie nie pęta.

Głuchy szloch dziewczyny zniewolił go do spuszczenia oczu.

— Nie mogę patrzeć na nią... Ale mniejsza o to — mówił dalej z odcieniem dawnej, wspaniałej niedbałości w głosie. — Dość jednego pocałunku, gdy niema czasu na więcej. Pogodna to dusza, *senioro!* Jasna

i ciepła jak słońce — prędko się chmurzy i prędko wypogadza. Mogliby złamać ją ludzie w swym tłoku. *Seniora*, racz zwrócić na nią oczy swego zmiłowania, bo słyniesz z niego w całym kraju, jak z męstwa i odwagi słynie człowiek, który do ciebie mówi. Pocieszy się zczasem. A Ramirez to niezły chłopak. Nie gniewam się na niego. Nie! To nie Ramirez pokonał *Capataza* sulackich *Cargadorów*. — Zatrzymał się, uczynił wysiłek i mocniejszym głosem nieco nieprzytomnie oświadczył:

— Umieram oszukany — oszukany przez...

Ale nie powiedział, przez kogo lub przez co oszukany umiera.

— Ona nie byłaby mnie oszukała — zaczął znów, otwierając bardzo szeroko oczy. — Była wierna. Bardzo rychło bylibyśmy pojechali w daleki świat. Dla niej mógłbym był oderwać się od tego zatraconego skarbu. Dla tego dziecka byłbym pozostawił całe skrzynie — pełne. A Decoud wziął cztery. Cztery sztaby. Poco? *Picardia!* Żeby oszukać mnie? Jak mogłem oddać skarb bez tych czterech sztab? Byliby powiedzieli, żem je sprzeniewierzył. Doktór byłby to powiedział... Ach, czemuż trzyma on mnie jeszcze!

Mrs. Gould pochyliła się nisko struchlała — zlodowaciała z podejrzenia.

— Co stało się z Donem Martinem owej nocy, Nostromo?

— Kto to wie? Byłem ciekaw, co ze mną się stanie. Teraz wiem. Śmierć miała najść mnie niepostrzeżenie. Przepadł! Oszukał mnie. A pani myśli, że ja go zabiłem! Wszyscyście jednacy, wy, jaśnie państwo. To srebro mnie zabiło. Trzymało mnie. Trzyma mnie jeszcze. Nikt nie wie, gdzie ono jest. Ale pani jest

żoną Dona Carlosa, który dał mi je w ręce i powiedział: — „Ratuj je, jakbyś ratował swe życie“. — A kiedy powróciłem i wszyscy byli przekonani, że zatonęło, cóż usłyszałem? Że to nic ważnego. Mniejsza o nie. Nuże, wierny Nostromo, wsiadaj na konia i goń, żeby nas ocalić, goń, jakby tu chodziło o twoje życie.

— Nostromo! — szepnęła Mrs. Gould, pochylając się bardzo nisko. — Ja także nienawidziłam to srebro z głębi duszy.

— To dziwne, żeby ktoś z was nienawidził bogactw, które tak zręcznie umiecie wydzierać z rąk biedaków. Świat opiera się na biedakach, jak stary Giorgio powiada. Pani zawsze była dobra dla biedaków. Ale jakieś przekleństwo ciąży na bogactwach. *Seniora*, czy mam powiedzieć pani, gdzie jest ten skarb? Tylko pani... Dostojnej! Nieskazitelnej!

Bolesne, bezwiedne ociąganie drgało w jego głosie, w jego oczach, żałących się kobiecie, co posiadała dar współczującej intuicji. Odwróciła spojrzenie od niegodnej niewolniczości konającego człowieka, przerażona, nie chcąc już słyszeć o tem srebrze.

— Nie, *Capatazie* — rzekła. — Nikt już o nie się nie upomina. Niech przepadnie na zawsze.

Usłyszawszy te słowa, Nostromo zamknął oczy, nie wymówiwszy ani słowa, nie drgnąwszy nawet. Za drzwiami pokoju, w którym leżał, dr. Monygham, podniecony do najwyższego stopnia, z oczyma, pałającemi zaciętością, zatrzymał obie kobiety.

— No, Mrs. Gould — odezwał się niemal szorstko z nadmiaru niecierpliwości — proszę mi powiedzieć, czy miałem słuszność. W tem jest jakaś tajemnica. Czy wyciągnęła go pani na słówko? Czy powiedział pani?...

— Nic mi nie powiedział — odparła Mrs. Gould stanowczo.

Błysk odruchowej niechęci do Nostroma zgasł w oczach dra Monyghama. Odstąpił ulegle. Nie wierzył Mrs. Gould. Ale jej słowo było prawem. Przyjął jej zaprzeczenie jak nierozwikłaną fatalność, utwierdzającą przewagę genjuszu Nostroma nad jego genjuszem. Nawet wobec tej kobiety, którą kochał z tajoną tkliwością, został pokonany przez wspaniałego *Capataza de Cargadores*, człowieka, który żył własnem życiem, rozbudziwszy w innych przeświadczenie o swej niezłomnej wierności, rzetelności i odwadze.

— Proszę posłać zaraz kogoś po mój powóz — odezwała się Mrs. Gould z głębi kaptura. Poczem, zwracając się do Gizeli Viola, zawołała: — Chodź bliżej, dziecko; chodź bliżej! Poczekamy tu.

Gizela Viola, zrozpaczona i dziecinna, z twarzyczką przysłoniętą spadającemi włosami, przytuliła się do jej boku. Mrs. Gould wsunęła rękę pod ramię niegodnej córki starego Violi, nieskazitelnego republikanina, bohatera bez zmazy. Zwolna, stopniowo, na podobieństwo chylącego się kwiatu, głowa dziewczyny, co byłaby poszła za złodziejem na skraj świata, spoczęła na ramieniu *Donii* Emilji, najznakomitszej damy z Sulaca, małżonki *seniora Administradora* kopalni San Tomé. Mrs. Gould, słuchając jej przytłumionego łkania, z rozstroju i podniecenia miała pierwszą i jedyną chwilę cierpkości w swem życiu. Cierpkość ta była godna nawet dra Monyghama.

— Uspokój się dziecko. Bardzo rychło byłby cię zapomniał dla swojego skarbu.

— *Seniora*, on mnie kochał. On mnie kochał —

szeptała Gizela rozpaczliwie. — Kochał mnie, jak jeszcze nigdy nikogo nie kochano.

— Ja również byłam kochana — rzekła Mrs. Gould surowym tonem.

Gizela uczepiła się jej kurczowo. — Oh, *senioro*, ale pani będzie wielbiona do końca życia.

Mrs. Gould zachowywała nieprzerwane milczenie, aż powóz zajechał. Pomogła wsiąść napoły nieprzytomnej dziewczynie. Gdy doktór zamknął drzwiczki, wychyliła się jeszcze ku niemu.

— Czy nie może pan dopomóc? — szepnęła.

— Nie, Mrs. Gould. Zwłaszcza, że nie pozwolił nam się zbadać. Lecz to nie stanowi różnicy. Zdążyłem rzucić okiem... Niema rady.

Ale obiecał zajrzeć do starego Violi i do drugiej dziewczyny jeszcze przede dniem. Mógł zawezwać łódź policyjną, żeby go zawiozła na wyspę. Pozostał na ulicy, spoglądając za powozem, co potoczył się zwolna za białemi mułami.

Wieść o jakimś wypadku — o wypadku kapitana Fidanzy — obiegła po nowych ulicach nadbrzeżnych, gdzie stały rzędy latarń i ciemne kształty spiętrzonych żórawi. Garstka nocnych włóczęgów — najnędzniejszej hołoty — wieszała się u drzwi portowego szpitala, szepcąc między sobą w poświacie miesięcznej pustej ulicy.

Przy rannym nie było nikogo prócz bladego fotografa. Wątły, ułomny, krwiożerczy wróg kapitalistów siedział na wysokim stołku u węzgłowia, wspierając brodę na rękach. Sprowadził go pewien towarzysz, który pracował późną nocą w przystani i dowiedział się od murzyna, należącego do załogi *lanchy*, że przywieziono kapitana Fidanzę, śmiertelnie rannego.

— Czy macie jakie polecenia, towarzyszu? — pytał trwożnie. — Nie zapominajcie, że do naszej działalności potrzeba pieniędzy. Bogaczy musimy zwalczać ich własną bronią.

Nostromo nie dał odpowiedzi. Towarzysz nie nalegał; siedział zakłopotany na stołku. Miał łeb kudłaty, rozczochrany i podobny był do garbatej małpy. Dopiero po długiem milczeniu zaczął znowu uroczyście:

— Towarzyszu Fidanza, nie przyjęliście pomocy lekarskiej od tego doktora. Jestże on istotnie niebezpiecznym wrogiem ludu?

W mrocznym pokoju Nostromo odwrócił zwolna głowę na poduszce i otworzył oczy, zwracając zagadkowe i badawcze spojrzenie na złowrogą postać, co przykucnęła obok jego łóżka. Poczem głowa jego potoczyła się wstecz, powieki opadły i *Capataz de Cargadores* skonał, nie wyrzekłszy słowa i nie wydawszy jęku. Przed swym zgonem całą godzinę przeleżał nieruchomo i tylko krótkie wstrząsy świadczyły o najokropniejszych cierpieniach.

Dr. Monygham, płynąc barką policyjną ku wyspom, widział przed sobą migotanie poświaty miesięcznej na toni zatoki oraz wyniosły, czarny zwał Wielkiej Izabeli, od którego padał wdal snop światła z pod opony obłoków.

— Płynąć wolno! — odezwał się, zaciekawiony, co tam zastanie. Starał się wyobrazić sobie Lindę oraz jej ojca i uczuł w sobie jakąś dziwną oporność. — Płynąć wolno! — powtórzył.

* * *

Od chwili, kiedy dał ognia do złodzieja swego honoru, Giorgio Viola nie ruszył się z miejsca. Stał,

oparłszy swój stary karabin o ziemię i założywszy ręce na lufie tuż pod wylotem. Gdy *lancha*, co zabrała Nostroma, odbiła od brzegu, Linda podeszła wgórę i stanęła przed nim. Zdawał się nie być świadomym jej obecności, lecz kiedy, postradawszy swój wymuszony spokój, zawołała:

— Czy wiecie, kogoście zabili? — odpowiedział:

— Włóczęgę Ramireza.

Blada i zapatrzona nieprzytomnie na swego ojca Linda zaśmiała się mu w twarz. Po chwili zawtórował słabo głębokiem i dalekiem echem jej śmiechowi. Gdy śmiać się zaprzestała, starzec przemówił jakby strwożony:

— Krzyknął głosem Giana Baptisty.

Karabin wypadł z jego otwartej ręki, lecz ramię pozostało na chwilę wyciągnięte, jakby wciąż jeszcze było podparte. Linda ujęła go szorstko:

— Jesteście za starzy, żebyście mogli zrozumieć. Chodźcie do domu.

Pozwolił jej się poprowadzić. Na progu potknął się ciężko i omal że nie upadł na ziemię wraz z córką. Jego podniecenie i ruchliwość w ostatnich kilku dniach były jakby błyskiem dogasającej lampy. Uchwycił się poręczy swego krzesła:

— Krzyknął głosem Giana Battisty — powtórzył surowym tonem. — Słyszałem ja go — tego podłego — Ramireza.

Linda pomogła mu usiąść na krześle i pochyliwszy się nisko, syknęła mu w ucho:

— Zabiliście Giana Battistę.

Starzec uśmiechnął się pod zawiesistym wąsem. — Te kobiety miewają dziwne urojenia.

— Gdzie jest dziecina? — zapytał, zdziwiony prze-

nikliwym chłodem powietrza i niezwykłą mrocznością lampy, przy której miał zwyczaj siadywać do północy nad otwartą Biblją.

Linda zawahała się na chwilę, poczem odwróciła oczy.

— Śpi — rzekła. — Pomówimy o niej jutro.

Nie mogła się przezwyciężyć, by spojrzeć na niego. Przejmował ją grozą i niemal nieznośnem uczuciem litości. Zauważyła zmianę, która w nim zaszła. Nie był zdolny zrozumieć, co uczynił; lecz nawet dla niej wszystko to było niepojęte. Przemówił z trudnością:

— Podaj mi księgę.

Linda położyła na stole zamkniętą księgę w podniszczonej, skórzanej oprawie. Była to Biblja, którą dostał przed laty od pewnego Anglika w Palermo.

Za jego krzesłem Linda łamała ręce, zanosząc się bezgłośnem łkaniem. Nagle pobiegła ku drzwiom. Usłyszał jej ruch.

— Dokąd idziesz? — zapytał.

— Na latarnię — odrzekła i odwróciła się, by spojrzeć na niego smutnie.

— Aha, na latarnię! *Si* — obowiązek.

Wyprostowany, białowłosy, pogrążony w lwim, heroicznym spokoju, sięgnął do kieszeni swej czerwonej koszuli po okulary, które mu dała *Donia* Emilja. Po długiej chwili nieruchomości otworzył księgę i spojrzał zwysoka przez szkła na drobny druk w dwu kolumnach. Zakrzepły, surowy wyraz przemknął po jego rysach i drgnęły mu zlekka brwi jakby w odpowiedzi na jakąś mętną myśl, czy niemiłe wrażenie. Ani na chwilę nie odrywał oczu od księgi, aczkolwiek chylił się łagodnie, stopniowo, aż jego biała głowa spoczęła na otwartych kartach. Drewniany zegar tykotał mia-

rowo na pobielanej ścianie. Zwolna stygł *garibaldino* i leżał sam, krzepki, niepożyty, niby stary dąb, powalony szarpnięciem wichru.

Światło Wielkiej Izabeli paliło się spokojnie nad zatraconym skarbem z kopalni San Tomé. W błękitnawej poświacie bezgwiezdnej nocy latarnia rzucała snop żółtych promieni ku dalekim widnokręgom. Niby czarna plamka na lśniącem zwierciadle majaczyła Linda na zewnętrznej galerji, opierając głowę o poręcz. Księżyc, chylący się ku zachodniej stronie spozierał na nią promieniście.

U podnóża wiszaru ucichł miarowy plusk wioseł płynącej łodzi i dr. Monygham podźwignął się z swego miejsca.

— Lindo! — krzyknął, odchylając wtył głowę. — Lindo!

Linda podniosła się. Poznała go po głosie.

— Czy umarł? — zawołała, pochylając się przez poręcz.

— Tak jest, moje biedne dziecko. Popłynę dokoła — odpowiedział doktór z dołu. — Płyńcie do poniża! — rozkazał wioślarzom.

Czarna postać Lindy wyrzynała się z światła latarni. Ramiona miała wzniesione nad głową, jakgdyby chciała rzucić się nadół.

— To ja cię kochałam — szeptała, a twarz jej była marmurowo blada i stężała w miesięcznej poświacie. — Ja! Tylko ja! Ona zapomni o tobie, zapomni, że zginąłeś marnie dla jej ładnej twarzyczki. Nie rozumiem. Nie rozumiem. Ale nigdy nie zapomnę ciebie. Nigdy!

Stała cicha i milcząca, zbierając swe siły, by wszystką swą wierność, swój ból, rozpacz i mękę zawrzeć w jed-

nym wielkim okrzyku: — Przenigdy, Gianie Battisto!

Dr. Monygham, płynąc dookoła w policyjnej łodzi, usłyszał, jak to imię rozebrzmiało nad jego głową. Był to nowy triumf Nostroma, największy, najgodniejszy zazdrości, najstraszliwszy. W tym okrzyku niewygasłej namiętności, co zdawał się rozlegać od *Punta Mala* do Azuery i hen, dalej ku świetlistemu rąbkowi widnokręgu, nad którym zwieszał się wielki, biały obłok, lśniący niby bryła litego srebra, genjusz wspaniałego *Capataza de Cargadores* ujarzmiał ciemną zatokę, zawierającą jego zdobycze miłości i bogactwa.

K O N I E C.

BIBLIOTHECA UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS

Kunyev P.